

WIANEK.

Miej ty sobie pałac, ja mój domek ciasny,
Prawda, nie jest wspaniałą, szczupłą, ale własną.

J. Krasicki.

Ła Pozwoleniem Cenzury Rządowej.

**WIĄZEK,
NOWOROCZNIK
NA ROK**



Oryginalne utwory Prozy i Poezyi zawierający,
Ozdobiony Szczęśliwymi Poycinami i Muzyką,

WYDANY NAKŁADEM I STARANIEM

Józefa Kaczanowskiego.

Muzgarkowski
Marceli Mozycho
w Warszawie,

W DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA,

KSIAŻGARZA SZKÓŁ PUBLICZNYCH W KRÓLESTWIE POLSKIM.

1836.

WYDAWCA

WYDZIAŁ

WARSZAWA



1830
BIBLIOTEKA
LITERA

1830

Wydawnictwo im. J. J. Miodowickich
z zbiorów

OFIARA Z KWIATÓW.



Painted by T. Uwins A.R.A.

Engraved by S. Sangster

FESTA OF MADONNA DEI FIORI.



Ofiara z Kwiatów.

(Z RYCINĄ.)



SWIECA listki, błyszczą kwiaty,
Wiosna ziemię pięknie stroi,
Nad jeziorem dymią chaty,
A z daleka Kościół stoi.

Tłumy ludu dookoła,
Zaraz od chwili porannej,
Cisną się w progi Kościoła,
Na święto Najświętszej Panny.

Lecz dzwonek z wieży uderzył—
Na ten znak spokojność głucha ;
Každy wzrok w jedno wymierzył,
W milczeniu patrzy i słucha.

Z ogrodów między drzewami,
Przez długie z kwiatów ulice,
Idą długimi rzędami
Co najpiękniejsze dziewice.

Nad niemi buja z łoskotem
Wysoko nad wszystkich głowy,
Na chorągwiach szytych złotem
Obrazek niebios Królowy.

W dziewicach i wdzięk zachwyca,
I święte razem natchnienie ;
Niewinne, anielskie lica,
Lube, anielskie spojrzenie.

Warkocz się na części dzieli,
Na szyję spływają sploty,
Piękne i skromne, i w bieli,
Jak gdyby z niebios istoty.

W ich ręku wonią rozkoszą,
Piękniejsze wianki i kwiatki,
Które w ofierze przynoszą,
Na ołtarz Najświętszej matki.

Spiwają. Pieśń z myślą świętą
Wzbija się w dziewiczych głosach ;
A pieśń na ziemi zaczęta,
Anieli kończą w niebiosach.

CHÓR DZIEWIC.

Tobie Najświętsza Panno, Matko Stworzyciela
I Pana światów,
Grono twych biednych dziewic złożyć się ośmiela,
Ofiarę z kwiatów,
Od ciebie mamy szczęście, i przyszłe nadzieje,
I myśli złote ;
Twoja opieka święta do piersi nam leje
Tkliwość i cnotę.
Ty nam zawsze z cnotami anielskie słodycze
Z niebios wyprosisz,
I na skrzydłach rozkoszy ty serca dziewicze,
Do nieba wznosisz.
A choć wianki z gwiazd złotych świecą rozciągnięte
Nad twoją głową,
Przyjm i wianek nasz skromny pod stopy twe święte,
Niebios Królowo.

Przyjm i serca w opiekę. Niech w imię Maryi
Zostaną dłużej,
Skromniejsze od fijołka, czystsze od lilii,
Milsze od róży.

CHÓR ANIOŁÓW.

Wołajcie, dziewice,
Do niebios głosem i duszą,
Bo serca i głosy,
Niebiosą dla was poruszają

Piękne są kwiaty,
Któremi świecą ogrody;
Piękne wy same,
Bo lica pełne urody.

Ale nad kwiaty, nad wdzięki,
Piękniejsze serca wasze,
Kiedy tak czyste, jako blask jutrzenki.
Wołajcie, dziewice,

Głos wasz sklepienia niebios przebija,
A serce czyste
Błyska w niebiosach jak w sadzie lilija.

O! strzeżcie serc swych jedynie:
Niech będą czyste jak kwiat,
A przez serca wasze spłynie
Szczęście na świat.

Antoni J. Szabrański.





D O * * *



ó ż? biały papier dajesz mi do ręki,
I pióro każesz w dłoń bezwładną chwytać:
Mamże ci za to nowe składać dzięki,
Lub duszy mojej o myśl jaką spytać?

O! raczej żebym nie był tak wysoko
Wprawiał mych uczuć, pióra nie znał w życiu —
To robak szalu olśnąłby w powiciu,
I drzewo czucia nie wrosło głęboko.

Spokojny, drzemiąc na uczuć nawale,
Byłbym jak majtek co śpi na głębinie;
On skały minie i przepaści minie,
Niewiedząc co mu ukrywały fale.

A gdybym nucił, to jak słowik w gaju,
Tylko dla głosu, albo dla kochanki:
Lub z Sybarytą wzniosłszy w górę szklanki,
Przy winie śniłbym o zmysłowym raju.

I może lepiej — boby rozweselił,
Igrał, odurzał, rozśmieszył choć znudził;
Przecieżbym innych skargami nie trudził,
I ślepy sercem, ślepotą się dzielił.

A teraz stójmy! czyliż nowe żale;
Czy nowe skargi? — precz z smutnemi śpiewy:
Gdy chcesz być dzikim, to leć między drzewy,
Lub między ludźmi nie narzekaj wcale.

A. B.





Historya

WIELU MAŁŻEŃSTW.



Ach po jutrze!“ — zawołał Adolf z uniesieniem, zawiązawszy mistrzowską ręką chustkę na szyi i poprawiając jeszcze przed lustrem podróżnej toaletki swojej, starannie ułożone węzły.

„Tak, po jutrze!“ powtórzył z westchnieniem Paweł, podając Panu swemu z igły zdjętą kamizelkę.

„Czegóż tak wzdychasz żałośnie?“— dodał z niechcenia Adolf, szykując równoodległe kołnierze od koszuli, iżby odpowiadały symetrii sztucznie zawiązanój chustki.

„Tak, zwyczajnie“ — mruknął Paweł; a podawszy kamizelkę, obrócił się i poszedł po granatową wołoszkę suto jedwabnemi potrzebami wyszytą, aby ją podać panu.

„A co, czy ładny jestem teraz?“ zapytał Adolf, spinając kamizelkę i przeglądając się w lustrze.

„E! co tam, niech się pan spieszy bo to czas wielki w drogę, poczylion już konie zakłada“ odpowiedział Paweł, i podawszy panu wołoszkę, zabrał się z niechęcią do sprzątania i pakowania.

„Radbym wiedzieć dla czego pan Paweł w takim złym sosie dzisiaj“ — rzekł Adolf i sięgnął po flaszkę pachnącej wódki, którą ubiór swój skropił.

„A czegóż mam się radować?“ odpowiedział mrukliwie Paweł, układając rzeczy w kuferku.

„Jeśliś do mnie przywiązany, tak jak zawsze mówisz, toś się powinien cieszyć ze szczęścia które pana twego czeka“ rzekł Adolf, odstę-

pując parę kroków od lustra, aby się zdaleka ogólnemu obrazowi wdzięków i ubioru swego przypatrzeć.

„Ze szczęścia! — powtórzył Paweł. — Daj Boże żeby tak było, jak pan sobie życzysz.“

„Co ty pleciesz?“ zapytał, odwracając się ku niemu Adolf. — „Cóżby mogło być na przeszkodzie spełnieniu moich życzeń? Wszakże po jutrze mój ślub, czy wątpisz o tém jeszcze?“

„Nie, nie wątpię“ odpowiedział Paweł podejmując z podłogi nie wielki pojazdowy kuferek, a wychodząc z nim z izby karczemnej, dodał gdy już był na progu: „ale po ślubie!...“

„Głupiec!“ zawołał Adolf, i pokręciwszy się żywo po pokoju, zbierając tu i owdzie rozłożone, zegarek elegancki, woreczek do pieniędzy, małeńki grzebień szylkretowy i pugilares, schował to wszystko, i wybiegł żywo na dwór. — Przeszedł koło zaprzęzonego już kocza, do którego Paweł kuferek podróżny przyśrubował, i pobiegł do karczemnej stajni, w której nowiuteńka karetka starannie oponą okryta i cztery konie anglezowane stały. Wyprzedziły one były pana

swego dwoma dniami z domu, i wolnym pochodem przybyły do miejsca, dwie mile tylko od mieszkania rodziców narzeczonej Adolfa położonego, i miały zwolna przybyć tam za nim, aby ważną rolę swoją przy ślubie jego odegrać. Adolf rzucił okiem na pojazd, szory i konie; zalecił wszystko jak najstaranniej oczyścić; wydał stangretowi i lokajowi instrukcyą względem sposobu przywdziania liberyi; zalecił wolno jechać, aby koni nie zgrzać; okurzyć wszystko przed zajechaniem na dziedzieniec i dołożyć wszelkiego starania, aby się konie, przy zajeżdżaniu przede dwór, w całej okazałości wydać mogły. Potem pośpieszył do kocza i przyrzekłszy pocztylionowi podwójny trynkgeld, jeżeli będzie dobrze jechał i pięknie trąbił, wskoczył uszczęśliwiony do pojazdu i łajał Pawła za to, że zbyt wolno na kozioł siadał.

Szybko toczył się pojazd po twardej drodze, nieprzerwane pasmo kurzu pociągając za sobą; mijał jak ptak w polocie wioski, gaje i zieloném zbożem pokryte pola. Odgłos trąbki rozlegał się po powietrzu, spędzając z drogi naprzeciw jadących, którzy czę-

sto z ładownemi wozami swemi ledwo przed pędzącym usunąć się mogli: wszystko niedostrzeżone przez pana i sługę, obadwa najgłębszemu marzeniu oddani, z tą różnicą: że ten zapominał o rzeczywistości wśród marzeń snu smacznego, a tamten nie nie widział i nie słyszał, oddany słodkim marzeniom blizkiej i późnej przyszłości.

Czas biegł niepostrzeżony, a za nim spieszyła upragniona chwila dopięcia celu podróży. Pojazd wolniej postępował, bo piasek i dosyć przykra góra, życzliwości poczytliwa i siłom koni mocny opór stawily. Ustał głuszący turkot kół, a skrzywienie pojazdu i wołanie woźnicy, przerywały nastalą cichość. Paweł chrapnął raz jeszcze, i po mocnym kiwnięciu, okrzaknął i poprawił się na koźle, jakby z mocnym przedsięwzięciem nie spania już więcej. Adolf ruszył się także z poduszek koczna, na których długo zamysłoną głowę opierał; prosto usiadł w pojeździe i zaczął patrzeć przed siebie i słuchać. W tém dał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego, ranną mszą zapowiadający, który, podobnie do dźwięku najprzyjemniejszej melodyi, odbił

się w sercu młodożence. Była - to bowiem zapowiednia bliskości miejsca, gdzie go ukochana Emilia z utęsknieniem oczekiwała. Rumieniec wystąpił na twarzy jego, oczy iskrzyły się żywością, uśmiech mimowolnie osiadł na ustach, i serce mocno bić zaczęło.

„Pawle! czy widać już dwór?“ zawołał.—
„Nie jeszcze“ — odpowiedział Paweł zimno i ziewając dodał: „jak wjedziemy na górę, to go zobaczymy.“

Powstał w pojeździe Adolf, i trzymając się za koziół, kazał się uchylić Pawłowi i poglądał przed siebie.

„Myślałby kto, że pan tej okolicy jeszcze nie znasz, albo że tam jest co ciekawego do widzenia“ — rzekł Paweł, ruszając ramionami. — „No, oto jest i dwór i gumna i ogród i jezioro, za kilka paciérzy tam będziemy; czego pan stoisz w koczku? może pojazd trącić w kamień i pan wypaść z niego.... Boże!“ i znowu ruszył ramionami.

Lecz Adolf nie słuchał słów jego, i łzawém z uciechy okiem sięgał w te miejsca, gdzie na niego najwyższe szczęście czekało.

Najpiękniejszy poranek majowy krasiał ja-

snym promieniem młode wdzięki nie dawno-
co zazielenionój niwy. Blizki gaj zacieniony
zdawał się tchnąć życiem i świeżością; duże
krople rosy wisały u liści trawek i kwiatów;
kwitnące drzewa roznosiły wonie; a skrzy-
dlata rzesza, wśród gałęzi ukryta, śpiewała
miłość, głuszac odgłos dzwonu zdaleka do-
chodzący. Wprost i po za gajem rozciągała
się, błękit niebios odbijająca powierzchnia
spokojnego jeziora, nad którym unosił się
w oddaleniu ranny wyziw wody, jak mgła
lekka niknąca w powietrzu za wpływem coraz
bardziej grzejących promieni słonecznych.
Nad brzegiem jeziora na prawo, zielona niwa
licznem bydłem posiana, a za nią, jakby wia-
nek wśród wesołej doliny utkwiony, mały
gaik ogrodu, na którego tle ciemnym, gdzie-
niegdzie ławki i mostki się białą; za niemi
dwór, mocnym promieniem oświetlony, a do
niego, od miejsca w którym się Adolf znaj-
dował, półkółista droga z wyniosłemi topo-
lami po obudwóch bokach, których wazki cień
przez drogę, na przyległą daleko sięgał rolę.

„Trąb i pojeżdżaj, co konie mogą wysko-
czyć!“ zawołał Adolf.

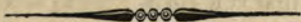
„A bodajżeś przepadł“ — krzyknął wkrótce Paweł, któremu podniecona gorliwość pocztiona po uszach czuć się dała. „Bodajżeś przepadł z twoim biczem! wytniesz mi jeszcze oczy — słyszysz, ty“

Ale trąbka zagłuszyła jego napominania; bicz świstał potem jak pierwój nad jego uszami, że się na obie strony przed nim nachylał, i wkrótce uderzył pojazd o próg wjazdnej bramy, aż pan i sługa na siedzeniach swoich mimowolnie podskoczyli. Coraz mocniej biło serce Adolfa; znajomych psów szczekanie odbiło się przyjemnie o jego uszy; wonie kwitnących bzów, miło uderzyły powonienie jego; lecz wzrok najprzyjemniejsze odebrał wrażenie,] gdy ujrzał w wystawie przed domem, postać niewieścią w której, po wysmukłej kibici, po czarnych lśniących się włosach, i po anielskim uśmiechu, ukochaną poznał Emilią.

Jeszcze Paweł nie był zdążył zleźć z kozła, kiedy Adolf z koczka był wyskoczył i przysła małżonkę swoją trzymał w objęciu. Jaka świeżość tchnęła w jej twarzy, jakim ogniem pałały jej lica, jak miłe było jej uściśnienie,

jak pełne miłości jej wejrzenie, i jaka szczęśliwość Adolfa.... to ten tylko pojąć może, kto znalazł serce co równo z jego sercem biło, komu choć raz w życiu wolno było wyznać że kocha, i odebrać zaręczenie że jest wzajemnie kochany.

„Ej, ej, państwo młodzi pamiętajcie, że to po jutrze dopięro!“.... Drgnęła Emilia na ten odgłos i odstąpiła od Adolfa; lecz miły uśmiech osiadł na jej twarzy, gdy się obróciła i wzięła tkliwie ojca za rękę, który serdeczném uściśnieniem przyszłego zięcia powitał.



Nieraz doświadczamy tego w życiu, że oczekiwanie szczęścia i tęskna niecierpliwość, która liczy chwile, do nastania najprzymnięjszej, tak wiele miały dla nas powabów, iż po spełnieniu życzeń naszych, chcielibyśmy jeszcze raz wrócić się do tego czasu w którym nadzieją tylko były. Narzeczony cierpiący na każdej zwłoce w zawarciu ślubów małżeńskich, i nie umiejący ocenić słodyczy

tęsknoty, który całą siłą wyobraźni pieści się z obrazem przyszłego szczęścia swojego, nie raz w dalszém życiu zwróci z żalem myśl swoje na dawno ubiegłe chwile, w których się tylko spodziewał i tęsknił.

Ostatnie dwa dni które poprzedzały dzień ślubu Adolfa, jakkolwiek pełne tej nigdy nieocenionej słodyczy oczekiwania, były stracone dla niego. Pojutrze i jutro było wszystkiém; a dziś, niczém. Był on podobny, do człowieka na pół jeszcze snem zdjętego, który marzy o miłych przedmiotach czekających na niego po zupełném przebudzeniu, który słyszy niewyraźnie dźwięk przyjemnej melodyi opodal granój; lekko jeszcze pod jej wpływem usypia, najprzyjemniejsze od niej odbierając wrażenia, a nie może się jeszcze roztrzeźwić zupełnie, aby się jej ocuconém uchem przysłuchać, i pojąć jej akordy.

W wilią ślubu siedzieli z ukochanemi rodzicami, z przybyłemi na ślub krewnemi i przyjaciółmi, na wzniosłym miejscu ogrodu, z kąd oko sięgało na całą przestrzeń spokojnego jeziora. Długo byli przedmiotem żartów wesołego towarzystwa i ciągle drażnieni,

ciągle nastęrczali nowe powody do powtarzania miłych naigrawań, z ich miłosnej tęsknoty; podobnie jak dzieci które cierpieć muszą przekorę starszych, a powtarzają ciągle to co do nich powód dało. Przecież obrano inny przedmiot rozmowy, i kochanków na chwilę spuszczone z uwagi. Usunęli się oni o kilka kroków od osób zajmujących ławki w altance w chińskim guście wystawionej, i stanęli przy jednej z kolumn lekki dach unoszących, nad brzegiem muru prostopadle u parowu schodzącego, z kąd widok otwarty na całą rozciągał się okolicę.

Z parowu nad którym wznosiła się altana, sięgały ku niej z boku woniejące gałęzie czeremchy, powiewając białym kwiatem swoim na ciemną ścianę lip wyniosłych, których wierzchołki kołysały się zwolna nad kończącym dachem i rzucały na niego migające się cienie liści swoich. Jasno odbite w jeziorze spokojne księżycyca oblicze, siało przed siebie drżące promienie po jego powierzchni, i blade światło po zroszonej roznosiło łące. Szczęśliwi z tego że uszli na chwilę bacności obcych, stali kochankowie nasi w milczeniu

obok siebie, niemogąc znaleźć wyrazów któreby tłumnie ich uczucia oddać mogły. Ręka Emilii spoczywała w dłoniach Adolfa, który dając i odbierając najtkliwsze ścisnienia, nie spuszczał oka z zarumienionój twarzy kochanki, i szukał w wilgotném jój oku i na drżących jój ustach udziału uczucia, którém sam był przejęty. Po długiej chwili tego milczącego uniesienia, rzekł nakoniec całując trzymaną rękę: „Jutro.“ — „A od jutra do zgonu tak ciebie kochając jak dzisiaj... czy zawsze równie dla ciebie drogą będę?.....“ zapytała Emilia spierając lekko głowę na jego ramieniu.... „zawsze!“ — odpowiedział Adolf i na ustach kochanki długiem całowaniem stwierdził to przysiężenie święte. Powstanie gości ocuciło marzących kochanków, wrócili do dworu, i rozstając się myśleli nad tém, jak wiele to godzin jeszcze do pożądanój chwili upłynie.



Szczęśliwi, nie sięgali jeszcze myślą po zagranicę godowych rozkoszy, bo zapal pier-

wszęj miłości zbyt ich daleko unosił aby mogli dostrzedz pasmo dalszego pożycia małżonków snujące się między liczném przeciwieństwem, a pozbawione dalej tych słodyczy które w niem dziś upatrywali. Lecz jakżeby słodkie ich złudzenie cierpiało na tém, gdyby mogli byli być świadkami rozmów niektórych osób, które w osobności uwagi nad nimi czyniły!

„Jakże mnie téż nudzi rozkochana para“ rzekł mąż ciotki Emilii udawszy się na spoczynek z podżyłą małżonką swoją do pokoju dla nich przeznaczanego. „Jedno z drugiego oka nie spuści przez dzień cały; ściskają sobie ręce, całują się—to nieznośnie! patrzeć na to nie mogę.“

„Ach!“ odpowiedziała małżonka zdejmując zwolna przed lustrem strój głowy, który mimo całą sztuczność układu swego nie mógł przywrócić powabu utraconych wdzięków.—Ach jakże-to szczęśliwe są momenta! jak słodkie we mnie wznawiają wspomnienia!

„A moja kochana — rzekł mąż zapalając sobie lulkę, — nie róbże mnie téj krzywdy, ja nigdy nie byłem takim romansowym nudnikiem jak Adolf.“

„Nie mówię o tobie, lubo był czas w którym inaczej na mnie spoglądałeś jak dzisiaj, ale....“ tu się zatrzymała ciocia, i westchnąwszy nie śmiała wynurzyć swęj myśli.

„Czemuż niekończysz“ dodał mąż. — „Ale nieboszczyk mąż, ów wzór doskonałości i dobroci, tyle kroć już mnie na przekorę przytaczany, to był zapewne tak rozkochany i tak.....“

„Nie kończ proszę cię...“ rzekła z uniesieniem małżonka, — „bo zapewne jakie przykre słowo masz na myśli.“

„Czegóż też zawsze dawać mi przytyki które mnie gnięwają?“ odpowiedział mąż siadając z niechęcią na kanapę i żywo pędząc dym lulki przed sobą.

„To już mi westchnąć i wspomnieć na dawne upłynione szczęście nie wolno!“ rzekła coraz żywiej żona.

„A wzdychaj sobie jak chcesz, abym ja tego nie słyszał“ — odparł mąż zrywając się z kanapy i idąc po kapelusz na stołku leżący. „Myślałby kto że ci na czém zbywa, i że ci czego żałuję.“

„Jaki pan łaskawy“ rzekła z ironią małżonka

„że mi niczego nie żałuje; ktoby to słyszał, toby rozumiał żem los wielki zrobiła idąc za ciebie i żem ci żadnego majątku nie wniosła.“

Mruknął coś niewyraźnie małżonek, trzasnął drzwiami i wyszedł na dwór aby mógł ochłonać, a żona jego zasnąć nim lulkę skończy.

W innym pokoju podobna co do skutku a odmienna w powodach, odbyła się scena między bratem stryjecznym Emilii i jego żoną.

„Jaka Emilia szczęśliwa, — rzekła ona do męża, opierając rękę na jego ramieniu i patrząc na niego z przymileniem, — zachwycił mnie prawdziwie widok obojga kochanków.“

„Skutkiem-to zapewnie tego zachwycenia — odpowiedział mąż żonie, — byłaś przez dzień cały tak uprzedzająca dla pana kapitana.“

„Uprzedzająca! doprawdy? — rzekła żona, spuszczaając rękę z ramienia męża i odsuwając się od niego. — Ty zawsze coś upatrzysz do mnie czego nikt inny nie widzi.“

„Bo to nikogo nie obchodzi tak jak mnie.“

„Ty byś chciał ażebym do żadnego mężczyzny słowa nie wyrzekła.“

„Bynajmniej, chciałbym tylko abyś z jednym przez cały dzień nie gadała; aby się ten wybrany z pomiędzy wielu, tak często do pani nie przysiadał, i w ten czas z nią najżywszej nie prowadził rozmowy, kiedy mąż czém inném jest zajęty; aby nie szeptał kiedy wszyscy głośno gadają.“

„Szkaradna podejrzliwość, zazdrość przez ciebie mówi.“

„Nie trzeba do niej dać powodu.“

„Nie trzeba być tak zimnym i obojętnym dla żony, i wypada dawać jej dowody większego przywiązania.“

„Może grać rolę kochanka po kilku latach małżeństwa, a jeśli nie, to dozwolić aby kto inny nas w tej mierze zastąpił.“

„Kto się nie czuje być zdolnym podobania się ciągle kobiecie, tenby się żenić nigdy nie powinien.“

„Żałuję mocno żeś się przed ślubem nie przekonała o tém czyli taką zdolność posiadasz lub nie.“

„O! przed ślubem każdy z was jest przyjemny i dobry.“

„A każda z was jednemu tylko wierna, do jednego tylko przywiązana.“

„Gdybyśmy mogły przewidzieć jakim będzie mężem kawaler który się o nas stara, tobyśmy nie raz inny wybór zrobiły.“

„O! i my także, to ci zaręczam.“

„Może żałujesz zbyt lekkomyślnie uczonego wyboru.“

„Powtarzam tylko to co ty mówisz; żal podobno z twojej jest strony.“

W tym tonie trwała jeszcze czas niejaki rozmowa, a nazajutrz pani bardziej jeszcze uprzedzającą dla kapitana była.

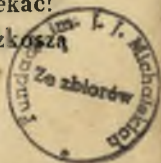


Pożycie małżeńskie podobne do pory dziennej wśród lata: zaczyna się jak piękny poranek w którym wszystko tchnie świeżością i siłą życia. Miło oddychać lekkim jego powietrzem, i przebiegać bez znużenia piękną okolicę, bo jasny promień zdobi wszystkie widoki a nie dokucza jeszcze upałem. Nastanie chwila południa: więdną kwiaty,

znika świeżość; upał utrudza każdy krok w podróży naszej; próżno przed nim szukasz schronienia; znużenie i ociężałość towarzyszą ci wszędzie: szczęście jeszcze, gdy skwar słoneczny nie sprowadzi burzy która zaćmi wszystkie widoki i zniszczy nadzieje twoje. Wieczór ożywia chłodem okolice, a za przewodem promienia który blado przyświeca i nie grzeje, przebiegamy swobodnie uciszoną okolice, przypominając sobie jak piękną była gdy ją pierwszy promień oświecał.

Szczęśliwy! kto w poranku małżeńskiego pożycia nie łudzi się tą zwodniczą nadzieją że go w całej dobie równa czeka przyjemność; kto umie znieść cierpliwie znużenie południa i przetrwać burze mieszające nieraz pogodyienne; kto używając spokojności wieczora, z pociechą upłynione chwile przypominać sobie może. Lecz jakże wielu schodzi z kolei domowego szczęścia, napotkawszy na niej przeciwności których nie przewidywali! jak mało umie przebyć poranek bez uniesienia i złudzeń, a południe z wytrwałością, aby się spokojnych pociech wieczora doczekać!

Adolf i Emilia odurzeni poniekąd rozkoszą



i miłością w poranku pożycia swego, nie zdołali przebyć szczęśliwie niebezpiecznej pory ostudzenia się zapalów i przeistoczenia się namiętnych uczuć na zimniejsze lecz trwałe przywiązanie.

W pierwszym roku małżeństwa, zdziwiło to Adolfa że żona okazywała mniej ufności i uległości od kochanki, i że ten anioł dobroci umie się gniewać niekiedy. W drugim, oparł się jej niesłusznym naleganiom, i naraziwszy się na nieprzyjemność niesnasek domowych, żałował tego że się z początku zbyt ulegającym pokazał. W trzecim, uczynił to doświadczenie, iż małżeństwo jest pewnym rodzajem niewoli, której znieść niepodobna, jeżeli żona nie tylko osładzać jej nie umie, ale owszem przez okazywaną ciągle chęć panowania w domu, przykrość powiększa.

Emilia dostrzegła z zadziwieniem w pierwszym roku małżeństwa, że mąż nie jest tak nieodstępny i uniżony jak kochanek, i że może wzbudzić choć przemijającą niechęć. W drugim roku, rozpatrując się w nim, nie widziała już w jego powierzchowności tych powabów które ją dawniej zachwycaly, i

rozbiérając przymioty serca jego, wiadomości i talenta jakie posiadał, zastanawiała się nad tém, co się jej w nim tak bardzo podobać mogło. W trzecim, doświadczała nieraz nudów w towarzystwie męża, czyniła niekorzystne dla niego porównanie między nim a kilku innemi młodemi ludźmi którzy jej wdziękom hołd zmyślnego uwielbienia składali, i odurzona otrzymywanemi pochwałami, wyżej siebie od niego ceniła i uleganie jego woli za upokarzające dla siebie poczytała.

W tym czasie zdarzyło się, iż małżeństwo nasze postanowiło jechać na imieniny jednej ze sąsiadek, które mąż jej bardzo uroczyście chciał obchodzić. Była-to, jak dawniej nazywano, wielka gala na którą się całe sąsiedztwo zjechać miało, i gdzie każdy przybywający mężczyzna dzielnością koni i pięknością ekwipażu, a każda kobieta wytwornością stroju celować miała. Przed odjazdem wszedł Adolf do pokoju, w którym się Emilia ubierała, aby przyspieszyć koniec jej toalety z powodu że już było zaprzężone, i zastał ją w najgorszym humorze, napół ledwo

ubraną i rzucającą na ziemię czépek, który dnia tego włożyć miała. Cóż - to takiego?— zapytał. — Nie pojedę— odpowiedziała żywo Emilia siadając na krześle, i obracając twarz rozgniewaną ku oknu, aby mąż jej zapłomienia nie widział.

„A to znowu dla czego?— zapytał Adolf, cóż będzie miało za minę kiedy ja bez ciebie tam pojedę.“

„Co w tém dziwnego — odpowiedziała nie obracając się Emilia.—Czy - to żony koniecznie i nieodstępnie mężom towarzyszyć mają! pojedziesz sam i powiesz że mnie głowa boli.“

„Ale niech-że wiem przynajmniej co może być przyczyną téj nagłej zmiany postanowienia twego.“

„Co ci po téj wiadomości, dosyc że nie pojedę.“ Zbliżył się Adolf do stołka Emilii, zajrzał jej w oczy i spostrzegłszy w nich łzy, rzekł słodko: „Emilko! co ci się stało? Ty płaczesz widzę, cóż może być przyczyną twojej zgrzyoty? przyznaj mi się, dla czego nie chcesz jechać na imieniny?“

Łagodny ton mowy Adolfa rozbroił niechęć

Emilii: spuściła oczy i ocierając jeszcze łez parę, rzekła: „nie chcę abyś się za mnie wstydził i dla tego jechać nie mogę.“

„A to z jakiego powodu miałbym się wstydzić za ciebie? nie rozumiem wcale.“

„Oto nie mam nic świeżego do włożenia na głowę; ten czépek jest już znany, a ja-
hym się tam pokazała jak jaka biedna szlachcianka, która nie ma za co sprawić sobie co nowego; dla tego wolę pozostać.“

„Ale kochanko, czemuś sobie nie sprawiła co ci potrzeba? czyż ja mogę zgadnąć że ci na czém zbywa? mogłaś mi dać zlecenie, gdym teraz jechał do Warszawy.“

„Luni mężowie nie czekają na zlecenie żon, ale sami się domyślają i przywożą im prezenta, za każdą bytnością w Stolicy. A ty wiész nawet od dawna że sobie życzę nowego kaszemiru, a dla tego nie przejdzie ci nawet przez myśl, abyś go miał kupić dla mnie.“

„Co innego szal kaszemirowy, a co innego jaki stroik na głowę: pierwszego kupić ci nie mogę, bo nie mam na to teraz dosyć pieniędzy, ale gdybyś mi była słowo powie-

działa o czépku, to bym ci był pewnie kupił.“

„Wolę nie mieć jak się o co prosić.“

„No, no, nie gniewaj się—moja wina, przyznaję; na drugi raz będę domyślniejszym. Przebacz mi proszę“ — to mówiąc pocałował ją w rękę,

„O! u was nigdy na obietnicach nie zbywa.“

„I, skończ te wyrzuty — dodał Adolf łagodnie, — a zrób mi tę łaskę i wybierz się jak możesz na te imieniny.“

„I cóż włożę na głowę? tego czépka ani ruszę.“

„Czyż—to koniecznie w czépku—tobie we włosach bardzo do twarzy, — pamiętam jak byłaś śliczną kiedyś była panną, chociaż w ten czas czépków nie nosiła.“

„Tak, w ten czas byłam śliczną, bom jeszcze nie była żoną.“

„I dziś jeszcze jesteś piękniejszą, tylko się ubierz i pojedź ze mną“ — to mówiąc uściskał Adolf Emilią, która z niechcenia zasiadła przed lustrem, i poruczywszy swojej panie służącej, utrefienie włosów, sama dodała wdzięków jéj układowi i przekonaw-

szy się wkrótce że istotnie ślicznie wyglądała w tym prostym stroju; w lepszym jak pierwój humorze siadła do karety i pojechała z mężem na imieniny.

Tym razem nie żałowała Emilia bynajmniej uległości swój dla męża, bo zastała w domu solenizantki Leona młodego jej brata, którego wszystkie obecne damy za największą doskonałość i za wzór młodzieży ogłosiły, a który wszystkie inne pominął, z żadną prawie nie mówił i całkiem nią się zajął, i przez dzień cały nieodstępnie jej towarzyszył. — Ujmująca powierzchowność Leona, dobre wychowanie jego i wyborny ton światowy, a przytém śmiałość w obejściu się z damami, jednały mu wszystkich głosy, we wszystkich wzbudzały chęć zajęcia go sobą. Mocne było wrażenie które on na Emilii uczynił, bo wzbudził w niej razem upodobanie ku sobie i uczucie, tak miłe niewieście, przyznanego przed innymi pierwszeństwa; w uniesieniu swoim nie myślała nawet o Adolfie, a gdy się do niej przybliżył i wmieszał do rozmowy z Leonem, zarumieniła się za niego i z pewnym upokorzeniem przyjęła wyrazy poufale, któ-

remi się do niej odezwał. Jakże on był niższym pod wszelkim względem od Leona! powierzchowność jego była niezgrabną, ubiór niestosowny, ton parafiański, głowa słaba, wiadomość ograniczona... zwłaszcza że Leon powróciwszy dopiero z zagranicy, opisami swemi wszystkich zajmował. Nie mógł Adolf patrzeć obojętnem okiem na zalotne zabiegi jego i uprzejmość z którą je żona przyjmowała. Zazdrość, zwykła słabość jego serca, burzyła go skrycie i zawistne rodziła w nim uczucie, i jedna tylko obawa narażenia się na zarzut śmiešności, powściągnąć mogła jego uniesienie i odwieść go od zamiaru porzucenia nagle towarzystwa, do którego mimo jej woli, żonę swoją wprowadził. Nie spuszczał on jej z oka, i chociaż nie śmiał zbliżyć się do niej zbyt często, aby podsłuchać o czém z Leonem rozmawiała, krążył jednakże zawsze koło niej gryząc wargi, krótko odpowiadał każdemu ktokolwiek do niego przemówił, i z niechęcią oddalał się na chwilę z pokoju gdzie ona się znajdowała.

W wieczór zaczęto tańczyć po klawikordzie. Staęto kilka par do mazura; Leon

był naturalnie tancerzem Emilii; Adolf stanął we drzwiach z jednego pokoju do drugiego, z kądem niepostrzeżony mógł śledzić każde poruszenie tańczących. Najszczerzą wesołość jaśniała na twarzy jego małżonki; uśmiech pobiegał ciągle po koralowych ustach; iskra żywego czucia błyszczała w oczach: zręczna jej kibić nieostłoniona szalem, prosty strój głowy którą stosownie utrefione włosy jedynie zdobiły, przy młodym jeszcze wieku i przy lekkości która jej była właściwą, nadawały jej postać młodej panienki, w tej najszcześniejszej porze, w której wszystko hołduje, wszystko o łaskę uprzejmego jej wejrzenia się ubiega. Taką była przed kilku laty, gdy szczęśliwy Adolf najgorętszą ku niej pałał miłością, gdy ona ślubowała jego tylko kochać jedynie. Dziś jej widok wracał mu pamięć tych chwil zbyt szybko i na zawsze, niestety! ubiegłych, gdy z niewymownym wdziękiem przebiegała u ręki Leona koło tańczących między niemi w różnych mazurka obrotach: to jednym podawała rękę, to z innymi skoczny odbywała obrót, to nakoniec z przymileniem wracała do swego

tancerza i spierając się na jego ramieniu, skocznege biła chołupca. Zatopiony w marzeniu, to się zachwycał Adolf wdziękami swęj żony, wznawiał w umyśle dawną jej dla siebie miłość, to drżał skrycie z zawiści, gdy na jej twarzy spostrzegł uśmiech ku zawistnemu zalotnikowi zwrócony, lub gdy spoczywając z kolei w tańcu, widział jak uprzejmie z nim rozmawiała i jak on nią był zachwycony.

Przerwał zamyślenie jego jeden z obecnych w sali, uderzając go po ramieniu i mówiąc: „czegóż tu stoisz tak nieczynnie?“

„Przypatruję się tańczącym“ odpowiedział Adolf jakby nagle ze snu przebudzony.

„Chyba śledzisz kroki żony twojej. Pfe, daj temu pokój: kto się już raz do naszego męzowskiego cechu zapisze, ten musi się nauczyć patrzeć obojętnie na to jak się inny do jego żony umizga.“

„Kto ci powiedział że ja o moję żonę się troszczę i ją mam na oku.“

„Tego nie trzeba mówić, bo o tém świat cały wie, i to z twoich oczu wyczytać można.“

„Bynajmniej,“ odpowiedział z niechęcią Adolf i przyszedł do drugiego pokoju.

„A gdyby tak nie było, czybyś to był zaniechał dotychczas postawić dukata do tego hanczku“ odpowiedział goszczący skazując na stolik grającemi otoczony.

„Kto się ożeni to się odmieni — dodał jeden z grających. — Adolf tak jest teraz żoną zajęty, że już na żadną inną damę dukata nie zaryzykuje.“

„Kto to powiedział? — rzekł z wymuszeniem Adolf, — otóż właśnie że stawię na damę.“ Idzie — wziął kartę, stawił na nią i patrzył najprzód obojętnie; zagiął podobnież parol gdy wygrała; przystawił później drugą, a gdy potroił pierwsze stawki, przysunął sobie stołek i zasiadł do stolika, i odtąd całkiem się grą zajął, nie rozmarszczając wszakże czoła, i dodawszy do wyrazu niechęci, który się na nim malował, zapłonienie namiętności do gry, która przy każdej wydarzonej sposobności górę nad nim brała.

Po skończonym tańcu przechadzała się Emilia z gospodynią domu i z Leonem po pokojach, a zbliżając się do drzwi trzeciego

pokoju, w którym stolik do gry licznemi amatorami był otoczony, usłyszała głos Adolfa, i te przez niego z gniewem wyrzeczone wyrazy: „Ani jednej karty w całej talii nie trafiłem! to trzeba mieć szalone nieszczęście.....“ Zbladła Emilia i zbliżyła się drżąca ku stolikowi, do którego i Leon przystąpił. Adolf siedział przy nim rozgniewany; iskrzące się oczy jego śledziły chciwie każde poruszenie ręki bankiera i każdą na lewo i na prawo upadającą kartę; w rękach gniótł konwulsyjnie pęk kart, i szukał niepatrząc tej, która w razie przegrania los jego poprawić miała. Padła na prawo jedna z dwóch kart stawionych — schwycił ją Adolf żywo, zgniótł z przyciskiem i rzucił na ziemię; i druga wkrótce potem poszła za pierwszą, odsunął żywo kupkę złota, która przed nią leżała, i zawoławszy z wyrazem rozdrażnionej namiętności: „Attendez“ zaczął przebieierać między kartami i rzekł: „gotowizna poszła, ale idzie na marki: — sto dukatów na tę samą damę która mnie już tyle razy zdradziła!“

Na te słowa nie mogła się wstrzymać Emilia, która długo wzruszenie swoje ukryć

chciała, i zawołała: „Mężu co robisz!“..... Drgnął z razu Adolf na te wyrazy, które sprawiedliwy wyrzut zawierały; lecz gdy podniósł bystre oczy, gdy zwracając je na żonę spostrzegł obok niej Leona, uśmiechnął się z wyrazem zawiści i rozpacz, odpowiedział jej sucho: Gram i grać będę — i spierając czoło na ręce, aby oczy przed żoną zasłonić, całą uwagę swoją na karty zwrócił. Emilia nie widziała jeszcze żadnego wyrzutu w wejrzeniu męża, i przypisując przykrość jego odpowiedzi przemagającej w nim namiętności gry, oddaliła się żalem zdjęta od stolika, i szybko idąc do drugiego pokoju, rzekła do towarzyszki swojej: „Oddalmy się na chwilę, proszę pani, bobym nie chciała mieć świadków mego wzruszenia, i z nią razem do innego przeszła gabinetu. Tam zalała się najprzód łzami, i nad losem swoim ubolewać zaczęła. Następnie wynurzyła wszystkie przyczyny niechęci, i liczne Adolfowi czyniąc zarzuty, przeszła nieznacznie z żalu do uniesienia gniewu, i na tém skończyła, że nie wracając do kompanii i nie ostrzegłszy męża, kazała zaprządz i do domu odjechała.

Nazajutrz nastąpił dzień nader przykry dla obojga małżonków. Najprzód nie gadali do siebie kilka godzin; potem zaczęła Emilia czynić wyrzuty mężowi, iż przegrywa pieniądze, wtedy właśnie gdy jej oświadczył, że nie ma za co jej kupić szal, i odebrała w odpowiedzi przykrzejsze jeszcze wyrzuty za zbytnią uprzejmość dla Leona; i gdy małżeństwo w najżywszej było sprzeczce, gdy jeszcze nie nadeszła była chwila uśmierzania rozdrażnionych niechęci, przez wynurzenie zobopólne wszystkich przyczyn żalu, usłyszano łoskot pojazdu — i Leon przybył do nich z wizytą. Umiała pokryć wzruszenie swoje Emilia, a przyszedłszy wkrótce do siebie z pierwszego pomieszania, rada była iż znalazła sposobność pomszczenia się na mężu, i z większą jak kiedykolwiek usilnością starała się podobać gościowi swemu.

Ta okoliczność pozbawiła nasze małżeństwo sposobnej pory pojednania umysłów; nastreczyła tylko nową do niechęci przyczynę. Adolf, pałający najżywszą zawiścią, przemówił do żony tonem rozkazującym jakiego jeszcze nie był nigdy używał; Emilia na to od-

powiedziała pogardzającym milczeniem: przez dni kilka nie rozmawiała z mężem, a on chcąc uniknąć trapiących go nieprzyjemności domowych, wyjechał do Warszawy. Za powrotem nie zastał już w domu Emilii, która, korzystając z jego niebytności, do rodziców odjechała, i tylko list wyrzutów pełny, stroskanemu mężowi zostawiła.

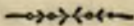
Nie jest-że-to Historia wielu małżeństw?

Fr. Hr. S.....





ANIOŁEK RÓŻIĄ.



W

owój dobroci i litości chwili,
Gdy aniołowie i święci,
Niebieskiem szczęściem zajęci,
Zasłonę niebios schylili,
By promyk szczęścia i na ziemię spłynął;
Czyto przypadkiem, czy skrycie,
Sprzykrzywszy sobie niebieskie życie,
Aniołek jeden im zginął.

Trzykroć się wstrzęsły niebiosy do koła,
Na głos trąby archanioła —
I trzykroć się uciszyło —
A jego widać nie było.

Tymczasem w Rózi postaci,
Na ziemię aniołek skoczył,
I aby go który z braci,
Czasem nie zoczył;
Z figlarném oczkiem i z niewinną buzią,
Dzisiaj nazywa się Rózią.

Nic to jednak nie przeszkadza —
Powiadają, że się zdradza,
I że, chociaż jest ostrożna,
To aniołka poznać można.

M. C.



ELEGIA



ZEGNAJ mi, żegnaj, wieku mój młody

Jakżeś mi prędko upłynął!

Ledwiem na błogie puścił się wody,

Jużem do portu zawinął!

Jeszcze na drzewie mego żywota,

Owoc nie cięży złożony,

A już jesienna ściga go słota,

Liść na nim pozółkł zielony.

Ach! namiętności wichler zuchwały,

Okręt mój prędko zbyt pędził;

Czas, chociaż krótki, w zbytynie upały,

Listków zielonych nie szczędził.

Myśli, swoboda, świeżość urody,

Zapał mój wieszczy przeminął;

Żegnaj mi, żegnaj, wieku mój młody!

Jakżeś mi prędko upłynął!

Wiktoryn Zieliński.

DO ŁZY

Lzo! kwiatów boskich roso! — jakże jesteś
droga!

Droższa nad złoto, perły, nad drogie kamienie —

Boś na ludzką pociechę zesłana od Boga

W tobie dusza cierpiąca znajduje zbawienie;

W tobie się boleść serca w balsamy roztapia,

A radość czystych uczuć w Boski napój zmienia:

Błogie zbieramy plony, gdzie deszcz twój pokrapia;

Godną ty jesteś siostrą, czulego westchnienia.

Teofil Nowosielski.



DO SERGA



serce, szczęścia dziedzino!
Pozwól, niech w samotnej dobie,
Pociechę znajduję w tobie!
Gdy chwile szczęścia przeminą,
Szczęście doczesne omija,
Niech mi twoja radość sprzyja!

Któż w życiu nie znał niedoli?
Zawsze coś dolega, boli,
I każdy cierpi kto czuje.
Lecz i wtenczas w twojej ciszy,
Słowo pociechy usłyszy,
I spokojność odzyskuje.

Lecz jeżeli, serce drogie,
Masz osładzać chwile srogie;
Znaj wprzódki godne przymioty:
Bądź zawsze czyste, niewinne,
Znaj uczucia dobroczynne;
Bądź wprzódki mieszkaniem cnoty.

Walentyna T.



MARZENIA.

JA.

STARCZE! co się stało tobie?
Czy ty walczysz z nieszczęściami,
Że w pół zmarły, i przy grobie,
Jeszcze zaléwasz się łzami?
Wiek twój szczęściem ci się staje,
Bo duch od ziemi ucieka
W nadziemskie, w niebieskie kraje —
Tam jest szczęście dla człowieka.

STARZEC.

Ja nie pytam niebios wcale,
Czy będą w grobie łaskawsze;

Lecz na to się tylko żalę ,
Że zginęły moje lata.
Dożyłem całego wieku ,
Bijąc się z nieszczęściem zawsze ;
O świecie i o człowieku
Zbierałem same nauki ,
I z niemi nienawiść świata.
Teraz patrz, syny! patrz wnuki,
Znalazłem szczęście przed zgonem ;
Przywiązałem się do ziemi ,
Otoczony dzieci gronem ;
Chciałbym chwilkę przeżyć z niemi ;
Ale słabość nie pozwoli:
Grób rozwarty, śmierć już blizka —
Ach! to tylko, to mnie boli ,
I ły z oczu mi wyciska.

J A.

I ty, młodzieńcze, strapiony
I tobie łyza w oku stoi!
Pewnie zginęły dostatki ,
Zdradził przyjaciel kupiony ;
Lub płaczesz ojca i matki ,
Twojej siostry, twojej żony ;
Lub może kochanki twojej!
Próżno stroisz w uśmiech lica ,
Chcąc robić boleść tajemną ;

Przebija twa tajemnica,
Nie ukryjesz łyzy przede mną.

MŁODZIENIEC.

Wzrok twój choć skałę przebiję,
Dojrzyć mi w piersi nie zdoła:
Ukryję, wiecznie ukryję
W sercu Anioła.
Skromne jej lica,
W oku niewinnem myśl wolna;
Postać nie dziwi, ani zachwyca;
Cała, jak róża polna,
Co świeżo piersi rozwiła,
Tak miła!
A nic nie ma —
Wdzięki jej tego nie wzruszą,
Kto na nią spojrzy oczyma,
Nie duszą.
Myśli me czarownym tłumem
Płaczą się przy jej osobie;
Witam ją czuciem, zegniam rozumem:
Sam ją umarzyłem sobie.
Sam marzę. Biorę jej ciało,
I postać stroję
W anielskie marzenia moje.
Lecz wdzięki — to dla mnie mało:
Wiatr je rozwieje.

Biorę jej serce, i tam leję
 Co mi najszlachetniejszego w piersiach po-
 I umarzoną zawczasie, (zostało;
 Jak gwiazdę szczęścia tak błogosławię,
 Tak we śnie!

Ale ach! nie tak na jawie:
 Bo ile razy w myśli ognistej,
 Z mych się oderwę omamień,
 Nie wiem wtedy czy w jej piersi czystej
 Serce czy kamień.

Widzę jak biedny jestem, jak ona bogata:

I jeszcze dla niej Boga proszę

O mitrę, o tron,

O całe bogactwa świata,

O wszystkie świata rozkosze;

A sobie — o zgon.

By nie pokazać cierpień nawet śladu,

Połykam łyżę me tajemnie,

Które jak krople jadu

Padają we mnie.

Czuję jak boli,

I jak kryjomo życia sprężyna

Rwie się powoli.

O! niech ten jad mnie zabije,

Wprzódy, nim okropniejsza godzina wybije;

Wprzódy, nim resztę cnoty

Wydrze oko czyje!

J A.

A tobie piękna dziecino,
 Dlaczego łzy z oczu płyną?
 Pod niewinności pokryciem,
 Mniej żądy choć mało latek;
 Jesteś aniołkiem skrzydlatym,
 Co się ledwie wita z życiem:
 Jeden motyl, jeden kwiatek,
 Dziś dla ciebie całym światem;
 Pokarmem twego żywota:
 Niewinność, młodość, pustota;
 I tobie, piękna dziecino,
 I tobie łzy z oczu płyną!

DZIECIĘ.

Ach ja płaczę, mój kochany,
 Mojej bańki malowanej!
 Wydałem ją w tym kryształe,
 I puściłem precz do góry;
 Podnosiła się wspaniale:
 Myślałem że dojdzie chmury;
 Lecz kiedy tak sama jedna
 Na wiatrach siadła,
 I pędzi w niebo --
 Pękła i spadła!

STARZEC.

I tobie iza w oku świeci:
Pewnie umierać wypada;
A tu malutka gromada
Krewnych, i wnuków i dzieci,
Lub osób do których miło,
Serce mu się przylepiło:
Ze do nich iza w oku świeci!

MŁODZIENIEC.

Łza wiecznie świeci mu w oku,
Marzenia w niebo go wznoszą,
A tęskność razem z rozkoszą,
Płynie mu we łzach potoku.
Pokochał lice rumiane,
I serce nieporównane,
Za którym iza świeci w oku!

DZIECIĘ.

O! widzę pomimowoli,
Łzy w oczach błyszczą mu rzewnie;
O! ja wiem co go tak boli,
Bańka mu pękła zapewnie.

J A.

Nie osób lubych szukam łzami memi,
Myśli na bańkach w niebo nie przewożę ;
Mam wszystko na ziemi,
Co człowiek mieć może.
Nie w nędzy chociaż nie w złocie ,
Dla ciała rozkoszy wiele ;
Dla myśli jest wspomnień krocie ,
Dla duszy są przyjaciele,
A dla serca? — Do serca przyciskam z zapa-
Głośną powabnym ciałem , łem,
Głośną cnotami dziewicę ;
Ale to wszystko za mało !
Czuję zgryzotę , tęschnicę ,
Coś mi się wśród serca stało ,
Coś mnie nad ziemię porywa ,
Tam daleko ! tam wysoko !
W niebo ! gdzie do cudów brama ,
Gdzie nie pojrzy oko ,
Gdzie myśl nie doleci sama ,
Tam mnie tęschnota porywa
A tu spojrzysz oto !
Ziemia klatka nieszczęśliwa ,
Ziemia prosek , podłe błoto.
Raz tylko wielkim sposobem ,
Tak jak się dziś myślą pieszczę ,

Takbym chciał raz choć przed grobem.
Coś wielkiego kochać jeszcze.
Świat ten dla mnie jest za mały:
Ledwie wyciągnę ramiona,
Ledwie przycisnę do łona;
Na objęcie mi nie stanie,
Odepchnie sercem ze skały,
I z sercem niezgodny młodem,
Za ogniste całowanie,
Pocałuje samym lodem.
Świat ten za mały! za ciasny!
Ach! wiek mój trawię tu marnie
Żałuję młodości własnej,
Żałuję młodości czulej,
Że na ziemi skamieniałej,
Tu mnie nieba z nią przykuły:
Z tąd łązy moje i męczarnie.

Antoni J. Szabrański.





OGZY UROCZNE (*).

1.

BOGATY szlachcic, w murowanym dworze, mieszkał nad Wisłą: wszystkie okna tego dworu wychodziły na wspaniałą rzekę: nie było żadnego ani od strony gościńca, ani téż

(*) Uroczne — od *uroku*, o którym przesady dotąd między ludem trwają. Powieść ta wyjęta z dzieła będącego w rękopiśmie pod napisem: „Klechdy starożytne podania ludu polskiego i Rusi.“

obszernego gumna. Długa alea lip, między którymi przechodziła droga do dworu szlachcica, zarosła trawą i chwastem, wskazywała że nie wiele sąsiadów to samotne siedlisko odwiedza; że nie znajdziesz tu dawnej gościnności.

Pan tego dworu, od lat siedm dopiero się z dalekiego powiatu sprowadził; ale wieśniacy mało go znali i nawet z bojaźnią unikali: okropne bowiem powieści biegały o nim.

Z bogatych rodziców urodzony nad brzegami S a n u, od kołyski nieszczęśliwa mu przyświecała gwiazda: miał oczy uroczone, które chorobę i śmierć ludziom zadawały. Kiedy spojrzał w złą godzinę na bydle: zaraz zdechło; jeżeli co pochwalił: niszczało zaraz. Ojciec i matka ze zgryzoty pomarli, a P a n uroczy, jak go w okolicy nazywano, gdzie nienaliczone zrządził swojemi oczyma szkody, przedawszy po rodzicach majątek, przeniósł się nad brzegi Wisły, i zamieszkał dwór murowany. Wszystkich pooddalał ludzi, zostawiwszy jeno domownika starego, który go na rękę wypiastował, i któremu jedynie złe oczy pana nie szkodziły wcale.

Pan uroczny rzadko wyjeżdżał z domu, bo za jego oczyma ciągnęły się klęski, śmierć i choroby: dlatego zawsze siedział obok pana stary sługa, co go ostrzegał gdzie wieś, miasto, czy człowieka zobaczył: wtedy pan zakrywał oczy nieszczęśliwe, albo je spuszczał, i zapatrywał się na wiązkę grochowin zawsze w nogach położoną. Znając swoje oczy, którymi pomimowolnie nieszczęścia i klęski sprowadzał, kazał wymurować dwór obszerny, ale wszystkie okna obrócił na Wisłę, chcąc tym sposobem, by ludziom nie szkodził, ani na własne gumno nie patrzył; dwa razy już mu bowiem spłonęło kiedy spojrzął w złej godzinie. Mimo to przeklinali go flisy, i z trwogą ukazywali na duże okna murowanego dworu, z kąd oczy nie jednemu zadały chorobę, a burza zawsze niemal w przystani na przeciwnym brzegu, wprost białego (jak nazywano) dworu, wiele statków uszkodziła. Odważył się flis jeden, podpłynął na łodzi do białego dworu, i chciał widzieć pana urocznego.

Stary sługa przestraszony, wprowadził do komnaty jadalnej zuchwałego żeglarza. Pan

jedząc obiad, rozgniewany że mu nieznajomy przeszkadza, spojrzął na przychodnia ponuro; a flis dostał takiej febry, że słowa przemówić nie mógł, i upadł na progu. Stary sługa z rozkazu litościwego pana, wyniósł go do łodzi, dużo dał pieniędzy, i odwiózł na brzeg przeciwny. Długo śmiałek chorował: kiedy zdołał mówić, okropny obraz, w którym wystawił dwór biały, i urocznego pana, przestraszył jeszcze więcej wszystkich flisów, co go z ciekawością otoczyli. Od tego czasu, każdy żeglarz płynąc po Wiśle, odwracał oczy od białego dworu, zcicha się modlił, i drżał na samo wspomnienie złych oczu groźnego pana.

2.

Już lat dziesięć minęło, jak dwór biały był przestraczem okolicznych mieszkańców i flisów. Nikt nie odwiedzał pana urocznego, a nieszczęśliwy pędził samotne godziny. Sroga nastąpiła zima; stadami wilcy w około dworu smutnym głosem wyli; a pan domu siedział smętny przy kominie, na którym wielki gorzał ogień, przewracając karty jakowéjs księgi.

Stary sługa już wszystkie drzwi pozamykał, i w téjże saméj komnacie z drugiejj strony komina usiadłszy, ogrzewał stare i przemarzłe ciało, naprawiając sieć na ryby.

„Stanisławie — rzekł pan do niego — czy dużoście ryb w przerębli nałowili?”

„Nie wiele, panie, ale będzie dosyć dla nas obudwu.“

„Prawda! — mówił nieszczęśliwy bogacz — już tyle lat, a my zawsze samotni; nieszczęśliwa godzina kiedy mnie urodziła matka! Zawsze sam! żyję jak pustelnik — bo ludzie uciekają przede mną!“ I otarł łzy, co zwilżyły nieszczęśliwe oczy.

Nagle usłyszeli na dziedzińcu głos ludzki wzywający ratunku. Zadrżał pan domu — tak dawno nie słyszał obcego głosu. Stary sługa wybiegł z komnaty, a za nim pan uroczny z lampą w ręku.

Przed samą sienią stały sanie kryte: obok nich stał sędziwy człowiek, wołając ratunku. Skoro ujrzał wychodzących ze światłem, wyniósł z sani omglałą żonę, a stary sługa pomógł wysiadać przestraszonejj młodejj i pięknejj córce.

Przyłożono drewek na komin, otrzeźwiono zemglałą matkę; pan domu radosny i wesoły, dobył zapleśniałych butelek węgryna, i suto sędziwego ojca pięknej córki raczył. Stary sługa, uśmiechał się skrycie, patrząc na radość i wesołe lica swego pana, które zawsze ponurość i smutek od kolébki osiadał.

Gość przybyły, rozgrzany starym węgrynem, opowiadał, jak w drodze zaskoczony burzą, zmylił z drogi, a po długim błędzeniu, napotkawszy gromadę zajadłych wilków, za ledwie uciec potrafił, i schronić się na podwórzu białego dworu.

Wnet rozpakowano sanie — a strudzeni, zziębli i wystraszeni podróżni, znaleźli ciepły i wygodny spoczynek. Znowu cisza dawna zaległa komnaty, a ogień na kominku słabym jeno przyświecał połyskiem.

3.

Zegar ścienny uderzył pierwszą po północy: stary Stanisław drzymał przy kominie pilnując ognia — gdy zaskrzypnęły drzwi od sypialni pana, i wyszedł uroczy nie-

rozebrany wcale. — Sługa zdziwiony przetarł oczy, i pomruknął snem rozmarzony: „Co, panisko biedne jeszcze nie śpi?”

„Cicho stary mój druchu! — odrzekł pan wesoło: — spać nie mogę, i bodajbym nigdy nie zasnął, a był tak szczęśliwy, jako dzisiaj.“ I usiadł w wielkiem krześle przy kominie, uśmiechał się radośnie, i począł płakać.

Płacz, płacz biedniatko, — pomyślał Stanisław, — prędyż może wypłaczesz z uroku swe nieszczęśliwe oczy. (*)

„Gdyby mi Bóg dał to, co zamysłam — mówił do siebie pan uroczny — niezegobym na tym nie zażądał świecie. Już lat trzydzieści żyję samotnie, jak pustelnik albo zbrodzień: a przecież nie skalałem się występkiem, nie pomyślałem o zbrodni. Tylko oczy! oczy moje!“

Smutek zasepił oblicze przed chwilą radośne — lecz wkrótce znów uśmiech osiadł na dawném miejscu, widać że promyk nadziei spędzał ponurość.

„Mój stary przyjacielu — a Stanisław spojrział wesoło — ja może się ożenię.“

(*) Lud utrzymuje że płacz serdeczny przeczyszcza tego rodzaju oczy.

„Daj to Boże, — zawołał sługa — ale gdzie szukać przyszlęj mojej pani?“

Pan powstał z krzesła, zbliżył się na palcach do drzwi bocznej komnaty, gdzie podróżni znużeni smaczno zasypiali — a wskazując ręką, wyrzekł z cicha: „tam!“

Stanisław kiwnął głową, jakby pochwalał wybór dobry, i przyrzucił drew na komin. — Pan zadumany odszedł do sypialni, a stary sługa pomrukując: „daj to Boże! ale nie dojrzeją te gruszki na wierzbie“ zasnął twardo.

4.

Rano zbudził się podróżny, ale o dalszej drodze nie mógł pomyśleć, dla słabości małżonki. — Pan domu z radością się dowiedział, że dni kilka zabawią, a Stanisław już zaczął wierzyć że dojrzeją gruszki na wierzbie. Gość, było szlachcic niemajątny, lecz choć nie miał do zbytku, żył uczciwie, i o nic nikogo nie prosił: upodobał sobie uprzejmego gospodarza, i po tygodniu goszczenia, rzekł raz do swojej już wiele zdrowszej małżonki.

„Małgosiu! coś nasz łaskawy gospodarz smali cholewki do naszej Maryi: i ona jak

baczę nie od tego. Nie źlechy to było.“

„Widzi ci się tak jeno“ odpowiedziała żona — ale w duszy rada była, że co roila sobie po głowie i mąż potwierdził.

„Człek nie ubogi — nie młokos — nic mu nie brakuje — mówił dalej, chodząc po komnacie: — nasza też dziewczka nie krzywa, i dojrzała w latach, że już można oddać w ten stan święty, i pobłogosławić.“

Po wieczerzy, gość sędziwy popijał starego węgrzyna, muskał czuprynę, i słuchał z uśmiechem, jak pan domu, w pokornej mowie, upraszał o rękę Maryi.

„Podobałeś mi się waszmość — odrzekł po długim namyśle — i kiedy o wiano nie pytasz, ani go żądasz, a masz dosyć własnego chleba, niechże i przędzie kądziel w waszym dworze, a rodzi dzielnych synów.“

We trzy miesiące, pan uroczy miał żonę: znikła trawa i chwasty z alei lipowej, bo je stratowało mnóstwo koni i kolas, co zwiozły krewniaków i przyjaciół panny-młodej, na wesele do białego dworu. — W kilkanaście dni, gwar ucichł, a droga lipowa znowu zaczęła zarastać trawą i pokrzywą.

5.

Nadchodziła druga zima, a towarzystwo we dworze powiększyło się tylko o jedną panią domu. Liczna czeladź którą przyjął, wkrótce pouciekała, usłyszawszy że pan ich ma tak nieszczęśliwe oczy: kilku pozostałych, doznawszy od nich ciężkiej choroby, porzucili dwór biały, a młoda i dorodna pani, w ciężkich przewracała się bólach na bogatym łożu — tylko mąż przywiązany, z odwróconą głową, ścisnął jej ręce zimne i skrzepłe.

Wiedziała, że mąż ma złe oczy; wiedziała że niemi powiększał jej cierpienia i bóle: a jednak szczerze przywiązana, błagała strapionego o jedno spojrzenie.

„Maryo! — zawołał z ciężkiem westchnieniem nieszczęśliwy — wiem że nie będę z tobą szczęśliwy, dopóki mam te oczy: wyłup mi je — oto nóż ostry, a z twej ręki nie będzie mię boleć.“

Wzdrygnęła się żona na tak okrutne żądanie — a pan uroczy, widząc ją niezachwianą, upadł na krzesło i rzewnie począł płakać. — „Na cóż mi ten dar boży, to szczęście którego

człowiek oczyma doznaje, kiedy wzrok mój
 klęskę niesie! Ty chorujesz ciężko, Maryo:
 wierzę, bo uschnie nawet drzewo piękne, gdy
 nań wzlęj godzinie spojrzę. Ale bądź spo-
 kojną — nasze dziecię nie zobaczy już tych
 oczu; nie zaszkodzą mu też w niczem i nie bę-
 dzie pamięci ojca przeklinać!“

Jękiem tylko odpowiedziała chora małżon-
 ka. Pan uroczny wyszedł zostawiwszy starego
 sługę: wkrótce dwa przeciwne krzyki ode-
 zwały się z dwóch stron przeciwnych białego
 dworu. Zakwiliło dziecię narodzone w sy-
 pialni. Rozległ się krzyk bolesny, donośny,
 męzki, w komnacie, gdzie gorzał na kominie
 ogień. Płacz dziecięcy zwiastował jego przy-
 ście na świat, że ujrzało promień słońca; a
 krzyk męzki, że ojciec tego niemowlęcia po-
 żegnał się z tém słońcem na zawsze. Dwa
 oczy jak dwa kryształy, zskrwawionym no-
 żem upadły na ziemię.

6.

W sześć lat, okna wybito i z przeciwnej
 strony, z kąd widok był na obszerną wieś i

gumna. — Flisy pod samym białym dworem, mieli przystań wygodną. — Pani domu zdrowa i wesola, cieszyła się piękną jak anioł córeczką, która ślepego ojca wprowadzała. — Wieniacy co stronili na widok pana niewidomego i dziecięcia; nie uciekali jak dawniej. Zniknęła cichość pogrobowa, bo dworzanie i czeladź napełniali tak niegdyś dwór biały samotny. — Stanisław już zgarbiony laty, zakopał oczy swego pana w ogrodzie. Raz zdjęty ciekawością, czy jeszcze się zachowały, odgrzebał ziemię i spojrzął: iskrzyły się jak świece: ledwie ich blask odbił się o twarz jego zmarszczkami okrytą — zadrżał — upadł — i skonał. Pierwszy raz i ostatni, zaszkodziły staremu słudze oczy urocznego pana. — Długo ludzie gadali, że dlatego mu dawniej oczy nie szkodziły, bo go pan wielce kochał; teraz same zagrzebane w ziemi, nabrały większej mocy, i zabiły wierne go sługę. — Pan ślepy serdecznie go żałował; wystawił mu piękny nagrobek z krzyżem, pod którym flisy modlić się zwykli, gdy w przystani odpoczywali pod białym dworem.

K. Wł. W.

BRUCE AND MARY.



Painted by H. Wyatt.

Engraved by G. Kneller.

THE PROPOSAL.

DER VORSCHLAG.

LA PROPOSITION.

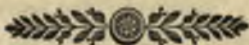
<http://rcin.org.pl>

London: Tomblinson & Co.



RASŁAW I ELMINA.

(Z RYCINA.)



DZIEN swoich urodzin Elmina święciła ,
I nigdy tak hożą tak lubą nie była:
Wesołość uroczą po twarzy rozlana ,
A w sercu swoboda, swoboda nieznaną.
I jakieś uczucia co niby ją chmurzą ,
I jakieś wzburzenia posłanki przed burzą ,
I znowu swoboda błoga.
Wtém wchodzi z bukietem Julisia uboga ,
Julisia sierotka w opiece Elminy:
Wszyscy się widokiem zajęli dzieciny;

A wszyscy ciekawi, co anioł ten powie:
Czy się też językiem ziemianów wysłowi.
Julisia różyczkę pod nogi rzuciła,
I dwa tylko słówka do pani mówiła.

Słyszała je sama Elmina szczęśliwa,
I łzami tkliwemi sierotkę obléwa,
A dziecię do nieba podniosło oczyny,
O szczęście błagało widać dla Elminy.
Szły potem przyjaciół życzenia kolejają:
Ten słodką Elminę pociesza nadzieją,
Ten zdrowia, ten złota, ten życia słodyczy,
Ten sławy, zaszczytów, ten setnych lat życzy.
Elmina dziękuje z uśmiechem tak wdzięcznym;
Nie zraża się nawet pomysłem niezręcznym,
Bo serce jej tylko wyraz nie na myśli.

Znowu drzwi się otwarły: nowi goście przyszli,
A między innymi wszedł Rasław do sali.
Gdy inni najtkliwsze życzenia składali,
On zimno się tylko ukłonił zdaleka;
Nieśmiały, trwożliwy, słówka tylko czeka.
Z uprzejmym wejrzeniem głos doszedł go miły;
Wtedy mu się dopiero usta otworzyły,
I kilka słów wyrzekł — nikt na to nie zważał:
Spokojny się Rasław tém wcale nie zrażał.
Słyszała Elmina — dosyć dla Rasława;
Zabłysła nadzieja i znowu obawa,
I znowu na przemian sercem jego chwieją

Pociecha ze smutkiem, obawa z nadzieją.
I krokiem niepewnym przeszedł się po sali,
Miał stanąć przy Elminie — ale poszedł dalej.
Tak, — mówił sam do siebie, — o! jeszcze zdaleka...
Kto wie, biedny Raślawie, co cię dzisiaj czeka;
Może... ale nie długo zasłona opadnie —
Czy też ona w mém sercu te czucia odgadnie?
Jeżeli... ach! drzę cały... lecz już kość rzucona...
Nie wie, że jest kochanką, a ona już żona,
Żona — serce mi mówi — me serce nie zwodzi;
Takiemi uczuciami gardzić się nie godzi.
Znam Elminę. I stanął Raślaw zadumany.

Ale któż od niej słyszał, że jestem kochany?
Ty mi powiesz (i pismo wydobyl tajemnie)
Czyli luba Elmina może żyć beze mnie.

Obrócił go w swém ręku dwa razy dokoła,
I myśl mu wtedy jakaś zabłysła wesoła.

Usiadł — i znowu powstał — chciał usiąść — „Nie

W daleką trzeba iść drogę, (mogę!

Może na koniec świata,

Porzucić przyjaciół i brata,

I szukać... nie, nie znajdę tylko w méj Elminie,
W niej moje szczęście jedynie.

„Żegnam cię mój Aniele.“ Rzekł ostrożnie, zcicha,
I słuchał z trwożném czuciem, czy ona nie wzdycha;
A głośno: „żegnam panią“ zbliżył się do ręki,
Lecz niewidziane dotąd zabłysły mu wdzięki

W tém oku, co go tkliwém spojrzeniem zęnało.

Ha, pomyślił—już się stało!

Przybliżył się do matki... i prosił na stronę,

Wsunął jęj pismo w rękę—lice zapłonione

Przed czasem tajemnicę w połowie wydało;

Ukłonił się uprzejmie, i rzekł: już się stało!



Samotnie w swęj komnacie siedziała dziewica :

Walkę najtkliwszych uczuć wydawały lica.

W rękę pismo otwarte, iza w rozkoszném oku,

Zdaje się że nie wierzy tym świadectwom wzroku.

Nie, nie, to być nie może—jam go nie kochała:

I zkądżeby mu przyszła myśl taka zuchwała?

On mnie kocha, i za co? za ten wiatr co wieje!

On sobie jakieś rości do serca nadzieje;

Za co? To być nie może! Tak duma Elmina,

I znowu od początku czytać list zaczyna.

„Znam twe szlachetne serce, twą wspaniałą duszę;

Może je też iza tkliwą do litości wzruszę.

I mogłażbyś się gniewać że cię kocham szczerze!

Nie, choćbyś i mówiła, ja temu nie wierzę.

Wolno ci pani, odrzuć przychylnóść człowieka,

Co od twego skinienia swego szczęścia czeka;

Odrzuć — ale się gniewać na niego nie godzi:
 Z zaufaniem jak dziecię do ciebie przychodzi.
 Ty biednych uszczęśliwiasz, ja biedny, sierota,
 A sierotę pocieszyć, to największa cnota.“ —
 Sierota? — prawda, prawda, Rasław matki niema,
 Znowu błądzi po pismie łzawemi oczyma;
 Widać że ten krok śmiały już jej tak nie dziwi.
 Ach! czyż me biedne serce ciebie uszczęśliwi?
 Poznałeś ty Elminę, Rasławie kochany?
 Widziałeś ją jak kwiatek rosą zapłakany;
 Ale wiesz co to kwiatek: wiesz jaki nietrwały,
 Będziesz ku Elminie w przywiązaniu stały?
 Może świeższy kwiateczek ujrzysz gdzie w uboczu,
 Odwrócisz od Elminy i serce i oczy.
 Ach! jabym tego nigdy, nigdy nie przeżyła!
 Jam zawsze tak pieśczone! tak kochaną była!
 Nie, ty ręki i serca mego nie posiędziesz;
 Ty mnie tak kochać nigdy jak matka nie będziesz!
 Jabym matkę odstąpić musiała dla ciebie!
 A przy niej mi tak dobrze, przy niej mi jak w niebie.
 Nie, Rasławie, masz dziewic w okrąg świata krocie:
 Nie jedna w domu matki wychowana w cnocie;
 Zgodzą się serca wasze, łatwa z tobą zgoda;
 Każda ci na skinienie chętnie rękę poda.
 Mnie jeszcze nie ujęły przymioty niczyje:
 Ja dla matki tylko żyję.
 Dla matki! Tak, dla ciebie matko ma jedyna!

Ależ w łubym Rasławie znalazłabyś syna ,
 A twoja córka męża , ojca , przyjaciela —
 Nie, Rasław moich uczuć wszystkich nie podziela ;
 Rasław może być dobrym , ma zasady swoje ,
 Ja z jego zasadami mych się mieszać boję . . .
 Może też przekonaniem me słabsze pokona :
 Ach ! czegoż dla miłości nie poświęci żona !
 Byle mnie kochał tylko , ja wszystko uczynię ,
 O ! wszystko czego pragnie , znajdzie w swej Elminie .
 Lecz czyliż i Elmina wzajemność pozyska ?
 Jam się nie przypatrzyła czynom jego zblizka .
 Kochankowie tak dobrzy , tak mili , tak czuli ,
 Nieraz potem swym żonom cały wiek zatruli .
 Przebacz , przebacz Rasławie ! tyś tylko jedyny ,
 Coś zyskał zaufanie i miłość Elminy .
 O ! dawno cię kochało biedne serce moje :
 Lecz i przed samą sobą wydać się z tém boję ;
 Bo wy mężczyzni , z naszych słabości zuchwali ,
 Mniej już takich kochacie , co was ukochali ;
 A jeszcze gdy te czucia przed wami wyleją .
 O ! daleką was trzeba pocieszać nadzieją .
 Rasław czasem tak zimny . . . jakby czucia nie miał .
 Czasem wszyscy mówili , a on sam oniemiał .
 Nie , ja tego nie lubię . . . Może ja się mylę . . .
 Nadejdą na każdego czasem smutne chwile :
 Lecz czyż z tego wnioskować , że serce nietkliwe :
 Może tylko nieśmiałe , może nieszczęśliwe . . .

Nie jedna jeszcze serce wstrzymuje obawa:
I lękam się, i kocham mojego Rasława;
Lecz tak mi o nim myśleć i wspominać miło,
Jakby jego własnością serce moje było.

Na te słowa wszedł Rasław— dosłyszał ich trocha.
A więc—rzecze nieśmiało— Elmina mnie kocha—
Co zamilezały usta, to wydały oczy.
I dziś już ścisły węzeł tę parę jednoczy.

Stanisław z Dzikowa.



TYNIEK (*).



MACZNA jadł Tyniecką poléweczkę z piwa.

Dziewczyna chciała,

Na talérzu u brzegu,

Muszkę spostrzegła:

„Moja muszko, idźże sobie,

„Mama mnie dała nie tobie.“

Tak ją uprzejmie przestrzegła:

Ale muszka także chciała,

Nie chciała odejść od piwa.

Chłopczyk w gniew wpada,

I woła z płaczem: „muszka piwo zjada!“

Śmiejecie się z dziewczyny — czyście nie widzieli,

Jak niechętnie się bogacz z ubogimi dzieli;

Choć wtedy z jego zbiorów tak mało ubywa,

Jak téj poléweczki piwa.

Stanisław z Dzikowa.

(*) Jestto imię które sobie sam nadał pewien
dwuletni chłopczyzna.

DO BOLESIA.



CZEGO się śmiejesz, ty mały psotko?
Czego tak na mnie poglądasz słodko?
Teraz mnie cieszysz, teraz mnie bawisz,
A wkrótce może serce zakrwawisz!

I twa siostrzyczka była podobną,
Jak ty swawolną, jak ty nadobną;
Tak wdzięczne także stroiła śmiechy:
I cóż zostało mnie z tej pociechy?

Ledwie jej czwarta wiosna błysnęła;
Zniknął jej uśmiech, oczki zamknęła,
I już w ponurym grobie spoczywa —
A ojciec z matką łzami go zléwa.

Zdradne aniołki, precz, precz ode mnie!
Chcecie mnie mieć, lecz to daremnie;
Kogo innego łowcie w swe sidła,
Mnie już pieszczota z wami obrzydła.

Wśródto pieszczoty, pośród zabawki,
Ssiecie z nas miłość jak krew pijawki,
I tak jak one póty pijecie,
Aż swej chciwości łupem padniecie. —

Ja mu tak mówię, a on się śmieje,
Rzuca się na mnie, całuje, pieje,
Obiema rączki za szyję chwyta,
I o wzajemność mych oczów pyta.

Jakże wśród tego pieszczot potoku,
Uśpić głos serca, stłumić łzę w oku?
Jak nie uściskać to lube dziecię?
Powiedźcie sami, co to czujecie.

J. K. Ch.




WIĄZAREK.




Z ŚWIATEŁBYM ci kupił szaty,
Z łez, jak z pereł, uwił wieniec,
I zawiesił nad twą głową,
Wszystkie w jeden stopił światy,
I ciebie zrobił Królową! —
Tak dziewicy rzekł młodzieniec.

Teofil Nowosielski.





STRACH.



GDZIEŻ idziesz, córko? — tam ciemno —
Woła matka — lecz daremno.
Więc zartując sobie, rzecze :
Jak zobaczy, że ciemno, to do mnie uciecze.

Biegła dziewczyna
W koniec ogrodu :
Tam gdzie gęstwina
Była dla chłodu.
Stroje, co giętką
Kibić zdobyły,
Listeczki prędko
Zakryły.

Długo jej widać nie było ;
Czasem tylko listków drzenie,
Jakby wietrzyka westchnienie,
O tęschněj matki uszy się obilo.

Wróc się do mnie, dziecię moje!
Gdzie jesteś? — cóż mi się stało!
Gdys ty się lękać przestało,
Ja znów się boję! . . .

M. C.



MÓJ KWIAT

STOJA w cieniu róże młode,
Rozwinęły lica już;
Toczy strumień jasną wodę,
I zwierciadłem jest dla róż.

I przed duszy mej zwierciadłem,
Błyska róża, jeden kwiat,
W której znikłem i przepadłem,
W której cały jest mój świat.

Wiatr zadmuchał, wszystko spadło,
Z pięknej róży marny pył;
Zaciemniało i zwierciadło,
I obrazek co w nim był!

Ale u mnie choć los leci,
Porwał wszystko, nie dał nic;
Piękna róża jednak świeci,
Równa z duszy, równa z lic.

Antoni J. Szabrański.



Do mojego Pióra.



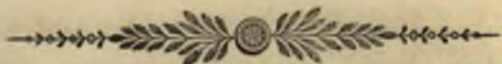
W

IERNY, stały przyjacielu,
Jakich na świecie nie wielu!
Ty jeden nie znasz rachuby,
Nie znasz coto samoluby;
Tobie jak bratu zawierzam,
Każdą swoją myśl powierzam,
I wszystkie tajniki serca:
Tyś pewno nie przeniewierca.
Z tobą ja samotność dzielę,
Z tobą się smucę, wesełę;
Twoje towarzystwo nie znudzi:

Milsze , lepsze niżli ludzi.
Jakże słodko w zaufaniu ,
Marzyć z tobą o kochaniu ,
Marzyć z tobą o kochance ,
I o życia próżnej bańce.
O przeszłości i przyszłości!
Ciebie każdy pozazdrości ;
W rękę z tobą , me powieki
Pragnąłbym zawrzeć na wieki.

Teofil Nowosielski.





DWIE SCENY

w Saskim Ogrodzie.



A „Ся moje kochane życie!“ rzekł tłusty jegomość w jasno niebieskim fraku, któremu spadał od zegarka ku kolanom długi łańcuch zakończony pękiem kluczyków, pieczętek i pierścieni.

Kochane jego życie było bardzo chude, wysokie i cieńkie, w żółtym jaskrawym kapeluszu z astrami, w pomarańczowym szalu, i w błado kanarkowej sukni. Szło tuż przy

nim trzymając go pod rękę. „Ach moje kochane życie—powtórzył, prowadząc dalej rozmowę—to nie jest podobieństwo ażeby człowiek jedną duszę miał tylko; musi ich mieć koniecznie więcej. Bo proszę, gdzieby się podziały te szlachetne, te wielkie, te mocne uczucia i żądze, które jego godność stanowią. Ja, co tak jestem za miernością, (wiesz sama jak na małym przestaję) jednak trudno abym w jednej duszy wszystkie moje chęci pomieścił. A choćbym też dla jednej namiętności wielkiej, jedną najbiedniejszą duszę przeznaczył; najmniej siedm dusz mam w sobie z pewnością. Rachujmy: naprzykład, pragnę usilnie ażebym u wszystkich osób był w wielkiem poważaniu: a ta żądza jest tak obszerna, że całą duszę, choćby największej objętości, zapelni należycie. To już jedna. Powtóre: jakże być w poważaniu u ludzi, a nie nosić oznaków wyższej godności, oznaków honorowych; chciałbym więc gwałtem choć jeden posiadać order, gwiazdę, wstęgę: a do tej naturalnej potrzeby tak mam silny i mocny pociąg, że na ten ledwie jedna dusza wystarczy. To już dwie.

Potrzebie: sama powiedz żeby to było za-
 bawnie, zyskać sobie poważanie u osób,
 zyskać order, wstęgę, a przy tém wszystkiém
 zostać beczynnym. Unikając więc śmiechu
 nieprzyjaciół, życzę sobie bardzo ażeby mnie
 zrobiono jakim wielkim urzędnikiem: to życze-
 nie silne zajmuje całą duszę niezawodnie.
 To trzy. Poczwarcie: wiem że do takowego
 urzędowania potrzeba głowy, rozumu, wia-
 domości, nauki, na czém mi szczególnie zbywa:
 pragnąłbym więc to wszystko nabyć, ale bez
 pracy, zachodów, kłopotu. A to pragnienie
 tak jest znakomite, że wątpię czy się zmieści
 w jedną duszę; ale rachujmy tylko jedną,
 to już cztery. Popiąte: ty mnie znasz
 najlepiej, mój malutki kochaneczku! Nigdy
 w życiu mojem nie byłem i nie będę samolu-
 bem. Dlatego, nie chciałbym szczęścia nabyć
 tylko dla siebie samego; ale czuję w sobie
 wielką namiętność jedynie z cnoty pochodzącą,
 ażeby coś na przyszłość dla mojej rodziny
 zapewnić. Lecz nie dla rodziny pobocznej,
 która pospolicie niesprawiedliwą i niewdzię-
 czną bywa; ale dla potomków moich, w li-
 nii prostej ode mnie samego pochodzących.

Z tój przyczyny, o jakże wzdycham, ażeby do naszego herbu rodzinnego, można dodać znakomity wielki jaki tytuł, któryby dziedzi-
cznie przechodził na nasze dzieci, wnuki, prawnuki i tam dalej, i był jasnym dowodem moich szlachetnych uczuć i tego wspomnienia, że nie o sobie tylko samym przez całe moje życie myślałem! Dla uczucia tego nieograniczonego, koniecznie jednę duszę potrzeba. To już pięć. Poszoste: kochane moje życie, byłoby to rozumnie z mojej strony; nie nazwalizby mnie wszyscy szaleńcem: zostawić wielki tytuł dla dziecka, a nie zapewnić mu na całe życie sposobu utrzymania tego tytułu: bez czego sam tytuł jest tylko prostym szyderstwem! Na utrzymanie tytułu familijnego, potrzeba naturalnie ordynacyi a przynajmniej majoratu. Czuję że w moich pierśsiach jest tu gdzieś ordynacya, majorat: na takie rzeczy, jedna dusza to za mało. Lecz cóż mam robić! rachuję jedną tylko: to szczęście. Siódmą duszę niech tylko mam na miłość ku tobie i ku naszej Anielce, i na chęć widzenia was zawsze szczęśliwemi. A co, czy nie prawda, że licząc miernie i z największą

oszczędnością, człowiek każdy musi mieć przynajmniej siedm dusz koniecznie. I jakże mam wierzyć teraz, że ludziom Pan Bóg po jednej duszy dał tylko.“ Ledwie skończył, cieniutki głos jejności, jak flecik piskliwy, odezwał się natychmiast. „Mój mężulku! moje serce! chociaż to wszystko prawda co ty mówisz, ja jednak powiem ci szczerze, iż moje chęci, żądze, namiętności, tak są ograniczone, małe, liche, nędzne, że gdyby wziąć duszę najmniejszą z dusz wszystkich na świecie, i tę przekrajać na dwa kawałki, i znów jeden kawałek na dwa kawałki, i znów na dwa kawałki, na dwa kawałki, na dwa kawałki; w najmniejszym takim kawałku, wszystko co pragnę, zmieściłoby się jak najwygodniej. Bo, mój kochaneczku, ja nic więcej nie chcę, tylko abym życie moje aż do śmierci pędziła porządnie: to jest chciałabym żyć uczciwie.“ „A ja wiem już coto znaczy uczciwie—śmiejąc się rzekł tłusty człowiek—tybyś zapewne chciała mieć piękny powóz.“ „A naturalnie, to się już samo rozumie: jakże żyć uczciwie bez powozu!“ „I cztery konie kare piękne w szorach.“ „A tak.“ „I lokaj

w szerokich złotych galonach.“ „A oczywiście.“ „I obszerne salony w mieście, z wybi-
 ciami, z meblami, z kobiercami, z marmu-
 rami, z bronzami.“ „Prawda.“ „I blisko
 stolicy w swych dobrach, mieszkanie wiejskie
 piękne.“ „Zgadłeś.“ „Wybornych kucharzy,
 modne stroje, gości mnóstwo a samych dy-
 styngwowanych.“ „Tyś mnie doskonale
 zrozumiał: może ja tobie o tém już kiedy
 wspominałam.“ „Nie moje kochane życie;
 ale człowiekowi miernemu jak ja, dość mieć
 trochę zastanowienia aby odgadnąć taką dro-
 bnośc.“ „Ach moje kochane życie! ia myślę
 że na spełnienie naszych nadziei, długo ocze-
 kiwać nie będziemy: wszystko nam się uśmie-
 cha. Droga szczęścia otwarta. Pan baron
 tak bogaty! tyle ma znaczenia! tak wystawnie
 żyje na wielkim świecie! Jemu oddamy
 naszą córkę, a on nam wystara się o resztę.
 Gdyby tylko Anielka mogła już raz zapo-
 mniéć o tym biedaku....“ „Nie lękaj się
 moje serce, spuść to wszystko na mnie. Ona
 musi to zrobić co chcemy.“ — Tymczasem
 kiedy tak rozmawiając mąż i żona, chodzili
 główną ulicą Saskiego ogrodu; piękna, ogni-

sta, piętnasto-letnia przy nich jedynaczka, mało zważając na rodziców wyrazy, zwracała oczy ku jednemu miejscu, ku jednemu tylko, gdzie czarno ubrany młodzieniec, spojrzeniem szczérem lecz posepném ściagał ją bezustannie. Z oczu tych dwóch istot wyczytać było można, że oboje razem jedną tylko mają duszę, jedną namiętność, jedną rozkosz, którą sami nazwaćby nie umieli. Tak są blisko siebie, że ledwie ich kilka kroków przedziela; jednak zbliżyć się ku sobie nie śmia. Czy te kilka kroków są dla nich przepaścią? i cóż ich szczęście tamuje? To jedno, że ojciec ma siedm dusz, a matka chce żyć na świeccie ucziwie.

Nie daleko wśród drzew, przy damie siedzącej stało kilku mężczyzn. Grono figur jak gdyby z żórnalu mód wyjętych. Na ich twarzy to uśmiech ułożony, to spojrzenie niby ciekawością przebudzone, to znowu cała postać jakby w nadzwyczajnym ruchu. Każdyby myślał, że ich powierzchowność jest skutkiem uczuć wewnętrznych. Tymczasem jestto tylko ułożenie ciała zręcznego, na to wyrachowane, aby obudzić interes w pa-

trzących, i tym sposobem przywiązać ich oku ku sobie. Każdy z innej strony przypatrywał się przechodzącym. Dama tylko jedna, przez szkła w złoto oprawne wpatrywała się bez ustanku w jeden punkt, który musiał się zapewne oddalać, bo za nim ciągle oczy prowadziła. Wracają! — rzekła głośniejsz. — Na ten wyraz wszyscy mężczyźni zwrócili oczy swoje ku jednej stronie. — Prawda — mówił jeden — wracają. „Na honor — zawołał drugi — piękna Anielka, jak ona dziś świeżo wygląda! żeby nie przy jej żółto-migdałowej mamuli i pulchniutkim jak pączek tatułku, niktby nie poznał że to córka handlarza. — „Comme c'est dommage! jak to nie dobrze — westchnął trzeci. „To nie im nie przeszkadza — odezwał się jeden z nich — ojciec się gwałtem między nas ciśnie, i tak silny attack wywarł na towarzystwa wielkiego tonu, tak koniecznie stara się należeć do wielkiego świata; że go trudno będzie z niczem odprawić.“ „Mówią że Baron bywa w ich domu“ spytała się głosem obojętnym, siedząca dama. „Dlatego zarzucili już skład żelaza; starają się o dobra, żyją na wielką skalę; „I to

baron szczerze myśli?“ znowu spojrzawszy na mówiącego, rzekła dama. „Chociaż nie pierwszej młodości, ale się pokochał jak dziecko w cacku — je vous jure — skończy nie długo.“ „Jako? baron się ożeni.“ — O bez wątpienia — mówili wszyscy prawie razem. „Anielka nie tylko że piękna, *ale jest bardzo dobrze; mówi języki przedziwnie; gustu nie mało, wiadomości wiele; jak śpiewa! jak gra! pełno talentów; wychowanie w całym znaczeniu wyższe.*“

„O trzpioty, trzpioty! — odpowiedziała z niecierpliwością — dla was dość być piękną, a już wszystko skończone. Tak wdzięki cmią oczy młode, że nie możecie i najwidoczniejszych błędów zobaczyć. Wychowanie przyjęła! je suis bien curieuse, jakie? czyścieo nie słyszeli o awanturach pomiędzy nią a Fryckiem Puk.“ „Puk! Puk! comment? jako! czy może bydz Puk!“ zawołali razem, i wszyscy ścisnęli się bliżej siedzącej, ażeby jej głos cichy i nagle niżony lepiej usłyszeć mogli. W śród szeptania i śmiechów, czasem się tylko wyrwały głośniejsze wyrazy: jako — razem się chowali — impossible — miłość — c'est

dróle—oddalony ze sklepu —ani odwiedzić nie wolno — c'est amusant — ach cher petit Puk! to on był u nich subjektem! c'est-à-dire czeladnik, n'est ce, pas?— Wtém nadeszli rodzice Anieli. Natychmiast zmieniono rozmowę i powierchowność. Dama nagle powstała. Ach jak się masz—ma chère, i przyjemny całusek z daleka Anielce dany, zdawał się pochodzić z najszczęśliwszego serca. Wzajemne najprzyjaźniejsze ukłony—po nich rozmowy. Całe towarzystwo otoczyło Anielkę. Wszyscy jak gdyby jednem uczuciem złączeni, szli ulicą — i zniknęli w alei.



W kilkanaście lat jak kupiec przechodził się w ogrodzie z żoną i córką, znowu wróciła wiosna w to piękne miejsce, tak młoda jak dawniej, i znowu tłum osób napełniał ulice. Świeże liście, zielona ziemia, czyste powietrze, pogodne niebo świeciło jak dawniej. Przyrodzenie nigdy się nie zmienia, i dla przybywających jak dla ubywających

zawsze jest jednakowe; i zdaje się że na tej ziemi od wieków jedne są zawsze dekoracje dla scen bez końca odmiennych. A na tym teatrze żywym artyści się tylko zmieniają. Człowiek w każdej chwili jest prawie innych uczuć, innych myśli. Od kolebki do starości z grobem graniczącej, mnóstwo jest szczebli rozmaitych, na których ta sama zawsze osoba nigdy do siebie nie jest podobną.

Przy końcu alei siedział mężczyzna blady: choroby i wiek twarz jego napiętnowały bolesnym i smutnym wyrazem. Ruch i spojrzenie dumne. Odzież przetarta i bez porządku, czyniła go podobnym do tego salonu dawniej blaskiem cmiącego, gdzie czas wytarł pozłotę, a wierzyciele meble wynieśli. Dumął podparty o laskę; u stóp rozciągnięty leżał pudel biały jak śnieg. Tak zamyślnego przebudził nagle mały chłopczyzna. Był on z tych istot miłych i z postaci i z serca, które łatwiej do aniołków jak do ludzi policzyć można. Złoty włos spadał mu na ramiona; piękne oczy niebieskie i rumieniec na alabastrowych licach, zachwycały patrzących. Drobnej niezmiernie postaci, strojnej szata

kolorów orientalnych, trzymając biczyk w rękę, a niebieską srebrną połyskującą czapkę nasunawszy na bok, pędził ulicą trzaskając z całej siły. Nagle stanął. Biały pudel zwrócił jego uwagę. Zdziwiony spoglądał to na psa, to na pana. — Ocucony z swych marzeń nieznamy, czując przyjemne wrażenie na widok tak pociesznego stworzenia, ustami, jak gdyby gwałtem przymuszonemi do uśmiechu, rzekł: „A co mój malutki, czy ci się pudel podoba.“ „Ach jaki piękny! jak mamę kocham bardzo piękny. Zupełnie siwy konik! mój panie kochany! nie mógłbym ja czasem na tego pudla wsiąść i trochę przejechać się po alei? Proszę, bardzo ładnie proszę.“ To mówiąc, drobną rączyną zdjął swoją czapkę z głowy, i uklonił się zgrabnie.“ „Nie mój aniolku, pudelby cię pogryzł bo on bardzo zły.“ „Doprawdy! taki ładny a taki zły! Ktoby się tego spodziewał. Może on też dziś będzie grzeczniejszym.“ — odpowiedział chłopczyzna. „On zawsze jednakowy, a jakby cię zranił? toby się mama twoja bardzo gniewała; nie prawda? To prawda! i papa takżeby się

gniewał, i dziadunio takżeby się gniewał, i babunia takżeby się gniewała, i siostrzyczki takżeby się gniewały i Małgosia takżeby się gniewała.“ „To ty masz papę?“ „Mam.“ „A jak się twój papa nazywa.“ „Pan Puk.“ Na to nazwisko zaczerwieniła się twarz nieznajomego. Lecz po chwili zbladł, otarł chustką czoło, i drżącym głosem zapytał się jeszcze: „a jak się twoja mama nazywa?“ „Ja nie wiem jak, bo zawsze na moję mamę wołam: mamó; papa zawsze na nią woła: Anielko; dziadunio także na nią woła: Anielko, i babunia także: Anielko; ja myślę że się musi nazywać mama: Anielka.“ — „Mundziu! Mundziu!— zawołała z boku staruszka w wielkim czépku i fartuchu, idąc szybko i oglądając się w około — a ty swawolniku! pójdź trzpiocie mały; mama już nie długo odejdzie“ tak mówiła biorąc chłopczyńę za rękę.— „To malutki ma imię Edmund?“ rzekł nieznajomy. „Tak jest, kłaniając się—odpowiedziała stara piastunka, której i z twarzy wyczytać było można, że jest tą kroniką żywą, tą szczęśliwą maszyną co się nigdy mówieniem nie męczy. Zaczepiona stawała się jak ów zegar excy-

tarz. Raz nakręcony, raz poruszony, jednym ciągiem brzęczy, warczy, syczy, dopóki nie odegra tego co zaczął, i dopóki sam z własnej woli nie zamilknie. Co chwila się kłaniała, a wyrazy jednym tchem z ust jej wylatywały z niewymówną szybkością — naturalnie Edmund, panie dobrodzieju! Bo pan Puk koniecznie chciał przy chrzcie, ażeby jedynek jego takie nosił imię jak dziadek. Bo pan nie wie! Ale co też to pan Puk musiał cierpieć od rodziców swojej żony, coto było przeszkód, co gniewu, co biedy, nim nareszcie ślub wszystko pogodził. Bo trzeba panu wiedzieć, że dawniej dziadek Edmunda był kupcem. Lecz ledwie się dorobił majątku, wielkie państwo zajechało mu głowę. Sprzedał handel, kupił dobra, zaczął żyć wystawnie, koniecznie chciał zostać wielkim panem. Życzył sobie wydać córkę za jakiegoś barona, i Bóg wie co on miał za myśli. Tymczasem w parę lat majątek znikł. Panna kochając pana Puk, nie zgodziła się na wybór rodziców. Przyprowadzeni do nędzy, opuszczeni od przyjaciół pieniędzmi nabytych, kiedy się jeszcze po-

kazało, że pan baron prócz tytułu, nie miał więcej; musieli nareszcie zezwolić na proźby córki, którą z panem Puk połączyli. Wielkiem to było dla nich z początku zmartwieniem. Lecz trzeba panu wiedzieć, że pan Puk przez swoją pracę i staranie, przyszedł do dobrego mienia; zapewnił spokojne życie rodzicom swęj żony, i ciągle stara się o ich łaskę. Odtąd kochają go jak syna swojego, i poznali wartość swojego zięcia; a nauczeni doświadczeniem jako wierzyć w majątek i wielkie państwo, teraz bardzo cienko śpiwają: ani pomyślą o wielkości. Często oboje mówią do mnie: moje życie kochane, moja Małgorzato. Ach przepraszam pana dobrodzieja, moi państwo zbliżają się w tę stronę; oni nie lubią kiedy ja z kim wiele mówię.“

Ledwie odeszła, przesuwało się przed oczyma nieznanomego całe rodzeństwo z kilku osób złożone. W podeszłym już wieku człowiek, wychudły, z zmarszczkami na czole i licach, szedł podpierając się na swoim kij. W jego myśli była ziemia którą miał przed oczyma; w jego piersi jedna tylko dusza, jedyna namiętność: żyć długo wśród otacza-

jących go dzieci i wnuków. Obok, pochylona towarzyska życia wsparta na cudzej ręce, postępowała zwolna, czując teraz najlepiej coto jest żyć wygodnie i ucziwie. Przy nich za trzema urodnemi córami, posuwała swe kroki matka, z pewnym rodzajem dumy pochodzącej z widoku swych pięknych dzieci. Zniknęła świeżość z twarzy i lekkość z postaci; lecz cała przyjemność młodego wieku pozostała w jej oczach i rysach. Mundzio biegł najprędzej i wyprzedzał wszystkich. Całe towarzystwo zajęte samém sobą, nie zważało na przechodzących. Sam tylko mąż Anieli, cokolwiek zmieniony większą dojrzałością i męźniejszą postawą, spostrzegł nieznajomego, spojrział z ciekawością, poznał. Myśl smutna twarz mu nagle przyćmiła, i łzy w oczach stanęły.

Antoni J. Szabrański.



KŁOS I BŁAWATEK.



JAKIŻ ja nikczemny kwiatek!)
— Rzecz ze łzami bławatek —
Jaki taki kwiat się stroi;
Ja w biednej sukience mojej.
— Na to kłosek mu powiada:
Przyjm uwagę od sąsiada:
Bóg cię piękną odział szatą,
Choć niestrojną, niebogatą;
W niej cię mile przyjmą wszędzie,
Zedrze się ta, druga będzie.
Chwał więc za to imię Pana,
Wdzięczną mu łzę ponieś zrana.
A gdy dzień szczęśliwie minie,
Niechaj druga łaska spłynie;
Bo Bóg więcej temu daje,
Kto i na małym przestaje.

Stanisław z Dzikowa.



WĘDROWIEG.



LEDWIE zakwitnął życiem młodzieniec;
Uniesiony zapaleniec,
Ledwie uczuł serce w łonie;
Już wzdycha ku obcej stronie,
Już mu zaciasna rodzinna strzecha;
Świat się do niego uśmiecha...
Świat senny, strojny w różane szaty,
Posiany złotemi kwiaty.
Próżno, czuła matka prosi,
Swoje lica łzami rosi,
I ojciec daje przestrogi:
On rzuca rodzinne progi.
Bieży, bieży do oddali;
Bieży, bieży coraz dalej,

Na skrzydłach wyobraźni, ufny w swojej sile,
Chwytać gdzieś młodych marzeń błyszczące motyle.

Wszérz i poprzék przebiegał cztery strony świata.
Lecz gdy pierwszej młodości upłynęły lata,
Jakże się zdziwił niezmiernie,
Kiedy zamiast róż złotych, znalazł tylko ciernie ...

Tak zawiedziony zapaleniec młody,
Wraca w ojczyste zagrody.
Jakże go teraz ta okolica,
Tysiącem wspomnień zachwyca!
Ona mu się droższą zdaje,
Nad całego świata kraje:
Tu widzi zielenisze drzewa,
Tu mu słowik piękniej śpiewa,
Tu niebiosą błękitniejsza,
Tu kwiaty i zioła wonniejsze—
Tu słońce pogodniej świeci:
Wszystko w nim rozkosze nieci,
Wszystko go za serce chwyta—
On nawzajem wszystko wita:
Pagórki, drzewa, stramienie,
Nawet przydrożne kamienie.
Gdyby się znał na ich mowie,
Pewnoby spytał o zdrowie.
Lecz nad te, młodego człeka
Większa jeszcze radość czeka:

Gdy powita własną chatkę,
Gdy powita ojca, matkę;
Gdy powita czéry ściany,
Kędy jest mu żywot dany.
Myślą tą uradowany,
Skacze, płacze na przemiany.
Już, już blisko, bardzo blisko,
Widzi rodzinne siedlisko.
Znużon, nagli kroki swoje,
Bez tchu roztwióra podwoje,
Chce paść do nóg ojcu, matce—
Wtém spostrzega obcych w chatce:
I jakąś z niemi dziewicę.
Z trwogą pyta, gdzie rodzice;
Słyszy, że już śpią w mogiłach:
Na tę wieść krew stygnie w żyłach.
Staś niemy—osłupiały—
Niewzruszony, nakształt skały—
Łzy ciężą w piersi bezwładnej;
Lecz nie może wylać żadnej:
Nie może młodzieniec biedny,
Wykraść sercu łezki jednej:
Bo tak boleść serce ciśnie,
Że się żadna nie przecisnie;
Ale w głębi w lód się ścina.
A wtém młoda dziewczyna,
Kochanka swego poznaje,

Z pośród swoich grona wstaje;
Bieży do niego, wita go czule—
Jednym ściśnieniem łagodzi bóle;
A gdy mu się nareszcie u szyi zwiesiła;
Pod gorącym całusem lód łez roztopiła.

Teofil Nowosielski.





O KOBIECIE,

Do J. G.



1.

M

ŁODOŚĆ miła,

Wdzięków siła,

Zachwyca w kobiecie:

Bo ułudzi

Wielu ludzi,

Często pozór w świecie:

2.

Lecz gdy tkliwe

I cnotliwe

Jest serce kobiety ;

Rozum w głowie ,

Słodycz w mowie:

To trwalsze zalety.

3.

Bo gdy z laty
Przyjdą straty ,
Gdy wszystko czas strawi ;
Młodość minie ,
Piękność zginie ,
I smutek zostawi.

4.

Cnota jedna
Trwałość zjedna ,
I szczęście w jej ręku ;
Czasu władza
Piękność zgładza
Jej dodaje wdzięku.

Walentyna T.



Kiedy Szczęśliwy!



KIEDY w lubej rodziny lub przyjaciół kole,
Gwarzę o wspólném dobru, lub wspólnej niedoli;
Kiedy w każdego oku, na każdego czole,
Widzę, że co mnie dręczy, to i jego boli;
A mój piosnce wesołej głos wtórzy życzliwy:
O! wtedy, wtedy szczęśliwy.

Kiedy strudzony pracą wracam w moje progi,
Krzepiąc się pragnionego myślą wypoczynku;
A tam wita mię radość, wita uśmiech błogi,
I ty mi się u piersi uwieszasz mój synku,
I wyrażasz swą miłość przez całunek tkliwy:
O! wtedy, wtedy szczęśliwy.

Gdy mię uniosłszy w przeszłość snu mara zwodnicza,
Najdroższych nieboszczyków zachwyci obrazem;
Poznaję — patrzę na ich anielskie oblicza —
Wszystko com czcił i kochał, to znów zemną razem
Łączy się dawnych uczuć świętymi ogniwami:
O! wtedy, wtedy szczęśliwy.

J. K. Ch.



M Y Ś Ł.

K

IEDY młodzieniec w życia swego wiosnie,
Świetnych przebiega urojeń koleje,
I w lubą przyszłość pogląda radośnie:
Wszystko mu szczęściem, nadzieją się śmieje,
Pogodne niebo oczami gwiazd świeci,
Chwila po chwili, lotem fali leci.

Lecz przeciwności wiatr go już owionął,
Spełził kwiat nadziei powiewem sparzony;
Już się obudził, już z marzeń ochłonął,
Inne już niebo i świat już zmieniony,
Gwiazdy promienne obłoki powleką,
A chwile szczęścia za niebem daleko.

On młody jeszcze, w pełnej życia sile,
Krew płynie lawy ognistym potokiem;
Tymczasem lata, godziny i chwile,
Leniwym zółwia ciągną się krokiem,
I jeśli nowa chwila mu zabłyśnie,
Ach ileż uczuć do serca się ciśnie!

Wtenczas pamiętki, tony czarownemi
Drżą w młodej sercu anielską symfonią,
A roje marzeń, anioły na ziemi,
Lotnemi skrzydły w świat czucia pogonią:
A chwila gwiazda świeci mu wspomnieniem,
Błyszczą nadzieją, jaśniej z bawieniem.

Napróżno burza kręci zwirem wkoło,
Napróżno gwiazda ciemniej w chmur ramie;
On wierzy w gwiazdę, w niebo podniósł czoło,
Burza nie zegnje, burza go przełamie;
A jeśli zniknie w proch szczęścia budowa,
Ty! chwilo gwiazdo, nadziejo, bądź zdrowa!

Zostań pamiętko! to jego skarb wszystek,
Choć runie drzewo, niech zostanie listek!

A. B.



Dwie Przyjaciółki.



JEST ŹE nad przyjaźń piękniejsze uczucie, zdolniejsze do największych poświęceń? jestże uczucie któremu kobieta bardziej może się oddawać; właściwsze jej serca? o nie! Przyjaźń jest osłodą życia; zmniejsza wszelkie przykrości, podwaja roskosze; wznosi i uszlachetnia serce. Lecz przyznajmy razem, że przyjaźń powzięta od lat dziecińczych jest najtrwalszą: na tę najwięcej rachować można, ta się rzadko zmienia, z nią prawie zawsze wstępujemy do grobu.

Na jednej z pierwszych pensyj warszawskich były dwie panienki, które przyjaźń łączyła najściślej: chociaż odmiennych charakterów, serce miały jednakie; serdecznie się więc ukochały. Kornelia o rok starsza, była powolnego ułożenia; czuła, dobra, uległa; Jadwiga żywa nadzwyczajnie, zawsze uśmiech miała na ustach, wszystkich rozweselała, z najposępniejszego czoła umiała swoją wesołością spędzić chmury; lecz pod tą zawsze igrającą postacią, ukrywała serce najczulsze; może nawet zbyt czułe. Z pozorów sądząc każdyby rozumiał że Kornelia tkliwsza nierównie, bo prędziej widziano łzę w jej oku; lecz mylny byłby to domysł. Jadwiga dla tego starannie łzy ukrywała, wszystko zamykała w sobie, by nikomu nie sprawić i chwilki przykrości, a zwłaszcza też swęj ukochanęj, drogiej Kornelii. Ze drżeniem myślały o chwili rozłączenia. Cóż im wtedy pozostanie? chyba listy, ta jedyna pociecha w oddaleniu. Jednak każda posiadała rodzinę, na której łono miała powrócić po ukończeniu nauk; lecz cóż może zastąpić przyjaźń pensyonarską, przyjaźń powziętą od lat dziecinnych?

Zbliżała się nareszcie ta chwila tak dla obudwóch panienek smutna; nadszedł czas nieubłagany, który nigdy na żadne żądania ani zwolni ani przyspieszy swego biegu; nadszedł popis publiczny, po którym miało nastąpić rozłączenie. Rodzice Kornelii mieszkali pod samą Warszawą, Jadwigi zaś w Krakowskiem: znaczna więc przestrzeń miała wkrótce rozłączyć osoby dwóch przyjaciółek, ale nie ich serca.

Przybyli do Warszawy rodzice obudwóch panienek; odbył się popis: Kornelia i Jadwiga otrzymały pierwsze nagrody; każda swoje złożyła na łonie przyjaciółki, a w jej czułym uściśnieniu jeszcze większej, miłszej szukała nagrody; ale myśl że wkrótce się rozłączą, zatruwała wszystko: zgoła obie były niepokieszone. Lecz któż nie zna serca rodziców? kto nie wie że ich całe szczęście w szczęściu dzieci? że własne dobro, własne przyjemności, dla nich poświęcają? Rodzice Kornelii i Jadwigi ułożyli się pomiędzy sobą, aby pół roku obie panienki przebywały w jednym domu, w drugim zaś pół roku w drugim; wprawdzie przez pół roku pozba-

wią się dobrzy rodzice widoku córki; ale w drugim zamiast jednej, dwie mieć będą, dwie i szczęśliwe. Skoro tylko stanął ten układ, spieszenie go udzieliły córkom. Któż potrafi skreślić radość dwóch przyjaciółek; kto wyrazi ich wdzięczność; ileż tam wtedy płynęło łez radości! Najpierwój Jadwiga miała jechać do rodziców Kornelii. Czułe było pożegnanie na pensyi, czulsze z rodzicami; lecz ta myśl że za pół roku do nich powróci i to z Kornelią, wkrótce uspokoiła Jadwigę i jej serce napełniła najżywszą radością.

Jakże przyjemna i szybka była ta podróż! Mil kilka w jednej przejeżdżają chwili. Jeden pokoiik dla obudwóch został przeznaczony; żadnej różnicy między niemi: sąto dwie siostry. Razem pracują, razem na spacerach chodzą, razem na cztery ręce grywają. Jakże ich głos czuły zachwyca, gdy niekiedy wspólna śpiewka wyraża uczucia dwóch serc się kochających! Widząc troskliwość ku rodzicom, starania jakie około nich nawzajem okazują; niktby nie poznał która w istocie córka. Minęła już zima: już lube ptaszyny

zwiastują wiosnę; już siołeczek miłą woń w powietrzu rozpościera, i pierwiosnek ukazuje się gdzie-niegdzie: czas więc opuścić okolice Warszawy; trzeba pospieszać w objęcie drugich rodziców, tyle spragnionych.

Pospieszają więc w Krakowskie. Po miłej dwudniowej podróży, już są w wiosce rodzinnej Jadwigi. O jakże jej serce bije! Przyciska do niego przyjaciółkę i mówi: „tu się rodziła twoja Jadwiga, dlatego aby „kochała, kochała wiecznie Kornelią!“ Zajeżdżają na dziedzieniec — w jednej chwili już Jadwiga u nóg rodziców, już je łzami skrapia. Wszystkim przedstawia Kornelią swą siostrę; do każdej chatki prowadzi, aby nie było i jednej istoty, coby nie znała jej przyjaciółki, i z nią równie nie kochała. Zwiedzają razem wszystkie miejsca sławne okolic Krakowa; jadą i do samego miasta; wszędzie wesołość im towarzyszy. Jadwiga nie posiada się z radości. Wrodzona wesołość jeszcze się podwoiła: i same szczęśliwe, i otaczających uszczęśliwiają. O jakże dobrzy rodzice cieszyli się, że padli na myśl tak szczęśliwą nierozłączania przyjaciółek!

Prędko minęło lato, jak to zwykle wszystko co przyjemne. Znów Jadwiga i Kornelia ujrzały się pod Warszawą; tam odnawiają się lube przypomnienia powziętej przyjaźni. Tę zimę rodzice pragnęli w mieście przepędzić: chcieli dać poznać córkom świat i zabawy wielkiego miasta. Cieszą się naprzód myśląc o balach, tańcach, wizytach. Jadwiga lubi tańczyć, tańczyłaby noc całą bez zmordowania; Kornelia znowu z upodobaniem myśli: że będzie w teatrze, że ujrzy szczytne tragedye, powabne Fredra komedye, i urocze opery Rossiniego. W pięknym powozie ruszają wesoło do hucznej Warszawy. Skrzypią koła tocząc się szybko po zmarzłej ziemi; same igraszki i śmiechy im towarzyszą: lecz czyż i w tej Warszawie one jedynie ich tylko powitają? nie znajdują tam zgryzoty, tej zbyt częstej mieszkanki miasta? alboż my to wiemy! któż naprzód swój los zdoła przewidzieć?

Wjeżdżają w samo południe do Warszawy, już nie jako pensyonarki, lecz jako panny na wydaniu. Przejeżdżają koło domu gdzie były na pensyi: ściskają sobie ręce; łza im

w oku stanęła. Naszczęście było dzień rekreacyi: pełno panien w oknie, dawnych współtowarzystek. Witają ukłonami, przesyłają nieme pozdrowienia; latają na powietrzu całuski: nareszcie zajeżdża powóz przed hotel Rozengarta. Otworzono piękne pokoje: wszystkiemu się przyglądają, wszystko dla nich nowością. Wychodzą do magazynów kupić ładne kapelusiki: kupiły jednakowe do odwiedzin, jednakowe do spaceru. Porzuciwszy już stroje parafiankie, wystrojone zupełnie po modnemu, najpierw idą odwiedzić pensyą. Tamto dopiero tysiące opowiadań, śmiechów, uciech. Dalej następują inne wizyty, zaprosiny, bale, wieczory, teatru. Zrazu były odurzone tém ciągłym roztargnieniem; lecz gdy przeszedł pierwszy szal, gdy się z tém wszystkiém oswoiły; wiele, wiele ten nowy sposób życia stracił powabu. Piękne, młode, wysoko ukształcone, a do tego bogate, miały roje czcicieli; lecz żaden dotąd nie zajął serca Kornelii i Jadwigi. Obie żądały czegoś więcej nad pospolitych ludzi: każdy miał jakieś wady lub śmieszności, które dla innych mo-

żeby były powabami, dla tych zwłaszcza, które rade jak najspieszniej porzucić stan paniński; lecz Kornelia i Jadwiga nie spieszyły się: wołałyby nigdy za mąż nie iść, niżeli przeciw przekonaniu. Chciały w mężu znaleźć doskonałość: rzadko się to wprawdzie zdarza, lecz w tym razie lepsza i wytworność niżeli zbytnia łatwość.

W tym właśnie czasie przyjechał do Warszawy młody Zdzisław: przystojny, ujmującej postawy, majątny, pełen talentów, powabnego ułożenia, a nad to wszystko posiadający najpiękniejsze przymioty duszy, a nawet cnoty niezwykle mężczyznom: był bowiem czuły, nieuprzedzony, najczystszych obyczajów. We wszystkich towarzystwach pragnęli go posiadać: wszystkie głowy pozawracał. Sam był na to obojętny; dla wszystkich równie grzeczny, lecz nikogo szczególnie jeszcze ani oko ani serce jego nie wybrało. Już miesiąc upłynął jego pobytu w Warszawie, a jeszcze nigdzie nie widział dwóch przyjaciółek; słyszał tylko o nich wiele dobrego, i pragnął poznać; one także dowiedziały się że przybył jakiś nowy adonis na świat wielki;

nie spodziewały się bowiem znaleźć nic szczególnego: tyle razy były już zawiedzione fałszywemi pochwałami. Pewnego wieczoru, gdy były na nowej operze; pierwszy raz je ujrzał Zdzisław: bo któż mógł nie spostrzedz tych dwóch młodych piękności! Jadwiga rumiana, włosy jak heban, jaśniejące ogniem żywości; Kornelia mniej może miła, ale za to rysy tak miała regularne, że pędzel malarski nicby nie mógł utworzyć doskonalszego: śliczne jasne włosy zdobiły jej czoło, a w oczach błękitnych odbijała się czułość duszy. Po skończonym pierwszym akcie, prosi swego przyjaciela, który się znał z rodzicami Kornelii, aby go zaprezentował; w loży zatem zawiązała się znajomość, która miała wpływ na całe życie tych dwóch tak szczęśliwych dotąd istot. W niedługim przeciągu czasu, Zdzisław codziennie do nich uczęszczał; na wszystkich zgromadzeniach go widywały. Łatwo to można było spostrzedz, że Zdzisław znajduje nadzwyczajne upodobanie w tym domu, i że pewnie serce w tém ma udział. Lecz którą wybrał, tego oko najbaczniejsze dostrzedz

nie mogło. Dla obudwóch równie grzeczny, i przyjemny, o obudwóch równie starający się względy; bo mogłoby być inaczej? czyżby ten pozyskał serce jednej, ktoby dla drugiej nie okazywał równych względów? Nietylko zatem świat, ale i one same nie wiedziały, która z nich zrobiła wrażenie na sercu Zdzisława.

Nie w samym Zdzisławie spostrzegano zmianę. Już nieraz Kornelią widziano zamysłającą się, i na ustach Jadwigi nie tak często spoczywał uśmiech. O! nieszczęsne, obie kochały, nie wiedząc nawet o tém. Równie czule dusze, razem kształcone, jedną myśl miały, jedno uczucie; co jednej się podobało, i drugiej podobać się musiało. Pierwsza Kornelia poznała stan swego serca, i zaraz wyjawiała Jadwidze: ta słuchając tego zwierzenia, uczuła jakąś niezwyczajną boleść w sercu. Słuchała eierpliwie przyjaciółki, ścisnęła ją, obléwała łzami, i ciągle powtarzała: oh! bądź, bądź szczęśliwą! I odtąd poznała, że także kocha, ubóstwia Zdzisława, że bez niego nie ma dla niej szczęścia; lecz téjże saméj chwili postanowiła nigdy nie

wyjawić co się dzieje w jej sercu, nigdy nie być jego żoną, choćby nawet ją wybrał. Ciągłe Kornelia powtarzała to co jej Zdzisław mówił, jakie ona ma nadzieję: ta słuchała, życząc z serca szczęścia przyjaciółce; bo jakkolwiek kochała Zdzisławę, Kornelia droższą jej jednak była.

O jakże się przeraziła Jadwiga, jakiegoż nieznanego doznała uczucia, gdy pewnego dnia Zdzisław miłość jej swoją wyjawiał! Zmięszana, cóż mu odpowie? ale nareszcie po usilnych błaganiach, zebrawszy siły, odpowiedziała: że nigdy jego uczucia nie podzieli; iż postanowiła nigdy za męża nie iść, i tego świątce dotrzyma; i jeżeli chce niechęci w jej sercu nie wzbudzić, niechaj jej nigdy o tem nie wspomina. Biedny Zdzisław tak zawiedziony w swych najmiłszych widokach, uczuł okropną boleść: wszystko mu odmówione, nawet nadzieja dalszego szczęścia. Kilka dni upłynęło, a Zdzisławę nie widać. Kornelia na łonie przyjaciółki swe żale składa; ale w sercu nieszczęsnej Jadwigi cóż się działo? Przyzwyczajona wszystko dzielić z przyjaciółką, teraz cały

ciężar niedoli sama jedna znosić musi. W ta-
kiem sercu jak Jadwigi była jednak ośłoda,
bo chętnie poświęcała całe szczęście dla
Kornelii; ale czyż ona tego szczęścia którego
się dla niej wyrzeka, będzie kosztować? czy
nienadaremnie czyni tak wielką ofiarę?
Stęśchniony Zdzisław na nowo powraca. Od-
żyła Kornelia tym bardziej, że teraz więcej
nią zajęty, z nią rozmawia, Jadwigi unika.
Tak czas schodził, do chwili wyjazdu na
wieś. Jadwiga z radością opuszczała miasto:
sądziła że na wsi wolniej odetchnie, że spa-
dnie ten ciężar tłoczący jej serce: Kornelia
przeciwnie łązy obfite wylewa; przeraża ją
myśl wyjazdu w Krakowskie. Zgadła to
Jadwiga i mówiła do niej: „ach kochana
przyjaciółko, pozostań, pozostań w lubem ci
miejscu: ja sama wrócę do moich rodziców;
nie oddalaj się od miłych ci osób. Ale Kor-
nelia, i przez przywiązanie do przyjaciółki,
i przez wrodzoną każdej kobiecie skromność,
która nie pozwala okazać mężczyźnie przy-
chylności tak widocznie, na to nie przystała.

Jadą zatem — przebiegają te same okolice
które przed rokiem tak im się czarownemi

wydawały. Teraz wszystko pod inną przedstawia im się postacią: bo cóż jest powabne dla oczu przepelnionych łzami? Matka Jadwigi nie poznaje córki. Coza zmiana! gdzież się podziła ta wesołość, ten rumieniec, ta żywość w oczach? Dostrzegła że jakaś skryta boleść dręczy serce córki: bo cóż się ukryć może przed okiem matki?

Wiejskie zatrudnienia, spacery, cała natura przyodziana w nowe życie, na chwilę odświeżyła serce biednych przyjaciółek. Nie raz do siebie mawiały: o czemuż poznałyśmy miasto? czemu nie dosyć nam było na niewinnych uciechach wioski? Lecz zapóźne już były te uwagi; już obie teraz i na wsi nie znajdują dawnego szczęścia, dawniej swobody.

Nadszedł 20 Czerwca: był to dzień urodzin Kornelii. Razem ze słońcem wstała Jadwiga, pozносиła tysiące kwiatów, i niemi przyozdobiła łóżko Kornelii; lecz stokroć droższy jeszcze miała dla niej upominek: położyła go na stoliczku przy jej łóżku. Jadwiga z nadzwyczajnym talentem malowała miniatury, i chociaż w wykończeniu może

nie była tyle doskonałą, ale podobieństwo uchwyciła od razu; wymalowała zatem Zdzisława z pamięci, będąc jeszcze w Warszawie, i tę miniaturę ofiarowała przyjaciółce. Och! jakież urocze było przebudzenie Kornelii, ileż też obie wylały! ale tą razą te łzy były słodkie, bo i Jadwiga w swém poświęceniu znajdowała niepojętą rozkosz. Około południa słyszą trzask bicia; ktoś nagle zajeżdża na dziedzieniec; ciekawi wszyscy kto to być może: wtem drzwi się otwierają, i wchodzi Zdzisław. Tak, Zdzisław rozumiał że największą zrobi przyjemność Jadwidze, gdy pamiętać będzie o dniu urodzin Kornelii. Wistocie oceniło to serce biednej Jadwigi; ale na chwilkę zagojoną ranę na nowo rozdrażniło, a Kornelią w jakiś nowy błąd wprowadziło; jakiegoż szczęścia doznawała! Zabawił dni kilka: razem odbywali spacer. Jakże Zdzisław umiał czuć piękności natury, jak te uczucia wyjawiać! jakże zgodni we wszystkich myślach, zdaniach z Jadwigą! Przed wyjazdem, ośmielił się jeszcze raz wynurzyć jej swoje zamiary: błagał, prosił; lecz zawsze nadaremnie. Z rozpaczą prawie

porzucił te miejsca, w które sprowadziła go jeszcze iskierka nadziei.

Nadszedł swą koleją na nowo październik; czas powracać pod Warszawę. Serce Kornelii bije z radości; Jadwiga tłumi swój żal, by nie smucić przyjaciółki; postanowiła więc w tamte strony nie wracać, dopóki nie uleczy zupełnie swego serca; lecz jak tę myśl wyjawić Kornelii? Matka już o wszystkim wiedziała, i odtąd też niejakięj ulgi w swych cierpieniach doznawała Jadwiga. Matka, dobra matka wszystko więc na siebie bierze. Powiada: iż bez córki już się obyć nie może, że przy niej pozostać musi, chociaż tę zimę. Zdumiała Kornelia wierzyć temu nie chce; wkrótce się jednak niestety przekonała, że się to już nie odmieni. O! kto kochał tak czule, jak się kochały te dwie przyjaciółki, a po kilku latach wspólnego pobytu, pierwszy raz się rozłączały; pojmie co cierpiały, ile wylały łez przy pożegnaniu.

I tę zimę miała Kornelia przepędzić w Warszawie. Gdy ją pierwszy raz ujrzał Zdzisław, a ujrzał bez Jadwigi; jakież okazał zadziwienie. Wtedy dopiero wygasła zupełnie

wszelka nadzieja; w tym kroku Jadwigi widział tylko niechęć ku sobie. „O!—mówił—wolała się pozbyć przyjaciółki którą tak kocha, byle tylko uwolnić się od mego widoku—niewdzięczna!“ Zawsze go jednak jakiś pociąg prowadził w dom rodziców Kornelii: z nią jeszcze rozmawiał o Jadwidze; a tak nieznacznie, rozumiejąc że zawsze kocha Jadwigę, przywiązał się do Kornelii. Nie byłato może ta żywa pierwsza miłość; ale czule przywiązanie, ugruntowane na szacunku. Tą razą był szczęśliwszy: z chęcią go przyjęto. W jakichże czułych wyrazach malowała Kornelia przyjaciółce swoje szczęście! nie wiedziała że jej go była winna. Jadwiga czuła to szczęście z całej mocy duszy; sama w własnych oczach podwyższyła się. Och! poświęcenie uczynione dobrowolnie z własnego szczęścia, ma coś w sobie tak wielkiego, szczytnego, że koniecznie pocieszyć musi; unieszczęśliwić nie może.

Dzień ślubu Kornelii i Zdzisława już był wyznaczony. Píše Kornelia do przyjaciółki, aby przybywała jej towarzyszyć przy oltarzu; aby w tej chwili tak ważnej w życiu, miała

przy sobie najdroższą osobę dla serca swego. Jadwiga wymawia się słabością zdrowia matki, bo jeszcze nie nabyła dość siły i męztwa oglądać Zdzisława, Zdzisława który już nigdy do niej należeć nie będzie, którego kochać odtąd byłoby występkiem.

Nigdy jednak wspaniała Jadwiga nie dała poznać przyjaciółce, czego się dla niej wyrzekła; i z tą tajemnicą wstąpiłaby do grobu, gdyby nie traf pewien, który wszystko odkrył. W kilka lat po zamęzcium, przyjeżdża Kornelia do domu rodziców Jadwigi: nie zastaje przyjaciółki: wyszła z matką na przechadzkę. Prosto idzie do jej pokoju; zwiedza tam każdy kącik; wszystko jej na pamięć przywodzi dawne czasy, lube wspomnienia młodości. Zbliża się do stoliczka Jadwigi: na nim spostrzega dziennik ręką przyjaciółki kręślony; przebiega go chciwie, bez obawy, bo dla przyjaźni jestże jaka tajemnica? rada że skróci chwile oczekiwania, że się dowie, jak spędzała czas Jadwiga od niej oddalona. Na cóż natrafia, czegoż się dowiaduje? łyzy spływają po papierze. Wtém nagle wbiega Jadwiga — chce się rzucić w ob-

jęcia przyjaciółki; lecz spostrzegłszy dziennik w jej ręku, przerażona, usiłuje wyrwać go z jej ręki—nie czas już było.... Kornelia zamiast w objęcia, rzuca się do nóg, i okazuje w najżywszych wyrazach swoją wdzięczność za takie poświęcenie. „Och! — powtarzała kilkakrotnie tyś się — dla mnie wyrzekła „najmilszych uczuć; tyś mi więcej niż życie „oddała, bo serce niezrównane Zdzisława, „które pierwój wyłączenie do ciebie należało, „i nie pozwoliłaś nawet abym ci za nie „dziękowała! O! znajdziesz nagrodę u Tego, „który sam jedynie podobne czyny nagradzać „potrafi.“ Odtąd te przyjaciółki ściślejszy jeszcze węzeł połączył: bo uczucie wdzięczności, drogie dla każdego szlachetnego serca, przyłączyło się jeszcze do uczucia tkliwej przyjaźni.

Antonina J.



Do Leonka.

SONET.

L EONKU, ty się śmiejesz, kochana dziecino,
 Już każdy chętnie z tobą bawi się i śmieje;
 A jeśli drobną perłę twe oczko wyleje,
 Każdemu żal—a mamie ledwie łzy nie płyną.
 Słodkie te chwilki prędko, mój Leonku, miną;
 Nim razy kilkanaście wiosna odmłodnieje,
 Niestety! już cię nowe spotkają koleje,
 Nawet wspomnienia latek anielskich zagina.
 Igraj, igraj Leonku, pókiś jeszcze dziecię,
 Póki zdala od ciebie namiętności burza:
 O! zaledwie raz tylko spłoniesz przy kobiecie,
 Poznasz, ileto cierni w tym czarownym kwiecie;
 Poznasz, jak niebo szczęścia prędko się zachmurza,
 I w gorzkiej odczarowań toni nas zanurza.

Wiktoryn Zieliński.

Październik
 1835.

Moój Przyjaciel.

KIEDY dla mnie na świecie nic już nie
zostało,
Coby mi drogiém było, coby mnie kochało ;
Kiedy ojciec i matka, i rodzina cała,
Do nadziemskich wieczności krain uleciała ;
Kiedy ci, co się niegdyś przyjaciółmi zwali,
W innych kolejach losu zmiennemi się stali:
Jeden tylko przyjaciel pozostał mi stały ...
Lecz nie było już człowiek — był nim piesek mały....

Teofil Norwosielski.



W I D W A .



Painted by T. Webster

Engraved by W. Finden

THE WIDOW.

DIE WITWE.

LA VEUVE.

<http://rcin.org.pl>



WDOWA.

(Z RYCINĄ).



WYCIĘ kobiety jest zwierściadło, w którym się bez ustanku odbijają tylko rysy ulubionych jej osób; jestto czarodziejski kwiat, który wszystkich serca i oczy zajmuje, dla wszystkich staje się rozkoszą, a jednak przy tak wielkiej sile niewystarcza sam dla siebie, i niknie w samotności. Jestto piękna gwiazda tym szczególniejsza, że blask swój ma jedynie z oczu patrzących. Jestestwo kobiety zasada się na jej sercu. W niem zawarte

uczucie delikatne i silne, płomień który przy niewinności staje się dla niej rozkoszą, przeznaczeniem, i razem węzłem towarzystwa. Tkliwością tylko żyje kobieta. Często w postępowaniu przeczucie czystego jej serca lepiej nią rozrządzi, aniżeli rada rozumu najdalej przewidującego. Wszystkie władze jej duszy mogą być na chwilę uśpione; lecz serce przez cały ciąg życia musi być czynne, musi być zajęte jakim przedmiotem któryby stanowił żywioł jej uczuć: inaczéj kobieta traci cały swój urok, i, mimo cnót swoich i wdzięków, nie będzie miała w sobie téj tajemnej władzy, przed którą rozum upada.

Tak w wiosnie dni, nim niewinna dziewczica uczuje płomień miłości: podziela tkliwość swoją pomiędzy matkę, ojca, rodzeństwo i przyjaciół. Piękne jest jej serce ile razy w niem odbije się majowy poranek, lazurowe nieba, kwieciste łąki, zdrój zwierściadlany, i głos słowika zajęczy. Wtenczas najlepiej sympatyzuje z myślą przyrodzenia. Wtenczas myśl jej niewinna ulata w niebo, jak anioł w swoje mieszkanie. Wtenczas piersią czystą chciałaby całą ziemię ogarnąć; i wtenczas

piérwszy raz słodka tęschnota mówi jój nieznanym głosem do duszy, głosem przeznaczenia, że jój życie nie jest dla niej na ziemi.

Daleko piękniejsze serce kobiety, kiedy je zajmie po raz piérwszy niewinna, czysta miłość, ta gorączka młodości, ta poezya życia. Odtąd chwila szczęścia zostanie jój przytomną do zgonu. Każde bicie serca poi ją rozkoszą. Wszystkie myśli, wszystkie marzenia, w jedną myśl spływają, a tym ostatnim jój celem, ostatnią chęcią, myślą, marzeniem, jest ten, do którego uczucie ma ją przywiązać do grobu.

W takim stanie doczeka chwili złączenia: a jeśli znajdzie w towarzyszcu życia swojego, co o nim przed ślubem marzyła; jeśli jój dusza, w której od młodości jakby we śnie odległe błyskały niebiosy, ta sama dusza dotknie się swych niebios w rzeczywistości: powiedźcie wtedy wy wszyscy co się szczęśliwymi nazywacie, czyście w życiu uczuli podobną rozkosz, i czy niebo naznaczyło dla ludzi wyższy stopień szczęścia? Biada jój, jeśli to życie zgaśnie, w którym całe swe

nadzieje zawarła! Już ona nie ma łez na opłakanie swęj straty. Serce jęj przepęłnione uczuciem nadzwyczajnej rozkoszy, nagle potęm dotknięte boleścią nieporównaną, ginie odrazu lub gaśnie stopniami. Dlatego smutniejsze jest życie młodej, cnotliwej wdowy, która znalazła w przedmiocie swych uczuć to, za częm serce jęj gonilo. Drugi raz już nie spotka podobnej osoby, a choćby ją z temi samemi przymiotami, z tą samą nawet duszą, wynaleźć mogła; już nie zobaczy swego szczęścia, bo już zagaśł, razem z życiem męza, wzrok jęj otoczony urokiem dziewiczego marzenia i pięrszych dziecinnych uczuć. Obowiązek moralny trzyma ją tylko przy życiu, i łączy z ludźmi: bo uczucie rozkoszy co ją silnie do ziemi wiązało, znikło na zawsze. W tej boleści świat marzeń na chwilę jest dla niej pociechą. Przeszłość, ułuda wspomnień, stawa jęj za rzeczywistość. Żyje wtenczas pamięcią i snami swoich rozkoszy; spokojna, dopókad z marzeń nikt ją nie przebudzi. Całe jęj jestestwo wybiega bez ustanku za granice życia, gdzie spodziewa się znowu ujrzeć swoję stratę. Jedno

tylko imię, słodkie imię matki, jak gdyby głos przyjaciela, co w nieszczęściu do nas ręce wznosi—tak, to imię przyciąga ją jeszcze do ziemi; i to ją najczęściej z światem godzi.

Zamyślona, mając u stóp działki swoje zajęte niewinną zabawką; jedną połową swojego jestestwa jest przy nich, a drugą w dalekich nadziemskich krajach. Myśli jej, jak bańki któremi jej dzieci się bawią, wzniezione wysoko, trącają zawsze o sklepienie niebios, o wyrok przeznaczenia, i spadają we łzach. Ale kiedy spojrzy na dzieci swoje—miłość żony ginie przed uczuciami matki. Tkliwość macierzyńska przemaga nad jej sercem. Ta jedna rozkosz zacięra w niej powoli myśl o stracie. Zczasem pamięć słabnie; wrażenia nie tyle dotkliwe; a tak zwolna żal za zginioném szczęściem zmniejsza się i ustaje: jednak do śmierci pozostanie na dnie duszy tęsknota tajemna, myśl gorzka, która wzbudzona najmniejszym wspomnieniem, wybuchu boleścią gwałtowną.— Takie jest życie wdowy, jeżeli ciąg marzeń i snów, rzeczywistém życiem nazwać można.

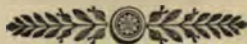
Antoni J. Szabrański.

Malowanie Kwiatów.



SAME kwiaty malujesz: dziwna to robota;
 Cóż na tém zyska ludzkość, nauka lub cnota.
 Taki zarzut zrobiono raz lubej Antosi,
 Co wdzięki córek Flory na papier przenosi.
 Na to skromna dziewczica tak odpowiedziała:
 Gdym raz pierwszy z natury kwiatek malowała,
 (Byłto wonny sijołek co się w trawie kryje)
 Rzekłam: jak on? szczęśliwy że w ukryciu żyje!
 I odtychczas jedynie pochwał serca chciwa,
 Żyję w cichej ustroni, i jestem szczęśliwa.
 Wzięłam różę pod pędzel, pomyślałam sobie:
 Piękna ale znikoma; ja ją trwałą zrobię.
 Tém cnota dla człowieka, czém pędzel dla róży:
 Nie prawdaż, że się cnocie i kwiatek przysłuży?

Stanisław z Dzikowa.





WYJĄTEK Z POWIEŚCI

POD TYTUŁEM:

DZIECKO ZBÓJCY.



BELINA.



Y mnie nie kochasz, Edwinie! ja wczora
Długo błądziłam na brzegach jeziora ,
I ku téj górze, i ku temu gaju ,
Z którego strumień w dolinę się toczy ;
Blizko zarośli , gdzie podług zwyczaju
Najprzód się nasze spotykają oczy.
Bięgnę , spoglądałam , lecz nie widać wcale
Ni konia twego , ni szkarłatnej szaty ;
Zbięram maliny i piękniejsze kwiaty ,
I piosneczkami na ciebie się żalę ;

Ale napróżno. Już przeminął ranek,
 Słońce południem paliło na niebie:
 Pełny kosz malin, najpiękniejszy wianek;
 Czekałam długo — a nie było ciebie.
 Potém, stanąwszy na wysokim szczycie,
 Tam, patrz, usiadłam na skały ułamku,
 I oko moje utopiłam w zamku.
 Ach! wtenczas chętnie oddałabym życie,
 By zostać płazkiem co powietrze porze,
 Podlecieć wyżej, przejrzeć się w jeziorze,
 I aż do murów, precz, precz, pomaleńku,
 Dopłynąć górą, usiąść na okienku;
 Najprzód ci z żalem o sobie powiedzieć,
 Potém się o twój miłości dowiedzieć;
 A gdyby serce dla mnie skamieniało,
 Na skrzydłach górą wyrzucić się śmiało,
 Ale ku ziemi więcej nie popłynąć;
 Tylkobym chciała, pod niebo wysoko,
 Gdzie nawet ludzkie nie doścignie oko,
 I jeszcze wyżej — wylecieć i zginąć.
 Marzyłam, chodzę, tzę ocięram z oka,
 Co jedną zetnę, to druga wypłynie;
 Tęsknota w piersiach jak rana głęboka;
 Spojrzę na piersi, lecz nie było rany;
 Tylko ty byłeś, ty, mój ukochany,
 A ty mnie pewno nie kochasz Edwinie!

E D W I N.

Spójrzyj w to czoło chociaż raz, Belino !
 Spójrzyj w te oczy z których łzy mi płyną !
 Kładź dłoń na serce bijące jak młotem !
 Spytaj się serca, dla czego tak bije ;
 Spytaj i duszy, a odpowiedz potem ,
 Czyja ta dusza, i to serce czyje ?
 Wczora nie mogłem. Mój ojciec w chorobie
 Jęczał i prosił. Miałem go porzucić ,
 Ażeby usta ucałować tobie ;
 Siebie pocieszyć, a jego zasmucić !
 Tegobyś sama nie żądała po mnie.
 Przy nim, Belino , gdy ścisnął z zapamię ,
 Gdy jęczał starzec , mówił nieprzytomnie ;
 Tybyś z boleści zapomniała o mnie ;
 A ja przytomny tu duszą , tam ciałem ,
 O tobie tylko przy ojcu myślałem ,
 I łza ognista oczy mi paliła . . .
 Nie ! to nieprawda co ja powiedziałem :
 Bo jeszcze na mnie , niewiernico miła ,
 Patrzysz , i jeszcze twe serce nie wierzy !
 Pan tylu panów ! pan tylu rycerzy !
 Ja dziedzic zamków, złota , i szkarłatów ,
 Miałbym , bez czucia w dzień i nocną dobą ,
 Błąkać po boru i gonić za tobą ,
 Dla twoich malin i dla garstki kwiatów !

Nie, już nie jestem t^ęm, cz^ęm dawniej^ę byłent.
 Czy duch przy tobie zmysły moje mam
 Tw^ęm boski^ęm licem, tw^ęm spojrze^ęniem mi^ęł^ęm;
 Tak mnie zwycię^ęża jak gdyby czarami.
 Straci^ęm szczę^ęście, spoko^ęjno^ęść straci^ęm;
 Tę^ęschnota w sercu, a serce się lęka,
 I dziwna rzewno^ęść — Ja jak dawniej zbrojny,
 Ja dziś nikczemnik, niezdatny do wojny,
 Nie wierzę sobie, osłabła mi ręka,
 Do krwi, do boju nie mam takiej chęci;
 W^ęściekłość ucichła, i dusza zamarła —
 Ach! tyś mi wszystko z ramienia, z pamięci,
 I z duszy mo^ęjej, Belino, wydarła.
 Jeszcze do tylu nieszczę^ęść i zgryzoty,
 Myśl w tajemnice z drżeniem się zacieka.
 Sam siebie pytam: czyś córką człowiecka,
 Czyli t^ęż jakiej^ę nadziemskiej istoty!
 Wszak ja nic twego nie znam prócz imienia;
 Dom, twoje miano, krewni i rodzice,
 Wszystkoś pokryła w jakieś tajemnice.
 Często mi w trwodze przychodzą marzenia,
 Żeś ty królową nadludzkiej urody,
 Której^ę królestwem jest kwiecista łąka,
 Której^ę duch strzeże gaików i wody,
 I nad brzegami jeziora się błąka;
 Żeś ty dziewicą zaklętą w pustyni,
 W ciele anielskim a z duszą potworu,

Z duszą co dotąd ma jęczyć po boru ,
 Aż miłośnika szaleńcem uczyni.
 Dlaczegoż dla mnie chcesz zostać tajemną ?
 Czy córce strzelca , czy biednej pasterce ,
 Dochowam tobie najwierniejsze serce.
 Próżno ukrywasz ubóstwo przedemną ,
 Bogactwo , nędza , dla mnie wszystko jedno.
 Miałebym ciebie przenosić nad złoto !
 Ale ty piękna , nieznaną istotą
 Spójrz na siebie ! — ty nie jesteś biedną :
 Na tobie szaty nie biednej dziewczyny ,
 Lecz księżny stroje : króleskie dostatki ,
 Srebrne bisior , złote pajęczyny ,
 Na głowie błyszczą brylantowe kwiatki.
 Ja , ile razy obejmę w ramiona ,
 Całuję nogi , ręce , usta twoje ,
 I ciało piękne przyciskam do łona ;
 Ach ! tyle razy tajemnie się boję ,
 Dreszcz święty w kościach choć i miłość czuję ,
 Jakby przed Bogiem kiedy zagrzmiał z nieba.
 Ja twych ubiorów i mów nie pojmuję.
 I pocóż tobie tajemnicy trzeba ?
 Ty wiesz najlepiej : ja kocham cię tyle ,
 I ty mnie kochasz . Poco w puszczy głuchej
 Szukać się wzajem , i przepędzać chwile
 Na łzach miłości jak zakłętą duchy ,
 Zawsze samotnie , zawsze pokryjому ?

Daj sama pomoc dla marzeń niepewnych ,
 Powiedz mi słowo, zaprowadź do domu ,
 Do twych rodziców , lub do twoich krewnych.
 Potém zstap, piękna, w rycerza podwoje:
 Zamki Prokopów otworem ci stoją,
 U nóg ci złożę co tylko jest moje.
 Zostań kochanką, żoną, panią moją:
 Gdy tu nie wierzysz rycerskiemu słowu ,
 Więc w zamku odbierz moje przywiązanie ;
 Tylko twych ojców , twój ród i mieszkanie
 Odkryj Belino ! Ty milczysz , i znowu
 Zaléwasz lica wstydu płomieniami ;
 Łzy znowu ! znowu zabijasz mnie łzami!
 Wstrzymaj, ja o nic nie pytam już ciebie.

BELINA.

Nie ! ty nie kochasz Pana Boga w niebie.
 Na ten poranek , pomniesz, niewdzięczniku !
 Kiedyś na łowach zbłąkany przypadkiem ,
 Ujrzał mnie samę pierwszy raz w gaiku ;
 Niebo przysięgi pozostało świadkiem ,
 Bo w ten czas łzami mojemi zmiękczony ,
 I proźbą czułą, w miłości zapale,
 Przysięgłeś milczyć i nie pytać wcale
 O dom mój, ojców lub ojcyste strony:
 A teraz pytasz ! nie wierzysz ! — Nie mogę.
 On, gdy tajemną pokazywał drogę ,

Wymógł, przysięgłam że o jego domu
 I o mym rodzie nie wspomnę nikomu ;
 Kto ? Ach ja tobie powiedzieć gotowa
 I grzech. Wszak zawsze jesteśmy najszczeri ;
 Lecz tylko tego jednego mi słowa
 Całą miłością niedobędziesz, z piersi.
 Zamilkniej, badaj, w badaniu myśl zginie —
 Słowa, uściski stawiaj po kolei :
 Pozbiérasz miłość, nie spotkasz nadziei ;
 Bo nam nadzieja we łzy się rozplynie.
 Ach ! dziś ja płaczę, ja nieszczęścia dziecię !
 A dawniej ! czemuż nie żyję na świecie,
 Jak kiedyś żyłam przed tobą, Edwinie ?
 Szczęśliwa wtenczas, od ciebie nieznaną,
 O jak rozkoszne przepędzałam chwile !
 Rosa kroplami srebrząca od rana,
 I złotem strojne nad wodą motyle,
 I kwiatki żywe na pośrodku łąki,
 Haftowne jakby w klejnoty kobierce,
 Muszle jeziorne, w powietrzu skowronki,
 Bawiły niegdyś niemowlęce serce.
 Dziś, już zginęły jeziora i błonie !
 Skowronki skrzydłem topiące się w niebie,
 Zginęły dla mnie ! a jeśli co gonię
 Myślą — to smutek, a sercem to ciebie ! —

Zamilkli. Edwin ciska na dziewicę
 Pożerające i ostre spojrzenia :
 Pragnie jęj z serca wydrzcć tajemnicę,
 Gromadzi w duszy słowa i wspomnienia ;
 Myśli migocą jakby błyskawice ,
 Serce goreje jakby od płomienia :
 Tak, nieruchomy , w sobie zatopiony ,
 Patrzy , nie widzi — słucha, a nie słyszy —
 Wtém jękło echo — Aż do leśnej ciszy
 Rozbija wrzawę. Grzmią zdaleka dzwony —
 Szczęk mieczów — głosy walczących rycerzy.
 Ocknął się Edwin — spojrzął i nie wierzy —
 Jeszcze spogląda — Z zamku słup płomieni
 Jak góra ognia. W około nięj wije
 Dym ozywione , węzowate szyje ,
 I bucha w niebo które się czerwieni.
 Zmartwiał — skamieniał — stoi jakby skała ,
 Ocknie się znowu, i na konia skoczy.
 Pędzi jak z łuku wyrzucona strzała ,
 W łocie do zamku przyrosły mu oczy ;
 Pragnie oczyma boleści i zgrozy
 Przebić i mury i ogień — Przebija —
 Nie wierzy — widzi — już ładowne wozy
 Wyciągły z bramy. Przy nich się uwija
 Tłum zbrojnych. Zadział, zrozumiał — To oni
 Chciałby piorunem zostać do pogoni ,
 Zatrzymać wszystkich, zamordować w progu.

Giną mu z oczu! — On od zamku zdala
Złorzeczy zbójcom i sobie i Bogu
Spogląda jeszcze, — wicia się zapala —
Buja do koła płomienistém czołem ,
Już się przechyla z trzaskającym grzmotem
Runęła z murów , i wyrzygła potem
Skrami złotemi i czarnym popiołem.

Antoni J. Szabrański.



SKARB DZIĘCIĘCIA.

DAJ mi te róże, daj dziecię kochane,
Jeszcze dość znajdziesz, nim wrócisz do chatki:
A czyje lica tak piękne, rumiane,
Kto sam jak kwiatek i na cóż mu kwiatki?

Zywszy rumieniec pokrył twarz małej,
Na piękne kwiaty mile spoglądała,
Potém do drugiej zabrała je ręki,
I nic nie mówiąc w oddaleniu stała.

„Czegoż więc myślisz? dajże mi kochanie,
Dam ci jabłuszko, jak ty słodkie, zdrowe. —
„O! nie, tych kwiatków niemogę dać panie, —
Choćbyś dał dziesięć i jeszcze połowę.“

„Kiedyś uparta i nieubłagana
Więc masz pięć groszy, pięknych jak dukaty.“
Dziecię spojrzało na pieniądz, na pana,
I mocniej w ręku zatrzymało kwiaty. —

„Nie , panie , nie dam , pierwszeto w tém lecie
W moim ogródku rozkwitnęły kwiatki ;
Dzisiaj róż za nic nie dałabym w świecie ,
I dla kochanej zerwałam je matki. “

„Slicznie dziewczynko — rzeknie pan zdziwiony —
Stałość jest zawsze pięknej duszy znamie ,
A za pięć groszy kup wstążki zielonej ,
Zwiąż nią swój bukiet i zanieś go mamie. “

Walentyna. T.





D O Z * * *



K

KIEDY przebierasz rączką nieme arfy strony
I wywabiasz z nich boskich tonów miliony ;

Nie wiem co mnie zachwyca:

Czy dźwięk arfy, czy twe lica ? . . .

Tylko po wytopioném z czucia morzu plynę

W jakąś górną, nieznaną niebiańską krainę —

Ty w tém opuszczasz strony ,

A jam nieba pozbawiony: —

Ale zbudzon z marzenia , gdy spojrzę na Ciebie;

Widzę znowu anioła i czuję żem w niebie . . .

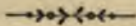
Teofil Nowosielski.





Wyimki

Z DZIENNIKA PODRÓŻY (*).



Po nużącój i szybkiej podróży, od ujścia Elby, przez Hanowerskie pustynie, do zaludnionych i przemysłem kwitnących brzegów Renu, stanęliśmy, na początku lipca, w mieście Dysseldorf, dokąd zmierzałem dla zwiedzenia zawołanego instytutu moralnie zaniedbanych dzieci, przez hrabiego von der

(*) Fryd. Hr. Skarbek odbył w r. 1828 podróż po niektórych krajach Europy w zamiarze zwiedzenia zakładów dla ubogich i więźniów. W r. 1830 ogłosił drukiem zdanie sprawy z tej podróży. — Następujący ułamek jest wyjęty z części niedrukowanej dziennika téjże podróży.

Recke, w dawnym klasztorze Trapistów w Dys-selthal, o ćwierć mli od powyższego miasta, założonego. Zajęty jeszcze miłem wrażeniem jakie na mnie uczynił widok kilkuset dzieci, wczesnie z zawodu zepsucia na drogę obo-wiązków towarzyskich zwróconych, pośpie-szyłem nad brzegi Renu, gdzie odgłos dzwo-nu zwoływał podróżujących chcących wsiąść na statek parowy, z Kolonii do Nimegi pły-nący, który w dniu jednym dwadzieścia blisko mil przebiega, i jeszcze kilka razy przybija do brzegu, aby z różnych miejsc podróźnych zabierać.

Dzień był najpogodniejszy a bez upału. Mogąca chwilę próźniactwu poświęcić ludność miasta biegła na brzeg wspaniałej rzeki na odgłos dzwonu, który zbliżanie się parowego statku zapowiadał; bo ten rodzaj żeglugi był jeszcze wówczas (1828) nowością. Na ja-snym przestworze doliny wktórej Ren płynie, widać było zdaleka łódź potężną, przewyż-szającą wielkością i szybkością biegu, wszyst-kie otaczające ją łodzie i czółna, pędzącą ku nam siłą téj pary, której ukryte w statku działa-nie wydawało się tylko przez gęsty czarny dym,

rozbijający się ze sterczącego nad łodzią komina pod jasny błękit nieba, aby dowieść poniekąd przemocy jaką ogień nad wodą zapewnić sobie potrafił. Gdy bliżej brzegu był statek, usłyszano wypuszczenie pary otworem; kłęby dymu przestały wydobywać się z żelaznego komina; ustawały stopniowo w ruchu swoim dwa ogromne koła parą poruszane, podobnie jak ustaje ruch koła młyńskiego po zastawieniu wody; a statek z takim dopiero łoskotem bijący kręgi na bystrzej wodzie, aby prze-módc siłę która szybkiemu biegowi jego opór stawiała, cicho i zwolna, jak mała łódź rybacka, za biegiem rzeki, poważnie do naszego przybił brzegu.

Piérwszy raz w życiu zdarzało mi się siadać na statek parowy; niedziw, jeżeli nadzwyczajność wrażén jakie ta żegluga na umyśle moim uczyniła, pewne, że tak rzekę, poetyckie uniesienie w duszy wzbudziła; że ją zajęła tak żywém i tak miłém uczuciem, iż potrzebą się stało dla mnie, wylać na papier, w samej chwili doznanego wrażenia, myśli i uczucia któremi byłem zajęty.

Krótką chwilą upłynęła, a wszyscy zajęli miejsca swoje na statku: ludzie pracy i potrzeby, którzy nie mogą tracić czasu na oddaniu się słodkim wrażeniom piękności natury i sztuki, ani są usposobieni do pojmowania ich: w jednej połowie statku zajęci to żegluga, to pilnowaniem przewożonych towarów, lub myślący, w czasie nieczynności swojej w podróży, o zabiegach i pracach jakimi się po wysadzeniu na ląd zajmą; ludzie uczuć i zbytku, na drugiej pięknie przystrojonej części statku, oddani wrażeniom obecnej chwili, niemi zajęci, umiejący pojmować i czuć wyższe przyjemności pożycia, posiłkiem nie ciała lecz duszy będące. Ściągniono na pokład most ruchomy na brzeg do wsiadania przerzucony; zamknięta kłapa więzi parę, i zmusza ją do wywarcia całej siły swojej na machineę, która zaludniony statek w godzin kilkanaście do innego przeniesie kraju, obcych z sobą połączy ludzi, tyle życzeń spełni, tylu podróżom cel położy, tyle miłych uczuć powitania, powrotu, poznania i ciekawości, wzbudzi i zaspokoi.

Biją koła statku w spienione wały, a łoskot ich, zdaje się dla tego tylko objąć się o uszy nasze, abyśmy zagłuszonego gwaru i pospolitych odgłosów na lądzie nie słyszeli, abyśmy wraz z naszym statkiem zupełnie rozbrat z opuszczoną ziemią uczynili, i wyłącznie się skutkom i wrażeniom wody, pary i żeglugi, oddali. Jakże się nie unieść nad pospolitość ziemskiego pobytu, kiedy niemal orła lotem posuwamy się naprzód po płynnej przestrzeni! Góry i doliny, wsie i miasta, kraje całe, mijają przede mną na lewo i prawo; zdaje się w ułudzeniu, że ten tak szybko płynący statek, jest nieruchomą dla mnie widownią, z której poglądam na przesuwane się przede mną siedziby ludzkie; które uciekają z rozkoszą i nędzą swoją, abym jednej nie pozazdrościł, a drugą się nie zasmucił; znikają jak sny zwodnicze, które pieszcą przez chwilę wyobraźnię, a żadnego po sobie nie zostawiają śladu.

Tu mnie zajął piękny widok: chciałbym schwycić jego powaby. Jakiego piękne oświecenie! jak kształtna tam budowa! jak świeże murawy!.... Już ich niemasz — oto

płonny piasek, znędzniałe krzewiny, liche budowy. O jakiżto obraz życia! ledwo żem mógł uchwycić wrażenie — a już znikło! ledwom uczuł rozkosz — a już minęła! Piękne ustąpiło brzydkiemu; pocieszające smucącemu.... i my chcemy sądzić o rzeczach; stanowcze o nich dać zdanie! mogęż spamiętać com widział dopióro, i co jeszcze widzieć będę? Z całego potoku wieków, chwila tylko życia jest dla mnie na ziemi; a ja bym chciał w niej poznać wszystko nad czém wieki pracowały; sądzić o tém co tysiąca lat jest dziełem! Tu patrzę na okolice przy słoneczném świetle: wszystko jasne i widoczne, niemasz pomroki ani złudzenia... lecz w życiu! gdzieżto przyświeca samo światło prawdy? gdzież niemasz pokrycia i obłudy? Jleżto złudzeń, ileż uprzedzeń kieruje wzrokiem naszej uwagi! a my sądzimy i wyrokujemy nieodzownie.

Ścieśniona para nadaje ruch kołom które, silnie bijąc bałwany, szybko naprzód statek posuwają; ukryta jest w głębi jego siła która nas popycha, i do celu podróży doprowadzi. Mógłbym przespać te chwil kilka,

i, nie wiedząc jakim się do niego dostał, w innym obudzić się kraju, i ledwo się nawet domyśleć co mię naprzód posunęło, jaka siła mię tam przeniosła... Jleżto razy posuwamy się w życiu, postępujemy naprzód, chętnymy się z naszych postępów; a niedostrzegamy tych kilku węgli, które wodę w parę zamieniły, i ruch wszystkiemu nadały!

Przesunęły się w ten moment przede mną zwaliska zamku Kayserswerth, tak jak czas który go zniszczył. Wysoka, okrągła wieża przegląda się w Renie, świadek upłynionego czasu, dzieło innych ludzi, dziś już puste i nieużyteczne jak ich pamięć.

Gdy nowość odbieranych wrażeń i widzianych okolic tak mnie zachwyca; mimowolnie spostrzegam śpiących majtków których, ani łoskot maszyny, ani powab podróży nie budzi. Bliżej mnie siedzi otyły towarzysz podróży, tak mocno kotлетem i kieliszkiem reńskiego wina zajęty, że się nic ani widzieć ani słyszeć nie zdaje; a trzy robieniem pończochy zajęte damy, tak żywą plotkami przeplataną prowadzą rozmowę,

że ich ani statek, ani Ren, ani jego okolicę bynajmniej nie obchodzą. Sąto może wszystko rozsądniejsi ode mnie ludzie, których taki jak mnie szaf nie ogarnął, którzyby się naigrawali ze mnie gdyby wiedzieli com tu napisał, i jak się nad pospolitemi dla nich rzeczami unoszę... ale kto umie być sam z sobą wśród zgietku ludzi, tego zajmuje wszystko co do duszy przemawia, i we wszystkiem stosunku z życiem ludzkim szuka. Godziż się szydzić z niego za to, i odbierać mu pociechę jaką w sobie samym znajduje? Tyle żyjemy wśród innych i dla innych, tyle marnujemy czasu dla zwyczaju, dla pozoru i opinii innych, iż każda chwila z sobą samym strawiona, oszczędzoną w życiu naszym zwać się może.

Na lewo okazuje się nam miasto Oerdingen z pięknym kościołem. Kilka towarzyszek podróży, zmierzając ku niemu, opuszcza nasz statek, i siada na łódkę po nie przybyłą. Coraz dalej różnobarwne ich ubiory odbijają się w błękicie wody, i drżą w kręgach które łódka zwija po rzece; powiewają chustkami na znak pożegnania znajomych

między nami pozostałych.... nie wiem czemu, ale życzyłbym sobie doznawać w tej chwili samej przykrości rozstania; i w témby była słodycz niejaka, gdybym łzawém okiem poglądał za łódką kołyszającą się po wodzie, z którejby mi przyjazna ręka ostatnie pożegnanie przesyłała.

Słońce się zniżało już ku zachodowi: miasta Wesel, Sand, Rees i Emmerich kolejno przed nami się okazały, a przybycie celników na nasz statek oznajmiło nam, iż mamy przebyć granicę Hollandyi. Wkrótce potem przy płynęliśmy do miejsca gdzie się Ren na dwie odnogi dzieli: jedna zachowuje nazwisko wspaniałej rzeki, druga przybiera nazwanie Waal, i płynie ku morzu. Pierwsza ginie w piaskach, druga unosi dumnie statki ku morzu; przy ujściu zapominają o Renie a żeglują po Waali; a ta co, w końcu długiego biegu sławnej rzeki, powstała z obsitych wód Renu, odnosi chwałę żeglugi i użyteczności; gdy te wody których jest tylko odnogą, w bagnach bez użytku giną. Któż nie wspomni tutaj na tych świetnych i dumnych, co obcą wzniesieni zasługą,

wzbudzają podziwienie gminu; gdy ci na których się wznieśli, znikają z widowiska świata, i zapomnieni, w własnem tylko sumieniu szukają nagrody i pociechy.

Nad zachodem słońca przy płynęliśmy do Nimegi. Szeroko rozlewają się przed nią wody rzeki, której żeglugne ramię ku zachodowi się zwraca, i przez to kształci jakby wielkie jezioro, w którego końcu wznosi się miasto, a jego białe mury uwieńczone ciemno-zielonym liściem kasztanów i topoli ogrodów spacernych, przegładają się w jasnym wód zwierciadle. Zdziwiającym jest wrażenie jakie na cudzoziemcu pierwszy wstęp do hollenderskiego miasta czyni: budowa domów, ubiór ludzi, język którym mówią, i wszystko to co najprzód pod zmysły podpada, zupełnie jest odmienne od tego co w Niemczech, we Francyi i w innych krajach znamy. Wrażenie to bardziej jeszcze zajmuje tego kto tak jak ja, ze środka Niemiec, po dziennej żegludze, bezpośrednio do hollenderskiego przybija brzegu, i nie może témsamém dostrzedz tego stopniowego przejścia z jednego do drugiego kraju,

przy którym się znamiona życia towarzyskiego obudwóm właściwe, blisko granicy mieszają z sobą, i zwolna do odmiennych kształtów i zwyczajów umysł przysposabiają.

Każdy podróżny przybywający do Nimegi, biegnie natychmiast do największej miejscowej ciekawości, do tych zwalisk świątyni rzymskiej, za czasów Juliusza Cezara wzniesionej, które zdają się świadczyć, iż kamienne budowy przez ludzi wystawiane, są najtrwalszym pomnikiem ich potęgi, i same tylko, życie mocarstw i narodów przetrwać mogą; że są trwalsze od ustaw i tych zasad bytu towarzyskiego, które my za tak stałe i niewzruszone nieraz poczytujemy.

Wyjazd z Nimegi drogą do Utrechtu, wprowadza cudzoziemca w kraj zupełnie odmienny od tego wszystkiego co dotąd widział, który go bardziej jeszcze zajmuje, jak odmiennie kształtem swoim miasto. Ogromny i nader wygodny powóz pocztowy, wiezie kilkunastu podróżnych po wysokim a dosyć wązkim wale, który doliny od zaléwu Renu chroni, tak że w każdym powstaje obawa aby za najmniejszym zboczeniem koni, mi-

mowolnie wraz z niemi i wozem do doliny lub do wody się nie przeniósł, zwłaszcza gdy się przyjdzie mijać z innym pojazdem, co się szczęściem nader rzadko zdarza, gdyż wozowa jazda najmniej pospolitym jest środkiem przewozu w Hollandyi. Na lewo płynie odnoga Renu, a nad nią rozciągają się zielone blonia; na prawo rozległa równina, a w niej pastwiska, ogródki, i pola na drobne cząstki podzielone i różnem zbożem zajęte: wszystko poprzegradzane żywemi płotami i drzewami; wszystkie łączki i pastewniki gęsto wierzbiną zasadzone, aby z gałęzi tych drzew mieć faszynę do naprawy wału potrzebną. Wśród tych drobnych przedziałów wznoszą się domki wieśniacze w drobną cegłę, bez tynku: przed każdym ogródek, a wszędzie tak zewnątrz jak wewnątrz czystość największa.

Niezadługo zjeżdża się przecieź z niebezpiecznego wału, a przewiózłszy się przez ramię rzeki, podjeżdża się na wzgórze piaszczyste, przy którem stoją dwie armaty zawsze gotowe do dania znaku przez wystrzały osadom dalej położonym, o wzbięciu

wody na Renie, znak który dzwony kościołów wszystkich parafij natychmiast powtarzają, aby ostrzedz ludzi, iż woda której ziemię własną wydarli, usiłuje wrócić do praw swoich, i wydrzeć im zdobycz na niej zrobioną.

Tutaj kraj mniej jest powabny, domki uboższe lecz zawsze czyste, grunt zły, po części sztuczną uprawą leśną, to jest krzakami łoży, brzeziny i dębiny zajęty, a w urodzajniejszych miejscach drzewami owocowemi w szachownice zasadzony, a między drzewami zboża zasiane.

Minąwszy miasteczko Wageningen zmienia się zupełnie okolica: ustają drobne posiadłości włościan właścicieli ziemi, nastają większe dzielnice panów. Obszerniejszy jeszcze od pierwszego dylizans czeka na podróżnych z dwóch traktów przybywających, i zabiera ich około dwudziestu do Utrechtu i Amszterdamu. Wjeżdża się na drogę sztuczną, z drobnych cegiełek na kant w gruncie osadzonych, a tak mocnych, iż nigdzie prawie ukruszenia i nierówności w tej wybornej drodze niemasz. Prawda iż po nie

tylko wozom pocztowym i lekkim pojazdom za wysoką opłatą jeździć wolno. Dla lepszego objęcia widoków całej okolicy, obrałem miejsce na wierzchu dyliżansu, (*sur l'imperiale*) i, pomimo wysokość tego siedliska i strachu jaki nas przejmuje, gdy wjeżdżając do miast, konduktor głośno ostrzega iż się mocno schylić trzeba ażeby, przy wjeździe do bramy, głowy za bramą nie zostawić; jestto istotnie najlepsze miejsce dla podróżującego chcącego poznać powierzchowność kraju, tak płaskiego jak Hollandya. Szczególnyto jest widok, sięgać okiem na kilka mil w okręgu, i nie natrafić nigdzie na żaden choćby najmniejszy pagórek; w oddaleniu wszędzie jednostajne równiny samemi tylko wieżami, wiatrakami i alejami z drzew po drogach sadzonych, co do jednostajności płaszczyzny, przerywane,

Od miasta Rhenen aż do Utrechtu, tak jak w większej części całej Hollandyi, ziemia nieurodzajna, piaski, sapy, i nawet odłogi do żadnej uprawy niezdatne, a lepsze grunta zajęte ciągle samemi prawie sztucznemi uprawami leśnemi, a mianowicie dębiną i

gdzie - niegdzie sośniną; które, gdy dojdą dwóch do trzech łokci wzrostu, wycinane są, obnażane z kory, drobno rąbane i układane w sąźnie gałązkowe, tak daleko droższe od naszych najlepszych szczapowych sąźni, iż uprawa młodej dębiny korzystniejszą jest w wielu miejscach od uprawy zboża, zwłaszcza że kora z gałązek dębowych drogo do garbowni przedawana bywa.

Łatwoby znudził podróżującego ten jednostajny widok płaskiego kraju, drogami, słupami i zagrodami na drobne kwadraty i prostokąty podzielonego, i jednakowemi wszędzie wiejskimi domkami posianego; gdyby starodawna zamożność pieniężnych magnatów Hollandyi, nie była zmieniła powierzchni niektórych okolic, zastępując kosztowną sztuką to, czego natura szczędziła. Taki jak ja mieszkaniec mniej zamożnego kraju, który pierwszy raz te okolice zwiedza; marzyć musi koniecznie o owych zaczarowanych ogrodach Armidy, które urokiem swym zachwycały, gdy się dostanie do okolic miast wielkich, między

zakłady zbytku któremi są otoczone. Sześć mil przeszło drogi, przed i za Utrechtem, przejeżdża się ciągle między niepoliczoną ilością zbytkowych osad wiejskich i pałaców, wśród angielskich i włoskich ogrodów powystawianych. Oko jest ciągle zajęte, to wystawnością, gustem i czystością budynków, to pięknnością ogrodów, zajazdów, stawów, drzew i krzewów wszelkiego rodzaju. Sztuka bogactwem wsparta nową postać nadała krainie, wszelkich piękności przyrodzenia pozbawionej, i płonnym ziemiom przymuszonej żyzności udzieliła. Świeże trawniki, drzewa i krzewy, oko liściem i kwiatem bawiące, tam gdzie niegdy torfowe zalegały pokłady; cień szeroka, gdzie otwarte i piaszczyste przestrzenie były; chodniki jak najstaranniej utrzymywane; obszerne murawy klombami i różnobarwnemi kwiaty pokryte; zwodzone mosty, ozdobne bramy i zagrody, gdzie natura miejsce bagnetom przeznaczała; wszędzie budowy zbytkom i rozkoszowaniu poświęcone, nigdzie chat wieśniaczych dla rolniczego ludu: a to wszystko nieustannie i ciągle w przeciągu mil

sześciu: jakże się nie zachwycać, jak niezdumiewać nad takim widokiem?

Lecz aby czuć te wszystkie piękności, trzeba nie dać do umysłu przystępu zimnej rozwadze: bo ta nie znajdzie nic pocieszającego w tych tak ponętnych widokach. Gdzie na mile kwadratowe mierzyć można ziemię ogrodami zbytkowemi zajętą, tam większa część ludzi rolnictwu nawet poświęconych, po śmierci dopiero, kilka jej stóp na własność dostaje. Gdzie dziś drzewa dla cienia, a kwiaty dla zabawy oka rosną; tamby pracowity rolnik plenne zbierając zboże, mógł się dziś cieszyć nadzieją, że siebie i swoich, aż do nowych zbiorów, będzie miał czem wyżywić. Te tak wspaniałe zakłady są bez ludzi: samolubni bogacze przepędzają w nich lato, żyjąc tylko dla siebie i dla swoich; bo gościnność nie zamieszkała nigdy na hollenderskiej ziemi, i nie ma żadnych powabów dla ludzi wyłącznie handlowemu życiu oddanych. W całej przestrzeni którąśmy w kilku godzinach przebyli, żadnego podobno człowieka w tych niezliczonych ogrodach nie widziałem, tak dalece że, pod tym wzglę-

dem, można je było przyrównać do pięknych dekoracyj po obudwóch stronach drogi porozstawianych. Właściciel każdego z tych ogrodów nie jest w stanie obejść i zwiedzić całej posiadłości swojej, gdy krocie ziomek jego nie mają tyle ziemi, ile ich stopy pokryć mogą, i, dopiero po śmierci, równą z nim siedzibę na ziemi ojczystej znajdują. Nie można się zaiste oprzeć zachwyceniu, przebywając tutejsze okolice, lecz aby nie tracić uroku, trzeba tylko marzyć a nie myśleć, i trzeba zapomnieć o tém, że Hollandya krocie ubogich liczy, i że bogatsi jej mieszkańcy tém są zajęci co czynić wypada, aby nędza tych nieszczęśliwych ziomeków ich własnej zamożności nieprzeważyla; trzeba z pewną lekkomyślnością iść za tą przestrogą francuzką: *glissez, mais n'apuyez pas.*

Amszterdam, owa dawna stolica Hollandyi, czyni podobne wrażenie jak wspaniały zamek, niegdyś siedlisko możnego pana, który przeszedł w posiadanie pospolitych ludzi nie mogących ani go zamieszkać, ani nawet ocenić śladów przepychu i zbytku jakie

jeszcze przedstawia. Jestto zamknięta książka, której widok przypomina piękne myśli jakie się w niej czytało: wszędzie znamiona przepychu i zbytku przodków, a nędzy społecznych. Przysionki marmurowe we wszystkich niemal znaczniejszych domach, nawet w domu przytułku dla ubogich, którzy wtedy dopiero po kararskich chodzą wschodach, i wśród takichże ścian mieszkają, gdy ich ostatnia nędza wolności pozbawia.

Niechaj się podróżny, z ciekawości Amsterdamski zwiedzający, nie spodziewa w nim znaleźć to, czego się po wielkiem mieście żąda: bo gdy nasyci oko widokiem miasta oddzielną postać od innych mającego; gdy się dosyć nadziwi czystości domów i ulic, na której utrzymanie tyle czasu poświęcają; gdy zwiedzi niektóre znamienite zakłady dobroczynności i przemysłu: napróżno będzie szukał rozrywki i przyjemności towarzyskiego pożycia, i, wkrótce, znudzony ze chce opuścić ciekawe, a śmiem to powiedzieć, niecznośne miasto. Od pierwszej bowiem chwili obudzenia do późnej nocy, narażony jest cudzoziemiec na różne drobne nieprzy-

jemności, które pobyt w Amszterdamie przykrym czynią. Chceszli rano otworzyć okno aby świeżém oddychać powietrzem: uderza cię natychmiast nieznośny wyziew kanałów do których stojącej wody wszelkie z domów i z ulic splukane nieczystości spływają, i całą atmosferę miasta wyziewem wodorodu siarczanego zmieszany z równie przykrym dymem torfowym napełniają. Jeżeli powonienie twoje zniesie tę duszącą napaść; zamkniesz jednak okno, jeżeli masz słuch delikatniejszy od węchu, bo ze wszystkich wież na których się zegary znajdują, docho- dzić cię będą co kwandrans melodye z sze- snastego wieku, na różnobrzmiących dzwon- kach przez odwieczny mechanizm odbrzę- czane, których równie zrozumieć jak zniesić nie potrafisz. Jeśli wyjdiesz na ulicę aby używać przechadzki po wygodnych chodni- kach, pod cieniem wyniosłych drzew przed domami posadzonych: nie ujdiesz kilku kroków po obranej drodze, bo cię albo tra- garz ciężar dźwigający, lub taczkę z towa- rem przed sobą pchający, z chodnika spę- dzi albo potraçi. Jeżeli, przeciskając się

przez ludzi, postępować będziesz coraz dalej, szukając jakich nowych widoków w mieście; niezawodnie zabląkasz się w tych nadkanałowych ulicach, gdzie wszystkie domy są jednakowe, jednakowem obsadzone drzewem, które złączone są z sobą jednakowemi mostami; a gdy znużony i upragniony spoczynku, zechcesz wrócić do domu, i zapytasz się przechodzącego Hollendra o drogę, przemawiając do niego kolejno wszystkimi jakie znasz językami; albo się nie zatrzyma wcale, albo też, przysłuchawszy się ciekawie niezrozumiałej dla siebie mowie, odwróci się tyłem do ciebie, i nawet ręką wskazać nie raczy ulicy lub domu zajezdnego o który się pytasz. Jeżeliś nie jest lubownikiem najulubieńszego krajowego trunku *genewer* to jest jałowcowej wódki, albo ciężkiego piwa, i gdy zamiast gorących zagranicznych trunków, chciałbyś się wodą posilić; to tak skromne i wszędzie łatwo zaspokoić się dające żądanie, w Amszterdamie, zaspokojone nie zostanie, bo całe miasto nie mając ani jednej kropli słodkiej wody do picia, sprowadza taką wodę o mil kilka

w miedzianych pokrytych łodziach, w których się jeśli nie zepsuje, to przynajmniej tak zgrzeje, że zamiast ochłody obrzydzenie ci sprawi, i w każdym razie zdrowiu szkodliwą będzie. Znudzony całodzienną walką wszystkich zmysłów twoich z napastującymi je przedmiotami, chciałbyś wieczorem używać rozrywek, które w innych miastach tak są urozmaicone; ale próżne będzie twoje usiłowanie: na gruncie z łona morza wydartym a gęsto domami zajęтым, nie znajdziesz żadnego ogrodu publicznego, gdziebyś się bawiącej ludności miejskiej mógł przypatrzyć. W kraju gdzie obce języki tak mało są upowszechnione, nie znajdziesz widowiska w innej jak hollenderskiej mowie przedstawianego, a ta, lubo blisko brzmiąca z niemiecką, tam jest przykrzejszą do słyszenia dla cudzoziemca umiającego po niemiecku, iż mu się zdaje że ją zrozumieć powinien, a jednakże nic wcale nie rozumie. Niepodobna zaś abyś zasmakował w zwyczajnych rozrywkach krajowców, i abyś je mógł znaleźć w tak zwanych nocnych kawach, które, przez cały dzień zamknięte, po godzinie

dziesiątej z wieczora dopiero się otwierają. W jednych bowiem zastaniesz, w długiej sali dwoma rzędami ławek i stołów zastawionych, milczących Hollendrów, po cało-dziennęj pracy część nocy przy kieliszku *genewer* i niezliczonych lulkach tytoniu przepędzających, bez żadnej między sobą rozmowy i bez ruszenia się z miejsca raz zajętego. W drugich zastaniesz rześisto oświeconą salę, muzykę na chórze grającą, kilkanaście kobiet postrojonych, przechodzących się lub tańczących na około; ławki zajęte to przystojnie przybranemi ludźmi, to majtkami smolą przesiąknięte suknie mającemi, to nakoniec uczciwemi familiami z prowincyi wraz z dorosłemi córkami przybyłemi, które się przypatrują chodzącym i tańczącym kobietom... Nie pytaj się o znaczenie i powołanie tych ostatnich, bo je łatwo odgadniesz; lecz wytłómacz sobie jeśli możesz zwyczaj uczęszczania z ciekawości do miejsc takich ojców i matek z córkami najprzykładniejszych i najsurowszych obyczajów.

Nie chcę ja bynajmniej temi mniej powabnemi obrazami dawnej stolicy i życia Hol-

lendrów, uwłaczać godności tego znakomitego narodu. Zajęty wyłącznie życiem przemysłowem, nie ma on przy tém tej powierzchownej przyjemności w pożyciu którą się wiele innych narodów odznacza; obok dążności do użytku i bogactwa, podrzędne tylko zajmują u niego miejsce wyższe umysłu dążenie, i te wzniosłe uczucia jakie poezya i nauki wzbudzają. „U nas każdy jest najprzód kupcem — mówił do mnie oświecony jeden Hollender — a obok tego dopiero „może być poetą lub uczonym; bo gdy „by się wyłącznie literaturze poświęcał, to „by był za próżniaka poczytany.“ Zatem idzie, że jeżeli życie przemysłowe przy mniej pomyślnych jak teraz handlowych okolicznościach, kłopotliwemi zabiegami cały czas myślących ludzi zajmuje; nie mogą kwitnąć nauki, ani się budzić w narodzie piękne poezyi natchnienia; czego stan nowoczesnej literatury hollenderskiej jawnym jest dowodem. Lecz za to jakażto pracowitość; jak rozsądne i dobre pojęcie istotnych zasad dobra pospolitego; jakie przy tém dobre chęci i gorliwość w czynieniu tego wszyst-

kiego, co dobro kraju i ziomków wymaga, i jaka gotowość do wszelkich ofiar aby ten cel osiągnąć!

Obok tylu świadectw tych znamion charakteru Hollendrów, które historia dawna i ostatnich czasów zachowuje, przytoczyć można, jako dowód praktyczno-użytecznej dążności tego narodu, zawiązanie się w Amszterdamie w ostatnich czasach towarzystwa pod nazwiskiem *pospolitego dobra*, które teraz (1828) liczy już 16000 członków ze wszystkich klass ludności pochodzących i po całej Hollandyi zamieszkałych. Posiedzenia tego towarzystwa odbywają się w Amszterdamie, w ogromnej sali w kształcie amfiteatru z gankami w koło zbudowanej. Wolno jest każdemu mieszkańcowi miasta przybyć na takie posiedzenie; a w zamiarze zwabienia jak najliczniejszej publiczności, zaprowadzono zwyczaj częstowania bezpłatnie piwem przybywających: co dla wyrobniczej klasy bardzo jest pożądanym. Celem takich zgromadzeń jest, wzbudzenie między mieszkańcami kraju dobrych chęci w przykładaniu się darami i składkami do zaprowadzenia

i utrzymania zakładów użytecznych i dobroczynnych, a mianowicie szkół, szpitali, domów schronień dla ubóstwa, i t. p. Osobny wydział towarzystwa zajmuje się ulepszeniem więzień i poprawą moralną winowajców w nich osadzonych. Główna dyrekcya odbywa posiedzenia w Amszterdamie, a każda prowincya ma swoją szczegółową dyrekcją zależącą od głównej, i z nią w stosunkach będącą. Rząd z początku dozwalał tylko zgromadzać się towarzystwu, i przykładać się do zakładów dobra publicznego; teraz zaś wspiera czynnie jego działania, i, za pomocą dobrowolnych składek przez towarzystwo dawanych, wiele ważnych instytucyj zaprowadził lub ulepszył.





WYJĄTEK Z POWIEŚCI

POD TYTUŁEM:

DWAJ ŚPIEWACY (*).

NA zamku Tarnowskim hetman wyprawił ucztę. Przy stole gościnnym zasiadli starce i młodzież. Lecz kiedy smutek wszystkich ogarnął, wtenczas

Folga tęschnocie — rzecze pan Tarnowa —
Gdzież się wieszczowie od uczyty podzieli?
Niech się w ich pieśniach część zmarłych przechowa
Lecz niech głos pociech żywych rozweseli!
Czyj śpiew do rzeskiéy wróci nas ochoty,
Dam beczkę wina i ten puchar złoty.

(*) Powieść ta napisaną była z powodu sporów dawniejszych pomiędzy tak zwanemi klasykami i romantykami.

Powstał mąż letni z biesiadników koła :
Siwa na piersi spadała mu broda ;
Ale twarz świadczy rzeska i wesoła,
Że czystej cnoty mieszka w niem swoboda.
Strój miał rycerski; z szyi łańcuch złoty
Unosił klejnot precudnej roboty,

Powstał — i wszyscy oczy nań zwrócili.
Na beczkę wina — rzekł — szlachcica stanie,
I złota nieco przodki zostawili ;
Droiszy od kruszcu rozkaz wasz hetmanie !
Jeśli wesołość mym śpiewem odnowię ,
Spełnię ten puchar za słuchaczów zdrowie.

Rzekł, i zanócił : a głos dobrze znany
Rubaszność z czuciem łączy w rzadkim darze,
Klaszczą mu starce , klaszczą i młodziany,
Wraca wesołość na posępne twarze,
Wstaje gospodarz z zapleśniałym dzbanem,
Za zdrowie wieszczą pije roztruchanem.

Niedość — ten rzecz — dać uciech powody,
Trzeba i życie przelać w towarzysze
Jest między nami wieszcz nowy i młody ,
Jeśli co umie niech się dziś popisze.
Mówią że Frankom w rzymskiej śpiewał mowie ;
Niech śpiew rodzinny usłyszą ziomkowie.

Do was wypilem. Rzekł, i w końcu stoła
 Wskazał młodzieńca zapłonionej twarzy :
 Postać w nim bardziej skromna niż wesoła ,
 Słuchał on bacznie co prawili starzy,
 Wierzył ich słowom , chciał wyrównać w chwale ,
 Lecz do ich rozmów nie mieszał się wcale.

Ledwie powrócił z podróży odbytych ,
 Trudni go szkoła pod kanclerzem nowa ;
 Ztąd na zbiór mężów w kraju znakomitych
 Z blizkiej stolicy przybiegł do Tarnowa ;
 Chce ale nie śmieć : bo zdolność prawdziwa
 Nie dufa w sobie , lecz kazano — śpiewa.

ŚPIEW O WINIE.

Piękna kastylska kraina
 Uległa poganom :
 Jest w niej obfitość wybornego wina,
 Lecz wina prorok wzbronił bisurmanom.
 Widząc zmienioną w świetny płyn jagodę ,
 Łykają ślinkę — lecz pić muszą wodę.

Potężny w boju, nie zachwiany w cnocie,
 Hasan w Grenadzie dzielnym włada styrem,
 On w bisurmańskim belkocie.
 Zwany był Bejem , a w końcu Emirem,

Lecz gdy wojenne przygasły płomienie
Hasan w Grenadzie nudzi się szalenie.

Przywołał mędrców : ci prawią, on drzymie:
Wtém się duch wieszczów rozпалиł ;
Lecz Hasan chrapał przy najczulszym rymie ,
Nawet sam siedząc tytuniu nie palił.
Czemuż nie palił ? może kto zapyta :
Bo w sto lat po nim tabaka odkryta.

Kiedy tak chodzi, i siada i wzdycha ,
Aż ujrzy wkącie straszdyłło dziwaczne :
Stoi coś nakształt dzbana i kielicha ,
Powąchał pachnie ; pokosztował — smaczne.
Czy to nie wino ? . . . O Proroku ! zdrada !
Rzekł — i pot zimny po licach mu spada,

Jam nie pił wprawdzie , tylko pokosztował:
To nie jest grzéchem , tak w Koranie leży ;
Lecz by kto pamięć do wstrętu zachował,
Lepiej się zgrzéchem obeznać należy.
Przechylił dzbana, aż mu zmokła broda,
Allah ! zawoła, to lepsze niż woda.

Spróbujmy jeszcze , mozem się omylił !
Nie — coś wyższego osiadło w tym płynie.
A skoro z dzbana połowę wychylił,
Gdy prorok , rzecze , pisał źle o winie;

Niech mię dziaur znęka , niech oczy wyłupi,
Jeżeli nasz prorok nie był wtedy głupi.

Gdy tak o swoich rozprawia uczuciach,
I głębszej dzbana dosięga połowy ,
Zcierpły mu nogi w bławatnych papuciach,
Stoczył się , turban z pochylonej głowy ,
Strętwiały język odmówił usługi,
I Hasan zcięty padł tak jak był długi.

Wtém Cyd do szturm Grenady pospiesza ,
Roznosząc popłoch mieczem i oczyma :
Scina się mężnie bisurmanów rzesza;
Lecz brak porządku , bo dowódzcy nie ma,
Gdzież Hasan? — pyta Maur z przestachu błady !
Już Cyd przez mury drze się do Grenady.

Próżno załoga do obrony bieży:
Walka okropna wśród miasta się wszczyna ;
Hasan tymczasem jak trup martwy leży,
Bo zwałił prawo i opił się wina.
Gdzież jesteś dzielny w potyczkach Hasanie !
Wtém gmach Edmira zdobyli Hiszpanie.

Wpadł jeden żołdak i łeb uciął nagi.
Na ten cios ręka do miecza się ruszy
Zawrzało serce resztą czeźniej odwagi.
Hasan już nie żył , a do jego duszy

Zabrzniął głos straszny z wysoka:
Gdyś muzułmanem, nie szydźcie z proroka.

Skończył — i całe mężów zgromadzenie
W jedno ognisko czucia swe zestrzela.

Ryje się w letnich twarzach podziwienie,
Jaśniejają w oczach dowody wesela;
Radziby klasnąć, ale ta oznaka
Zgryzłaby może starego śpiewaka.

Bo uważano, że gdy nucił młody,
Tamten się często podnosił i mienił,
Choć miał od uczy rozgrzane jagody,
To blednął nagle, to znów się czerwienił;
A gdy przytłumił głos swój śpiewak drugi, —
„Dajcie mi puchar! — zawołał na sługi.

Póki dźwięk pieśni brznić nam nie przestanie
I póki wina nie braknie w Tarnowie,
Każ najlepszego podać tu, hetmanie,
Bym spełnił kielich za zwycięzcy zdrowie;
Chodź w me objęcia szlachetny młodzieńcze,
Niech starym laurem skroń twoję uwieścisz.


Gdybym miał nawet twój wiek i twe siły,
I nie schylał się pod ciałem do grobu,
Byłbyś mi równie jak brat bratu miły:
Bo dość przestrzeni zostanie dla obu.

W światbyśmy poszli drogą nie tą samą,
Łącząc dźwięk zgodny przed wieczności bramą.

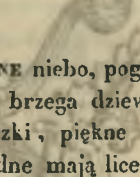
Któż oni byli? ... Muzo! ty odpowiedz,
I zawstydz wieszczów dzisiejszego czasu:
Starszy z śpiewaków zwał się Rej z Nagłowic,
Młodszy się pisał: Jan z Czarnego - lasu.
Tak niegdyś w blasku swoim znakomita,
Gasnąca gwiazda wschód słoneczny wita.

F. W.





RYBACZKI.



POGODNE niebo, pogodne morze ;
Tylko u brzegu dziewice ,
Młode rybaczki , piękne i hoże,
Niepogodne mają lice.

Nie sąto , w prawdzie siostry rodzone ,
Lecz się jak siostry kochają ;
Duszami swemi są spokrewnione
Czucia swoje dzielają.

Razem się cieszą i razem smucą ,
O jednym myślą przedmiocie ;
A jeśli kiedy piosenki nucą ,
To nucą tylko w tęschnocie.

Zda się , że jedno serce w ich łonie ,
Ze jedna dusza w ich ciele ;
I jednym okiem ku jednej stronie
Patrzą na morskie topiele .

A skoro okręt na nich zabłyśnie ,
I niby ku brzegom płynie ,
Każda z tęsknotą na nim zawisnie ,
Póki jej z oczu nie zginie .

Bo każda z dziewic w nadziei czeka
— Jak dziś , tak w każdy poranek ,
Na okręt , co ma wrócić z daleka ;
A z nim tej — brat , tej — kochanek . . .

* * *

Już trzy leniwie ubiegły lata ,
Jak on za morze popłynął ,
Aby okrążył dwa krańce świata —
Został bogaty — lub zginął . . .

Tak ! zginąć pragnie ; nie chce żywota
Bez swojej lubej — współduszy .
Ojciec nie zięcia , lecz żąda złota ;
Złotem się tylko poruszy .

Szukać więc złota młodzieniec płynie
Do drugiej półkuli świata ;
Lecz myślą zawsze przy swej dziewczynie ,
Bo dusza do niej ulata . . .

Długo się błąkał między obcemi,
I nie raz się oblał potem;
Nim w rzék korytách, lub łonie ziemi,
Zobaczył się z ziarkiem złotém.

Choć niém pogardza, szukał go przecie;
Nigdy nie był zmordowany.

On ojcu wszystko dałby za dziecię,
Dałby świat z złota ulany.

Wielkie bogactwo złotego ziarna
Już zebrał na okup żony.

Jakże dla niego ta cena marna!

Szczęśliwy! płynie w swe strony —

Lecz chociaż żagle prą szybko statek,

Chciałby mu skrzydła przyprawić,

By się jak gołąb do swoich chatek

Prędzej za morze przeprowadzić.

Wdziera się na maszt — brzegi spostrzega —

Już marzy o przyszłej żonie...

Całe swe szczęście myślą przebiega —

Wtém okręt trzaska i — tonie.

* * *

A tu dziewice ciągle czekają,

I nadzieją łudzą siebie,

Że go jeszcze powitają —

Powitają! — ale w niebie...

Teofil Nowosielski.

Do (*).



literackich wiadomości,
Doszła mię nowina miła,
Że masz w domu nowych gości,
Że ci się córka powiła:
Więc poeta w takim razie
Musi machać na Pegazie.

Ach! czemużto nie syn przecie:
Żebym ja mu przepowiadał;
Jak on będzie słynął w świecie,
Cnoty i mądrość posiadał;
Że to drugi Cezar dzielny;
Albo Tytus nieśmiertelny.

(*) Wiersz ten napisany był w roku 1815.

Lecz gdy jest w płci pięknej rzędzie,
I tak dla niej kwitnie chwała:
Chociaż w krwi broczyć nie będzie ,
Będzie mężnych podbijała ;
Wdzięczny uśmiech, postać miła,
To jej wszystka zbrojna siła.

Więc jej tylko życzyć trzeba:
Niech ma gracyi wdzięk uroczy,
Przy skromności siostry Feba
Niech ma jeno jasne oczy,
Niech ją piękności bogini
Sobie podobną uczyni.

Niech kwitnie w wszystkie korzyści ,
Rośnie w cnocie i ozdobie ,
Niechaj najprędzej uiści
Radość ojcu, szczęście sobie ,
Niech ją zawsze nazywamy
Pięknym *Pamiętnikiem* mamy.

K. Brodz.....



Piosnka.

Och! nie mów luba, nie mów tego, proszę,
Że z wiosną życia znikło szczęście twoje;
Nie każ mi wdychać o świeższe rozkosze,
Gdy niemi z tobą tak się słodko poję.

Jeżeli kwiecień wieńczy swe świątynie,
W pierwszą zieloność strojąc winne drzewa:
Wszakżeto w sierpniu ten boski sok płynie,
Co wszędzie radość i życie rozlewa.

Chociaż twa kibić, jak niebianki lekka,
Dziś okrągając przybrała kształt nowy;
Choć wzrok, jak orła świecący zdaleka,
Dziś chmurzy wyraz poważny, surowy:

Mnie dosyć, kiedy za długim rozdziałem,
Przystąpisz ku mnie z wdzięcznym przymileniem;
Gdy wzrok twój dawnym nie płonąć zapalem,
Błyśnie mi tkliwej miłości spojrzeniem.

J. K. Ch.



Pożegnanie.

NAPISANE DO MUZYKI

DLA JEDNEGO Z ARTYSTÓW, WYJEZDZAJĄCEGO
W ROKU 1835 ZA GRANICE.

BYWAJ mi zdrowa! już mi się spieszy ;

Wdalekie odjeżdżam strony ;

Ni mnie twój widok ni wzrok pocieszy,

Gdy będę kiedy strapiony.

Z tobą — niech radość tutaj zostanie ;

I pocóż ty się masz smucić?

Ja ci wesołą piosneczkę daję,

Chciój ją czasami zanucić.

„Zawsze wesoła ,

Spięwam od rana ,

Bo pewna jestem ,

Żem jest kochana.

Czasami serce

To tylko boli,

Że zazdrość wzbudzam

Mimo mej woli. —

Jeżeli kiedy, wśród wesołych pieśni,

I o mnie przypomnisz sobie;

Zaśpiewaj wtenczas — lecz śpiewaj boleśniej

Moją piosneczkę o tobie. —

Piosneczka moja z trzech tylko wyrazów,

Trzy tylko w sobie ma słowa,

Lecz słowa pełne smutnych obrazów:

„Bywaj mi zdrowa — bądź zdrowa!”

M. C.



TKLIWOŚĆ SERGA.

JUŻ zima wdzięków zniszczyła ostatek:
„ Nigdzie nie błysnie trawka ani wyrzy kwiatek,
„ A ziemia mrozem ściśniona,
„ W tęschnocie i smutku kona.
„ Niechże się wiosna przybliży:
„ Trawka się znowu odświeży,
„ Kwiatek na grządce zabłysnie,
„ Rozkosz łzę z oka wycisnie.“
Tak mówił ojciec, a dziecię słuchało,
Ale głębiej nie wglądało.
Więc jaśniej dziecku tłómaczy,
Co wiosna; co zima znaczy;
Rękę na sercu położył,
I tak myśl swoją otworzył:
„ Gdy uczuć rzewnych tu niema,
„ Życie tak smutne jak zima;
„ Gdy serce bije tu tkliwie,
„ Życie człowieka szczęśliwe.

Stanisław z Dzikowa.

PŁOCHA.



NA dolinie strumień płynie,
Na łące się błąka wołek;
A pod gruszą, przy dziewczynie,
Kłęczy pastérz i sijołek.

Oba równi zalotnicy,
Každy wzdycha ku pastérce:
Kwiatek zdobi pierś dziewicy,
Pastérz pragnie zyskać serce.

Ale próżne ich nadzieje:
Bo zalotna swawolnica,
Z kochanka się westchnień śmicje,
Od kwiatka odwraca lica.

Teofil Nowosielski.



Podanie się.

PIEŚN SERBSKA.

ZA górami zielonemi,
Krzyki głośne słyhać czasem ;
Chłopiec skrada się pod lasem,
I sznurkami jedwabnemi
Widzi dziewczę skrępowane.
Ta przekłada proźby swoje:
— Rozwiąż chłopcze węzły moje,
To siostrzyczką twą zostanę. —
Chłopiec rzecze nie zachwiany:
W domu jest już siostra mała.
— Chłopcze rozwiąż sznur splątany,
Twą szwagrowąbym została. —
Chłopiec mówi na jej słowa:
Jest już w domu i szwagrowa.
— Rozwiąż dziewczę znów przekłada,
Jam cię kochać nawet rada. —
Wtenczas chłopiec bez oporu
Szybko sznurki rozwiązuje,
Sciska dziewczę i całuje,
I prowadzi ją do dworu.

A. Przeszkodziński.

DIENST
SZUKAJĄCE SERWIZY.



Painted by J. Mackinn

Engraved by L. Stocks.

GOING TO SERVICE.

DER GANG ZUR DIENST <http://www.sciencemuseum.org.uk> L'ENTRÉE AU SERVICE.



DZIECI

Szukające służby.

(Z RYCINA.)

SZŁA drogą dziewczynka, a obok brat mały,
I panią bogatą te dzieci spotkały.
Uprzejmie ich pyta: i gdzieżto idziecie?

DZIEWCZYNKĄ.

Służby szukamy po świecie.

PANI.

Jakoś koło was niebardzo ubogo.

DZIEWCZYNKĄ.

Służba nie hańbi nikogo.

I my mieliśmy dostatki,

Sród zamożnej żyjąc chatki,
Obok dobrej naszej matki;
Lecz matka zawsze mówiła:
„O! dopóki będę żyła,
Póty ja i wy szczęśliwi;
Ta ręka wszystkich wyżywi.
Ale pamiętajcie dzieci
Że nie zawsze słońce świeci;
Bóg wam może zabrać matkę —
Przeto szanujcie czeladkę,
Bo kto wie na co przyjdziecie.“
I tak się stało: służby szukamy po świecie.

PANI.

I kto wie czy ją znajdziecie.

DZIEWCZYŃKA.

Matka zawsze powtarzała:
„Pracuj Róziu choćś mała;
Kto pracować się nie leni,
Zawsze pieniądz ma w kieszeni.
Pracowitym wszędzie radzi,
Bóg ich w rządny dom wprowadzi;
Pracowity z panem siedzie
Posiłać się razem będzie,
Pan na jego wsparty ramię
Najlepszy mu kąs odłamię,

I rzeczce : domu tyś mego ozdoba,
Wszystko chętnie dzielę z toba.
Przytém często powtarzała:
„Rządź się prawdą Róziu mała ,
Ukochajcie prawdę dzieci ,
Ta was najlepiej poleci. —
Wreszcie kończyła przestroge.
„Zachowujcie się chędogo,
Zawsze czysto, schludnie, dzieci ,
To was najlepiej poleci ;
Každy dom wam się otworzy.

P A N I.

Widać nad wami promień łaski Bożej.
Chodźcie dzieci do méj chatki,
Będzicie tak jak u matki:
I ja z wami razem sięde,
Dar Boski pożywać będę;
Najlepszy wam kas odłamię,
Bo w was widzę bóstwa znamię.

C H Ł O P C Z Y K .

A ten piesek co tu idzie ?
Nie opuścił on nas w biędzie,
Mybyśmy go z sobą wzięli —

PANI.

Niechaj i on wasz los dzieli:
W moim domu nie brak chleba.
Tak, pięknie, i o piesku zapomnieć nie trzeba;
Bardzo twoje serce chwaleę;
Bądź pewny że i pieska z domu nie oddalę.

Stanisław z Dzikowa.





Teraz dopiero Kocham
prawdziwie.

SZKIC Z RZECZYWISTEGO ŻYCIA.



..... I znalazłem ją na koniec!
Znalazłem ją blisko siebie;
Znalazłem!... abym utracił na wieki!

SŁOŃCE blizkie zachodu, kryło się za piramidalne szczyty topol, długie cienie ścieląc po murawie; lekki wietrzyk szemrał w drżących listkach, i odświeżał powietrze rozognione całodziennym upałem: gdy Wanda wybiegła ze swoją ukochaną Hedwigą do ogrodu.

Wanda wczoraj ze wsi od ciotki wróciła; cały miesiąc nie było jej w Warszawie; ileżto skrytości, ile najtkliwszych wynurzeń miały sobie powierzyć! Ujęły się za ręce, zachwycone pięknnością wieczoru; z sercem przepelnioném najczulszą przyjaźnią, błądziły wśród kwiecistych klombów, szukając najgęstszego zacienia, aby, schronione przed okiem świata całego, mogły wzajemnie zgłębić tajniki serc swych niewinnych. Powierzać sobie każde zdarzenie, najskrytsze myśli, i wspierać się wzajemnie radami: było ich szczęściem jedyném. Niewinności! przyjaźni! o wy, najtkliwsze uroki młodości, jakimże wdziękiem ozdabiacie pierwsze chwile naszego życia! jakże głęboki ślad zostawiacie w cnotliwém sercu, które z lubością przypomina sobie wasze zachwycenia! Jesteście dla niego, jak kwiat majowy na zimnym grobie.

Młode przyjaciółki siadły pod starym klonem, który gęste swe liście chylił ponad wodą, i osłaniał siedzenie darniowe. Tam opisały sobie wzajemne uciechy i przyjemności, jakich doznały przez czas oddalenia.

Wanda, rokiem starsza od Hedwigi, czuła, ognistą obdarzona wyobraźnią, w najpierwszem dzieciństwie utraciwszy ojca, żyła jak najsamotniej przy matce, jedynie z sercem swoim i naturą. Oprócz chwil które poświęcała przyjaźni i nauce, resztę czasu trawiła na pożeraniu, że tak powiem, książek. Wyborne romanse, których jej matka nie wzbraniała, niewymowny miały dla niej powab; znajdowała w nich bowiem przykłady cnot najdoskonalszych wiecznej miłości, zupełnego poświęcenia się. Lecz to czytanie, często tak niebezpieczne w wieku najprzystępniejszym gwałtownym namiętnościami, uzbroiło ją przeciwie nieprzelomnym puklerzem. Tkliwe jej serce, zdolne do wiecznej miłości i największych ofiar, uroiło sobie tak doskonały obraz kochanka, któremu kiedyś całkiem oddać się miało; że stało się prawie nieprzystępnem miłości, nie znajdując nigdzie dla siebie echa. Samotność, w której żyła od lat dziecinnych, wczesnie przysposobiła jej umysł do myślenia i głębszego zastanawiania się nad każdą rzeczą. Jak wszystkie dusze udaro-

wane zbytnią tkliwością, w lot przechodziła od pustej wesołości do tęsnego dumania. Wyobraźnia jej, ulatując prawie zawsze w krainach ideału, wtedy tylko zniżala się na padół rzeczywistości, gdy przyjaźń lub nieszczęście jej rady lub pomocy potrzebowały: gdyż dobroć była główną cechą jej charakteru. Mniej baczny postrzegacz mógłby ją sądzić zmienną i niestałą: lecz komu raz serce oddała, mógł śmiało na niem polegać. Powierzchnowość jej odpowiadała zupełnie sposobowi myślenia: kształtne greckie rysy nosiły cechę południowego rodu, a ruchomy ich wyraz, błyskawicą malował każde wzruszenie tej duszy niezdolnej do przymusu i udawania. Czarne oczy sypały iskry w chwili wesołości lub zapalu; lecz skoro je długa przyćmiła rzęsa, wnet stawały się rzewne i powłoczyste, jak spojrzenie pustyniowej gazelli. Zbytek czarnych warkoczy, ciężąc, przymuszał ją prawie zawsze pochylać nieco głowę, co jej tym skromniejsze i bardziej nieśmiało nadawało ułożenie.

Hedwiga, również dobra i czuła, również

żywą uposażona wyobraźnią, lecz wychowana wśród licznej rodziny i nieustannych zabaw towarzyskich, była nieco płochą, zalotną; nigdy nie miała czasu zastanawiać się i zgłębiać swoje serce; nierozważnie szła za popędem pierwszego wrażenia. Dom bogatych jej rodziców, znanej gościnności, otwartym był dla wszystkich. Pięć powabnych córek, z których Hedwiga była najmłodszą, nęciły grono najpierwszej młodzieży, nieszczędzącej pochwał rozwijającym się ich wdziękom. Matka, zajęta zarządkiem wielkiego gospodarstwa, nie mogąc sama trudnić się wychowaniem córek, powierzyła je staraniom zagranicznej guwernantki: a czyjaż opieka zdoła zastąpić macierzyńską czułość! Hedwiga mało czytała: woliała poświęcać wszystkie chwile muzyce i tańcom, bo powabne te talenta więcej jej pochwał i wielbicieli zjednywały. Hedwiga piękniejszą była od Wandy, lecz w innym zupełnie guście: wysoka i poważna, pół-głową przenosiła przyjaciółkę, która przy niej wydawała się jak lekka nimfa przy wspaniałej łowów bogini. Rysy Hedwigi mniej były

regularne; ale świetna białość i powabny uśmiech, ciągle ożywiający jej usta, podwyższały ich piękność. W błękitnym oku tłała słodycz i miłość, a jasnych włosów uploty, jak gdyby koroną wdzięcznie zwieńczały jej piękną głowę. Przywykła od dzieciństwa do towarzyskich stosunków, umiała w głębi serca potłumić uczucie, i śladu prawie jego nie ukazać na zawsze pogodnych licach. Samnasam z Wandą, zrzuciła jednostajną maskę pozorów, którą społeczność twarzy przyobleka, a rysy jej, wrócone naturze, malowały z mocą wszystkie serca namiętności.

Tak różnym wychowaniem, a na pozór sposobem myślenia i uczuciami, Wanda i Hedwiga połączone jednak były najszczerszą przyjaźnią. Szybko płynęły im chwile wśród przyjemnej rozmowy. Już ognisty krąg słońca krył się w namiocie purpurowych obłoków, i, żegnając ziemię, powlekał różaną barwą i drzewa i wody; kilka promieni, przedarwszy się przez gęste sklepienie klonowych liści, oświeciło śliczną głowę Hedwigi. Wanda z zachwyceniem

spojrzała na nią. — „Ach! jakże te promienie dziwnego wdziałku dodają twoim złotym włosom! jakże ta biała róża z dwoma pączkami, którą ozdobiłam twoje warkoczki, cudnie ubarwiła się szkarłatem!... istotny obraz zapłonionej niewinności... Ale cóż tak jesteś zamyślona?... mogłabym myśleć, żeś nie wylała przede mną zupełnie swojego serca... że mi coś ukrywasz... Tak dzisiaj masz minę bohaterki romansowej, iż doprawdy mogłabym sądzić że się kochasz...”

Hedwiga, na te słowa, żywiej się zapłonila, niż róża oblana zachodnim promieniem. Pochyliła nadobną głowę na piersi Wandy, a usta jej niedostłyszanie prawie wyrzekły:

— „Wando moja!... Kocham!...”

— „Kochasz! — powtórzyła zdziwiona Wanda — i którenże śmiertelnik ośmiela się wydzierać mi serce mojej Hedwigi?”

— „Ach! to serce dlatego zawsze ciebie kochać będzie! dla ciebie nie nie będzie miało skrytego.... wszystko ci powiem.... Kocham Stanisława...”

— „Co! tego młodego chłopca, co ma strzeliste spojrzenie, włosy tak czarne jak krucze skrzydła, kształtną głowę Apollina, i uśmiech Amora!

— „Jakże poetyczny skreśliłaś obraz! ale to najmniejszą jego zaletą: dodaj serce najczulsze i dobroć prawdziwie anielską. Przeszłego tygodnia były imieniny mamy; ty wiesz, że dzień tak uroczysty nie obejdzie się u nas bez mnogich gości i tańca. Znużona pochlebstwami otaczającą mnie młodzieży, utrudzona wirem walca, do którego nieustannie mnie zapraszano, wybiegłam do ogrodu odetchnąć świeżością wieczoru, umiłego srebrzystym blaskiem księżyca w pełni. W tańcu ścigały mnie ciągle czarne oczy Stanisława; zapuściwszy się w ciemny szpaler grabowy, mimowolnie myślałam o nim, i, sama nie wiem dlaczego, w głębokim utonęłam dumaniu. Wyrwały mnie z niego przenikliwe krzyki dziecięcia; pospieszyłam w stronę z kąd słyszeć się dawały: coza widok!... małeńka Różia, ładna córeczka naszego ogrodnika, bawiąc się pewnie nad sadzawką, wpadła w wodę, i pas-

sowała się ze śmiercią. Uniesiona litością, nie pomnąc że nie umiem pływać, już chciałam się rzucić w wodę i ratować ją... wtem z pośród krzewin jak strzała wypada mężczyzna, wskakuje w sadzawkę, i za chwilę składa u nóg moich uratowane dziecko... było Stanisław!... o jakże mi się wydał stokroć piękniejszym!... w zapale dziękczynienia, ścisnęłam go najczuliej za rękę; on na niej ogniste złożył pocałowanie; oczy nasze spotkały się przy drżącym blasku księżyca, a usta razem wymówiły: Kocham cię!...."

Tu Hedwiga spojrzała na Wandę, i postrzegła lekki uśmiech ulatujący na jej ustach. — „Niedobra! — zawołała — powątpiewasz o mojem sercu! — „Nie, moje życie, ale ty sama nie znasz własnego serca: serce piętnastoletnie, pragnie, potrzebuje kochać; znęca go piękność; lada czyn na pozór szlachetny zniewala; jedno spojrzenie go rozplómienia, najłżejszy powód oziemia; nie umie kochać, chociaż mniema że kocha z zapalem. Kochaj sobie Stanisława; masz wieczne zapaly i niezakłóconą

szczęśliwość; jestem spokojna, nie lękam się o ciebie — miłość piętnasto-letnia, zapala się jak iskra, lecz jak iskra gaśnie.”

Hedwiga, z powagą zapewniła Wandę, że wiecznie Stanisława kochać będzie; a to zapewnienie nowy uśmiech wywołało na usta przyjaciółki — lecz serdeczne uśmiechania pogodziło ten swar chwilowy, i obie wróciły do salonu.

Nowa podróż do ciotki rozdzieliła znowu przyjaciółki na kilka tygodni. Za powrotem, Wanda zastała Hedwigę tak wesołą, tak zajętą jedynie uciechami jak dawniej. — „Jakże serduszko? — spytała — czy wiecznie kocha jeszcze Stanisława? — „Stanisława!... ach! doprawdy już i zapomniałam o nim!... to motyl, przelatuje z kwiatka na kwiatek... Niewidziana, podsłuchałam w ogrodzie, jak te same przysięgi składał u nóg pięknej Kornelii... Zmartwiłam się zrazu, lecz pocieszyłam się wkrótce, bom nie jedną wadę odkryła w jego charakterze, gdy mniejszym przedzoniem zaczęła patrzeć na niego okiem... Zapomnijmy o nim, nie wart abyśmy jedną myśl nawet mu poświęcały...”

Pójdź lepiej zobaczyć prześliczne turkawki, które mi Papa wczoraj darował."

I Hedwiga poprowadziła Wandę, przyglądając się pieszcotom niewinnych ptasząt, nie zważając tą razą na nieco bardziej złośliwy i tryumfujący jej uśmiech.

Nadeszła zima. Byłato pora, w której najwięcej zbierało się gości u rodziców Hedwigi; lecz tego roku matka jej zasłała, i wszelkie towarzyskie zabawy ustały. Przyjemna książka lub muzyka, umiała długie wieczory samotnej rodzinie. Hedwiga teraz częściej brała się do czytania, i coraz większe znajdowała w niem upodobanie. Młody Frederyk, jedyny syn przyjaciela jej ojca, który, przyjechawszy do Warszawy dla dopilnowania ważnego processu, przez czas niejaki mieszkał w ich domu, podzielał te niewinne zabawy,

Byłto przystojny młodzieniec, bardzo podobny do tych, których nam August Lafonten w romansach swoich maluje. Pierścienie płowych włosów wiły się naturalnie nad wzniosłym, spokojnym czołem; w błękitnym, powłoczystym oku, przebijał wyraz tęschno-

i smętku; a giętki, dźwięny głos, dziwnie umiał oddawać wszelkie najtkliwszych uczuć odcienia. Onto zwykle czytywał wieczorem, a słodki dźwięk jego harmonijnego głosu, nowego powabu używał romansom. Niemiec, sentymentalny jak Werter, te zwykle wybierał dzieła, w których wierna miłość najżywszemi skreślona była farbami. Nieraz, gdy w ciągu czytania podniósł smętne swe oczy, napotykał oczy tkliwej Hedwigi, zwilgocone łzami, i wlepione w siebie. Często, gdy Hedwiga usiadła do klawikordu, i, usposobiona do czułości słyszana powieścią, rzewną zagrała dumę; on równie rzewnemi tony towarzyszył jój na flecie. Znowu ich oczy się napotykały, z urokiem muzyki duszę w duszę przelévając.

Na tych niewinnych a w istocie niebezpiecznych zabawach, upłynęła zima. Wanda została powiernicą nowego uczucia; lecz tą razą nie śmiała się, przewidując większe niebezpieczeństwo dla przyjaciółki. Przywyknienie jest niebezpiecznym zwodzicielem. Możemy przywiązać się nieznacznie i pra-

wie mimowolnie do osoby, którą nazwyczajiliśmy się codziennie widywać, której towarzystwo umiła nam przykre lub samotne chwile, nie poznawszy jej duszy, nie wyprobawwszy charakteru; którą może pogardzilibyśmy po pierwszej ważniejszej próbie, której jednak ciągły widok jest nam miłym, i staje się prawie koniecznym warunkiem do szczęścia.

Frederyk przyniósł Wertera. Głos jego użyczał nowego uroku niebezpiecznym jego kartom. Zdawało się, że sam czuje głęboko to, co usta jego wyrażają. Serce Hedwigi było rozdarte; strumień łez puścił się z jej oczu; żałowała młodego zapaleńca, a Frederyk, ściskając ją najczuliej za rękę, rzekł zcicha: Ach! gdybym znalazł Karolinę, nie pozwoliłbym jak Werter, wydrzeć sobie ten skarb drogi; nie czekałbym z oświadczeniem mojej miłości, dopóki ją z innym wieczna nie połączy przysięga; nie, nigdybym sobie nie dał tego skarbu wydrzeć!... lecz również jak on, nie przeżyłbym jego straty. —

Maj rozwinął drzewa, i kwieciami usłał łąki.

Cała rodzina państwa P*** wybrała się na odpust do Czerniakowa. Dzień najmiliej upłynął: pomodlono się w wieśniaczym przybytku; biegano po polach; obiad, rozłożony na zielonym trawniku, wydał się rajską biesiadą. Wracając do Warszawy, każdy chciał zabrać z sobą jakąś pamiątkę dnia tak miłe przepędzonego. Zgodzono się kupić, na rozłożonych przed kościołkiem kramach, proste dary, i dać je sobie wzajemnie w upominku. Hedwiga wybrała woskowe serce, i, bardziej zapłoniona niż zorza majowa, podała go nieśmieie Frederykowi. Z zachwyceniem przyjął dar niekosztowny, a jednak bez ceny w jego oczach. Kupił kilka sznurków, białych jak mleko, perełek, i wsunął je bojaźliwie w rękę Hedwigi, dodawszy zcicha: Pani, racz to zachować na pamiątkę łez, któreś wyiała nad niešťczęśliwym Werterem, i pomnij, żeby mnie podobny los spotkał, gdybym kiedy ustracił serce, którym mnie udarować raczyłaś. —

Niespokojna Wanda, już zaczynała prawie morały Hedwidze, która jej zawsze

powtarzała: *teraz dopiero kocham prawdziwie*; gdy ta dnia pewnego, uniesiona radością, przybiegła jęj donieść, iż Frederyk oświadczył się jęj rodzicom, otrzymał z łatwością obietnicę jęj ręki; na dowód czego, błysnęła jęj obrączką, którą czuły ojciec stwierdził wzajemne ich przywiązanie.

Odtąd plynęły dni najszczęśliwsze dla Frederyka, Hedwigi, i przychylnęj Wandy. Cieszyła się szczęściem przyjaciółki, gdyż serce jęj nie przypuszczało fałszu, zdrady i niewiary.

Ojciec Frederyka, z ukontentowaniem zezwolił na połączenie z córką dawnego przyjaciela, a kosztowne dary przysłane młodęj oblubienicy, aż nadto świadczyły, jak się serce jego tym związkiem raduje. Powołał jednak Frederyka na krótki czas do domu, tak dla zdania sprawy z powierzonych mu interessów, jak i odebrania ojcowskiego błogosławieństwa.

Rozczulającem było pożegnanie kochanków: słodziła go jednak myśl prędkiego połączenia.

Listy Frederyka, tchnące najrzewniejszą

sentymtalnością, szybko następowały po sobie. Hedwiga nie mogła się dość nasyć czytaniem wynurzeń téj, na pozór tak naiwnej i szczeréj, duszy. Wanda, szczęśliwa szczęściem przyjaciółki, nie przypuszczała, w dziecinnej swojej prostocie, aby usta mogły co innego wyrażać, jak to co serce czuje; zabezpieczona zakładem wiary, który Hedwiga, na najłżejszy zarzut, nie przestawała podsuwać jéj pod oczy; nie prawila już morałów, i najszczerzej dzieliła radość zbyt ufnéj oblubienicy.

Tęschna jesień, powlekła konającą naturę nowym przepychem. Przyjaciółki, chcąc się nacieszyć ostatkiem niknącej roślinności, częściej samotne odbywały przechadzki. Lekki smutek powlekał czoło Hedwigi, bo już miesiąc upłynął, a nie odebrała żadnej wiadomości od swojego Frederyka; lecz rozmowa z kochaną Wandą, widok najmniejszego kwiatka, znalezionej wśród ogołoconych trawników, chwilowy śpiew ptaszyny żegnającej gaje; wracały pogodę na jéj czoło, uśmiech na jéj usta. Wrodzona jéj wesołość ożywiała się stopniowo; niekiedy

nawet, odczytując listy Frederyka, zdarzyło jej się rozśmiać ze zbyt sentymentalnych wyrażen kochanka, którego, żartując, nie raz *narzekalskim* nazywała.

Dnia pewnego Wanda zastała ją w ogrodzie, pod cieniem ulubionego klonu, który swe żółte, purpurą nakrapiane wieńce, pochylał nad zwiędłym darniowym siedzeniem. W rękę trzymała list rozłożony, nad którym tak się zamysliła, że nie postrzegła zbliżenia się przyjaciółki. Wanda, stanawszy za krzakiem, niespokojnie śledziła każdy wyraz twarzy Hedwigi. Zdawała się raczej zadziwiona niż smutna; niekiedy gorzki uśmiech, czy szyderstwa czy też pogardy, przebijał na jej ustach; jedną razą rozśmiała się, i głośno wyrzekła: A to przedziwny koniec! jeszcze w żadnym romansie nie czytała nic podobnego. — I podniósłszy głowę, postrzegła czarne oczy Wandy, błyszczące z poza na wpół ogolonego z liścia krzaku.

— „A przybywajże, moja Wandziu! ważne, wielkie nowiny!

— „Czy od Frederyka?

— „Nakształt tego; tylko że nie on pisze, ale jego kuzynek, bo tyle jeszcze w nim pozostało czułości, żeby sam nie zdołał zadać tak śmiertelnego ciosu sercu swojej narzeczonej!

— „Wytlómacz się, przerażasz mnie!

— „Nie trwóż się, wszak widzisz że ja się śmieję. To jednak rzecz dziwna... dopóki on był tutaj, zdawało mi się że żyć bez niego nie mogę; nie umiałam nawet grać na klawikordzie, gdy mi flet jego nie towarzyszył; wiersze najpiękniejsze, zdawały mi się czcze i niecznośne, gdy je nie czytał głos jego pieszczony... pojechał, a ja prawie nie tęskniłam, prócz kilku pierwszych dni, bo mi się zdawało, że mi jakiejś melodyi, do której ucho moje było nazwyczajone, brakuje.... tak właśnie, kiedy tęskniła po stracie mego kanarka... Śmiejesz się znowu niedobra!... tryumfujesz!... już pewno masz jaki morał w ustach!.... ale daj pokój morałom... czyż nie lepiej dla twojej Hedwigi, że ta miłość nie była tak głęboka, tak prawdziwa, jak sama z początku mniemałam.... bo ci się przyznam

szczerze, że gdybym się nie obawiała twoich uśmiechów i morałów, dawno byłabym ci wyjawiała, że mnie zaczynało nudzić, to ciągle powtarzanie najserdeczniejszych zapalów, te słodziutko-sentymentalne frazy bez końca, wijące się ustawnie w kółko... ciesz się owszém, bo cóżby dzisiaj robiła twoja nieszczęsna Hedwiga, dowiadując się że Frederyk się żeni...

— „Żeni się! — powtórzyła błędniejąc Wanda — ach! prędeżbym się śmierci spodziewała, jak takiej niewiary po twoim czułym Werterze!... I z kimże takim?

— „Z czterdziestoletnią pięknością, która przynosi mu milion posagu..... i pewnie pięćkroć sto tysięcy kaprysów w dodatku...

— „Widzisz, luba Hedwigo -- rzekła Wanda poważnie lecz łagodnie — trzeba było wierzyć moim radom, nie oddawać tak płocho serca, nie obiecywać ręki; nie poznawszy gruntownie charakteru, nie dowierzać słodkim spojrzeniom i miodowym słówkom. To szczęście przynajmniej, że rana niezbyt głęboka; że więcej miłość własną

niż serce dotknęła.... lecz jakże to ważną powinno być dla ciebie przestroga!....

— „Czuję, aż nadto czuję sprawiedliwość twoich uwag; lecz niechaj twoja dobroć raczy mnie oszczędzać, bo i tak sama siebie się wstydzę! Pójdź, umysłny posłaniec, co przyniósł list ten powabny, czeka na odpowiedź. Odsyłam pierścionek i dary... lecz ani słowa więcej... nie uniżę się do wyrzutów; szyderstwo byłoby mnie niegodnym... niechaj się raczej sam domyśli...”

I oddawszy posłańcowi paczkę, obie przyjaciółki weszły do salonu. Liczne grono kobiet i mężczyzn okrężało młodzieńca, który deklamował z zapałem i uczuciem.

— „On znowu! — rzekła ze złości Wanda, wzdrygnąwszy się cała.

— „Któżto taki budzi w tobie tak wielką odrazę, moje życie?”

— „Ach! ten nieznośny Janusz!.... ile razy spojrzę na niego, zdaje mi się widzieć zdradzieckie oczy Lowelasa, lub węża, oamiającego ofiarę, którą chce pochłonać. Sama nie wiem dlaczego.... ten człowiek prawie do mnie nie mówił; twarz jego

maluje najszlachetniejsze uczucia, głos słou-
kim wdziękiem pieści ucho; a widok jego
obudza we mnie zawsze zadrzenie, jak gdyby
przeczcucie jakowegoś nieszczęścia.... pra-
wdziwie, gdybym była zabobonna, mogła-
bym myśleć, że to jest ostrzeżenie abym
unikala tego człowieka; że przez niego kie-
dyś wiele cierpieć będę, że mi wydrze to
co mam najdroższego w życiu... sama nie
mogę sobie tego wytłumaczyć. Gdy pa-
trzę na niego, gdy słucham jego głosu,
zdaje mi się że jestem niesprawiedliwa;
lecz gdy spojrzy na mnie, nie mogę wytrzy-
mac jego spojrzenia; kryje się w niem ja-
kaś myśl zdradziecka, jakieś zabójcze szy-
derstwo... zdaje mi się koniecznie że jest
nawykły do niewiary i fałszu, że żadne
uczucie dla niego nie jest świętym, że go-
tów wyszydzić wszystko co ludzie czczą i
poważają... a ten uśmiech! co chwilowo
mignie przez jego oblicze, gdy mniema że
nikt na niego nie patrzy... ach! prawdzi-
wie, tak chyba szatan mógł się rozśmiać,
gdy przywiódł do złego, ponętą pochlebstwa
i ciekawości, zbyt łatwowierną Ewę!...

— „Ach! co teraz, to ci muszę przyznać, moja Wando, że jesteś zbyt niesprawiedliwa. Nie zaprzeczam, że Janusz nie jest piękny, że ślady pozostałe po ospie znacznie ujęły powabu jego twarzy; ale sama przyznaj, jak smagła jego kibić ślicznie wydaje się w tym mundurze! jak każde uczucie żywo maluje się w jego rysach, a oko błyska ogniem zapału, gdy czyn jaki wielki lub szlachetny opowiada! A jakże sam ma serce wspaniałe! Gdyby nie szczytne jego poświęcenie się, opłakiwałamby dzisiaj brata... on z narażeniem własnego życia zastawił go pierściami.... nie mogę nigdy, bez uronienia łyzy wdzięczności i podziwienia, spojrzeć na tę czarną chustkę, na której nosi jeszcze rękę, przeciętą szablą, która godziła w serce mego ukochanego brata!... Dla mnie, mógłby być sto razy brzydszym, a jeszcze patrzyłabym na niego z uwielbieniem!

— „No! no! droga Hedwigo, strzeż się tylko zbytniego zapału wdzięczności, abyś jak słaba ptaszyna, nie wpadła w paszczę tego jadowitego węża!

— „Nie lękaj się, dobrze ja teraz strzedz będę mego serduszka!”

Pomimo tego, Hedwiga słuchała z rozkoszą ponętnych pochlebstw, które sączyły miodopłynne usta, zbyt niebezpiecznego Janusza: to serce, które miała strzedz tak starannie, biło gwałtowniej, gdy ją zawsze wybierał do tańca, i, otaczając urokiem holdów i poważania, czynił królową każdej zabawy. Bo nadzwyczajny ten młodzieniec na wszystkich wpływ wywierał, nad wszystkimi panował potęgą miłości lub bojaźni: lgnęli do niego, nieprzewyciężonem znęceniu omamieniem, lub drżeli przed nim, lękając się jego szyderstwa i ucinków, któremi szczerze szafował, nie oszczędzając niemiłosiernie każdego, co by się z pod praw jego samowładztwa wyłamać zapragnął.

Im Janusz bywał częstszym gościem w domu rodziców Hedwigi, tym Wanda rzadziej u niej bywała; nie mogła przewyciężyć wstrętu i bojaźni, które w niej obudzał; a dumna i wzniosła jej dusza, nie będąc zdolna pokryć tego co czuje, wołała pozbawiać się najśłodziej w życiu przyjemności,

niżeli wystawiać się na mściwą nienawiść złośliwego młodzieńca. Hedwiga, widząc nadzwyczajną odrazę przyjaciółki ku temu, który co dzień bardziej stawał się dla niej lubym, (chociaż to nowe uczucie jedynie wdzięczności przypisywała) nie śmiała rozmawiać z nią o tym przedmiocie.

Pewnego dnia, Wanda znajdowała się u Hedwigi, gdy Janusz przyprowadził ze sobą trzech swoich małych braci, których ojciec przysłał do Warszawy na edukacyą. Wszczęła się rozmowa o malarstwie. Brat Hedwigi wykrył towarzystwu niepospolity talent, który Janusz posiada w trafnym schwyceniu podobieństwa; na dowód czego prosił, aby pokazał miniaturę własnej roboty, którą zawsze nosi na piersiach, i uczynił próbę na braciach, którzy nie widzieli jeszcze tego portretu, a wzór jego był im znajomy.

Ulegając usilnym prośbom, Janusz wy dobył z za mundura medalion, i pokazał towarzystwu najdokładniej wypracowaną miniaturę, która wyobrażała kobietę w średnim wieku, szanownego i łagodnego oblicza: było por-

tret jego matki, która przed trzema laty umarła.

Przywołał najprzód najmłodszego brata, sześcioletniego, złotowłosego chłopczynę, wziął go na kolana, i, pokazując portret, spytał czy zna tę osobę? „To mama!“ krzyknęło przenikliwie dziecię. — Na ten naiwny krzyk natury, łzy rzuciły się z oczu Janusza, przycisnął z zapalem do serca, rumianego chłopczynę, i twarz płaczem zroszoną ukrył w puklach jego włosów.

Na ten niespodziewany, szczery, nieprzymuszony dowód czułości, Wanda prawie pogodziła się ze śmiertelnym swoim wrogiem; a Hedwiga ująwszy ją mocno za rękę, szepnęła jej zcicha: „Ach Wando! ten co tak głękokie czuje przywiązanie dla matki, co się tak heroicznie poświęca w obronie przyjaciela; nie może posiadać czarnej duszy Lowelasa!“

Brat Hedwigi w długą wybierał się podróż. Posiadał już portrety całej rodziny, prócz obrazu, droższej od innych siostr dla niego Hedwigi. Pragnął w tym portrecie podwójną unieść z sobą pamiątkę: lubej siostry i

ukochanego wybawcy; prosił zatem matki aby pozwoliła Januszowi zrobić miniaturę Hedwigi. Matka zezwoliła.

Uszczęśliwiony Janusz, z zapalem wziął się do dzieła: lecz często pędzel zatrzymał się w jego ręce; zrazu oczy, a później usta, objawiły lubemu wzorowi płomieniste uwielbienie. Z rozkoszą i bojaźnią słuchała go Hedwiga; z bojaźnią: bo i ona nie raz obok osobliwego młodzieńca, mimowolnego doznawała zadrżenia; nieraz, gdy zniemacka na niego spojrzała, zdawało się jej że postrzeże tryumf i szyderstwo w jego Proteuszowym wzroku; a jednak, zniewolona wdzięcznością, owładniona urokiem potęgi tej niepojętej istoty, nie zdolna do głębszego zastanowienia, omamiona blaskiem przymiotów i rzadkich talentów Janusza, pyszna, że wyłącznie zdołała zająć serce, o które tyle ubiegało się piękności; coraz głębiej we własnym sercu zagrażała niebezpieczną strzałę, powtarzając sama sobie: teraz dopiero kocham prawdziwie; gdyż przed przyjaciółką nie śmiała uczynić tego wyznania. Usta jej milczały, lecz spuszczone oczy, żywe zapło-

nicnier, pośpieszniejszy ruch gazy osłaniającej pierś nadobną: aż nadto dały poznać Januszowi że jest kochany.

Próżność była główną wadą Janusza, wadą zatłumiającą w nim zarody cnót najszlachetniejszych. Mniej hojnie uposażony od natury pięknoscią; ponętą dowcipu i pochlebstwa pragnął zniewolić, podbić serce każdej kobiety, i, nowe zwycięstwo dodawszy do tylu odniesionych tryumfów, igraszkę sobie z jej czułości uczynić. Nie wierzył w miłość prawdziwą i wierną: miłość, było dla niego czezy wyraz, jednochwilowa zabawka; nie mógł jej sam nigdy uczuć głęboko, gdyż próżność zawsze stała na straży, nie przypuszczając mocniejszych wrażeń do przybytku serca.

Wanda, zawsze uciekając przed Januszem, prawie nigdy nie widywała ich razem, i wtedy dopiero odkryła miłość Hedwigi, gdy ta, po wyjeździe kochanka, zalana łzami, przyszła na jej łonie szukać ulgi cierpienia. Wanda przerażona, z rozdartém sercem, milczała, nie śmiejąc czynić wyrzutów, aby bardziej nie zasmucić tej ukochanej drugiej połowy swojej duszy.

— „Wando droga! ty jak widzę nie możesz się pozbyć uprzedzenia, któreś tak niesłusznie powzięła ku Januszowi. Ach! gdybyś widziała te oczy, któreś porównała do jadowitego spojrzenia węża, zalane łzami najżywszej czułości w chwili rozstania; gdybyś słyszała zaklęcia i przysięgi, które mi usta jego powtarzały...nie! tak pewno żadna kobieta nie była kochaną!... ach! nie, nie powiedziałabyś że to jest zdrada, udanie!... wierzyłabyś z równą ufnością jak ja wierzę!... Patrz, jak błądy księżyc wynurza się tajemniczo, z łona tej fantastycznej chmury on teraz patrzy na niego... ten księżyc będzie odtąd jedynie pośrednikiem wspólnych naszych myśli i uczuć... nie wiem dla jakiej przyczyny—bom nawet pytać nie śmiała — Janusz, za powrotem swoim dopiero, chce prosić o moją rękę rodziców; dotąd, błaga o największą tajemnicę, i nawet pisywać do mnie nie będzie: aby umilić zbyt długie dnie bolesnego rozdziału, przyrzekliśmy sobie oboje, o jednej godzinie patrzeć na księżyc, i myśleć wzajemnie o sobie... Wando! on teraz o mnie

myśli!... czy pojmujesz jak jestem szczęśliwa?... czuję mocno, że teraz dopiero Kocham.... czemuż obok Frederyka nie doznawałam tak gwałtownego wzruszenia.... gdy Janusz zagadał do innej kobiety, śmiertelny dreszcz przeszywał me serce, bladość powlekała lica, łzy mi prawie do oczu się cisnęły; gdy spojrzał na mnie, z tym wyrazem, którego opisać nie zdołam, którego nie potrafisz sobie wyobrazić kiedyś go nie widziała: z pychą podniosłam głowę, a twarz moja promieniała radością i tryumfem... byłam pyszna i szczęśliwa!... czy jeszcze powiesz że to nie jest miłość?...

— „Powiem — odpowiedziała szczerą Wandą — że odkrywam w tobie wadę, której dotąd nie postrzegłam: próżność; najniebezpieczniejszą ze wszystkich namiętności, mogących się zrodzić w sercu kobiety: ona go wysusza, czyni nieczulęm na przymioty najszlachetniejsze, goniąc za marnemi błyskotki. Ach! wierzaj mi, ty nie Kochasz prawdziwie Janusza... może powiesz że nie mogę o tem wyrokować, sama nigdy nie Kochawszy; lecz czuję jakbym Kochała, i

co mi znaleźć potrzeba, abym pokochać mogła. Żałuję cię, biedna moja Hedwigo; wielkie sobie cierpienia gotujesz, bo rany obrażonej próżności, równie są nieczojne jak miłości nieszczęśliwój.

Pomimo rozsądnych przestroóg przyjaciółki, Hedwiga żywiła jednak w łonie niebezpieczny płomień; nie przypuszczała nawet myśli, że świetny jeniec serca, z którego tak była pyszną, kiedykolwiek rzucić może kajdany; codziennie o jednej godzinie, śledziła tarcz księżycą, wychylającą się żalobnie z posepnej deszczowej chmury, lub roztaczającą przepych srebrzystych promieni na tle zimowego nieba, bogato krociami gwiazd osutém; była pewna, że Janusz również w tej chwili w niego wlepione ma oczy; gdy on zdradziecko, u nóg nowój kochanki, zapomniał dawnych przysiąg, lub szydził z łatwowierności jej zbyt ufego serca.

Dnie upływały, a Hedwiga była spokojną, chociaż żadnej od kochanka nie odbierała wiadomości: uprzedził ją że pisywać nie będzie. Codziennie łudziła się słodką

nadzieją lubego zadziwienia, jakie jej niespodziany jego powrót sprawi; codziennie zwiedziona, pocieszała się, powierzając niememu powiernikowi swe żale, tęsknoty i nowe nadzieje.

Pewnego razu, znajdując się na wieczorze u jednej z młodych swoich znajomych, która niedawno poszedłszy za mąż, pierwszy karnawał na nowem gospodarstwie, zabawami uświetnić pragnęła, Hedwiga strudzona walcem, siadła w oddalonym od sali balowej pokoju, gdzie kilka osób, również jak ona może strudzonych lub nie lubiących tańca, przyjemną zabawiało się rozmową. Niepostrzeżona, zatonęła w lubyh swoich dumaniach, gdy imię Janusza, głośno wymówione, obudziło jej uwagę. Wesół młodzieniec pytał poważnej matrony, ciotki młodej gosposi:

— „Coto się stało, że świetny Janusz ozdobić nie raczył swoją przytomnością, dzisiejszej zabawy?”

— „Albożto nie wiesz, Wiesławie, że Janusz jest na wsi?”

— „Wybacz, kochana ciociu, wczoraj

widziałem go na własne oczy; wysiadał pod kolumny na ulicy Miodowej, i przechodził ze sklepu do sklepu, pewnie jakowe fraszki skupując dla którejś ze swoich kochanek.

— „Niepodobna! byłby nas przecię odwiedził.

— „Nie dziw się pani jego opieszłości— odezwał się inny z grona młodzieniec— kto się kocha i żeni, łatwo zapomina o powinnościach etykiety....

— „Co? Janusz już się żeni!— przerwał z głośnym śmiechem wesoły Wiesław— i którażto z warszawskich piękności poszczyci się, że narzuciła wieczne kajdany najniestalszemu z ludzi?

— „Jeszcze się bardziej zadziwisz, gdy się dowiesz, że tego dokazała piękność wieśniacza. Widziałem się onegdaj z Januszem: rozpowiadał mi o swojej miłości: pokochał piękną Sabinę jedynie dla tego, że jest bardzo podobną do ostatniej jego kochanki, ale to tak bardzo, mówił, że nie zdoła pomiędzy nimi uczynić różnicy. Dodał, zanosząc się od śmiechu, iż posiadał portret tej, która jeszcze tej jesieni pochlebiała sobie, że

go ujęła na wieki w swe pęta; że pokazał go Sabinie jako fantazyjny obraz pomysłowej kochanki, do której serce jego oddawna wzdycha, a którą szczęśliwy, znalazł na koniec w jej osobie. Nie mógł pohamować szyderczego śmiechu, opisując mi, z jakim zapalem łatwowierna piękność uwierzyła tej udanej powieści. Mówił mi wreszcie, iż znudzony plochością, chce się już raz ustalić, przyjąć więzy Hymena, i resztę życia pędzić w wieśniaczęj zaciszy. Ale ja bynajmniej mu nie wierzę; pewny jestem że, nim ten karnawał minie, opuszczona Sabina, oplakiwać będzie straty nowego Don-Zuana.“

Nie słyszała Hedwiga końca tej rozmowy; serce jej ścisnęło się okropnie, śmiertelna pomroka wzrok przysłoniła, zbłąkały się myśli; chciała powstać, i zarzucić w oczy fałsz opowiadaczowi; zerwała się, — lecz padła bez czucia na posadzkę.

Na odgłos jej upadku, powstały osoby znajdujące się w pokoju, spiesząc jej na ratunek, i przypisując zemdlenie zbyt niemu zmordowaniu i gorącu.

Wtém whiegła Wanda — dowiedziała się

w salonie o zdradzie i nowych miłostkach Janusza, i wszędzie szukała przyjaciółki, pragnąc ją pod jakim pozorem uprowadzić, i z wolna przysposobić jej umysł do téj okropnej wieści. Postrzegłszy zemdloną Hedwigę, poznała, iż przybyła poniewczasie, a lękając się aby nie zdradziła jakim nierozważnym słowem tajemnicy swego serca, jeszcze zemdloną kazała zanieść do powozu, i pośpieszyła z nią do domu.

Najczulsze starania Wandy powróciły ruch i życie Hedwidze; lecz obłądny ogień oczu, gorączkowy rumieniec rozplamieniający jej policzki, wyrazy bez porządku do ust się cisnące; wykryły nieszczęśliwej, że cios który ugodził serce przyjaciółki, rozum jej także nadwerężył. Napróżno w rozpaczycy ścisnęła palające jej ręce, skrapiała je łzami, zaklinała aby się uspokoiła i zapomniała niegodnego jej miłości przeniwiercy; nie słuchała jej Hedwiga, nie poznawała nawet, ciągle tylko powtarzając: „Nie, to niepodobna! oni wszyscy kłamią. On w Warszawie! a miałby nie pośpieszyć do swojej Hedwigi, którą przysiągł kochać wiecznie! Napróżno

chęcą abym im uwierzyła... ach! nie przeżyłabym takiego upokorzenia!..."

Przywołano lekarzy; spieszny ratunek zapobiegł obłąkaniu; lecz go długa niebezpieczna zastąpiła choroba: zwątpiono nawet o jej życiu. Zalana łzami, z rozdartém sercem, Wanda ani na krok nie odstępowała od łoża przyjaciółki; wierna przyjaźń nastęrczała jej ustom najpieszczotliwsze wyrazy, najmocniej do przekonania przemawiające pocieszenia. Nieraz, wśród długich bezsennych nocy, łza wdzięczności zwilgotniła oko Hedwigi; nieraz, słabą dłonią przyciskając do zbolełego serca rękę nieodstępnej towarzyszki czuła, że przyjaźń tak wielka zdolna zagoić jego rany.

Po trzech miesiącach obawy i niespokojności, uszczęśliwiona Wanda wyprowadziła pierwszy raz odzyskaną przyjaciółkę do ogrodu. Wiosna z całym przepychem roztaczała ponętne swe wdzięki; lecz powab jej, zdolny ukoić wszelkie inne boleści, bardziej jeszcze rozdrażnia głębokie rany serca. Hedwiga przestała kochać Janusza; nigdy go prawdziwie nie kochała: omamił, o władnął

j^ęj wyobraźnią, lecz nie dotknął serca: złośliwość i próżność, jakimkolwiek ubarwią się pozorem; nie zdołają miłości obudzić: przywilej ten sam^ęj tylko zachowany jest enocie; ona tylko jedna może wznieci^ć owe święte zapały, które z życiem nawet nie gasną. Serce Hedwigi utworzone było do t^ęj święt^ęj, czyst^ęj miłości; lecz dotąd, czy nie umiało znaleźć, czy t^ęż w istocie nie napotkało godnego siebie przedmiotu. Zmienność Janusza, obraziła do najwyższego stopnia j^ęj pychę, a serce, zranione tylokrotną niewiarą, wstydząc się dawnego wyboru, stało się teraz prawie martw^ęm, nawet na piękności natury.

Daremnie Wanda znosiła j^ęj świeżo-rozwite kwiaty, i, plotąc z nich wieńce, zdobiła nimi obwisłe konary ulubionego klonu, i darniowe siedzenia. Hedwiga z zimnym uśmiechem dziękowała przyjaciółce, lecz nie dzieliła niewinn^ęj j^ęj radości: i tak im dnie smutne płynęły.

Bładość przygasila rumieniec j^ęj lica; łza obciążone oczy, częśc^ęiej się ku ziemi chyliły; lecz ta smętność nowego uroku dodawała j^ęj piękności, silniejszymi węzły krępowala serca.

Niedziw, że ją na nowo zaczął otaczać tłum wielbicieli.

Pomiędzy niemi, celował urodą i bogactwy młody Leon. Wychowany w ukraińskich stepach, miał strzelisty wzrok orła, i żywość pustyniowego rumaka. Krucze włosy wiły się w pierścienie na ogorzałym czole; uśmiech swobody i szczęścia rozkwitał na ustach, i malował czystą, żadną troską niezakłóconą duszę. Leon nie odebrał świetnego wychowania; nie był ćwiczony w naukach ni sztukach nadobnych: dosiąść bieguna, i lotem błyskawicy step oblecić; doścignąć zabójczym ołowiem sokoła, szybującego pod chmury; dotrzymać wiatro-nogiemu jeleniowi w biegu: to najcelniejsze były jego zalety. Gwałtowny jak huragan, zmienny w upodobaniach jak wiatr stepowy; serce miał przy tém czułe, nazbyt może miękkie: nieraz, gdy strzał jego niechybny rączą ugodził sarnę — łza litości spłynęła z oka na upragnioną przed chwilą zdobycz. Wychowaniec dzikiej, pierworodnej natury, przenosił nade wszystko szumiące lasy i powiewne stepy Ukrainy. Niechętnie skłonił się do nalegań

brata stryjecznego, jadącego odwiedzić siostrę, oddaną na pensyą do Warszawy, aby mu towarzyszył w tej podróży. Wkrótce jednak polubił pobyt w stolicy, gdyż poznał Hedwigę. Jej złote włosy, bladość, smętne wejrzenie, tak różne od czarnych warkoczy, płomienistych oczu, i kraśnego rumieńca dziewczyc Ukrainy, niewymowne uczyniły na nim wrażenie. Miłość, nieznaną dotąd swobodnemu sercu, usidliła go z całą mocą w swe wniki. Stał się prawie nieodstępnym cieniem Hedwigi: on wspierał jej słabe jeszcze kroki, gdy się przechadzała po ogrodzie; śpiewał jej ukraińskie dumy, zaczynające się nakształt szumnego zadęcia wiatru po borach, a potem zwolna spadające w najrzewliwsze tony, jak szmer jego, konający po skał rozpadlinach; z zapalem, poetycznemi farby, opisywał jej piękną swoją krainę: wspaniały Dniepr, rozwijający zwierściadła łoskotnych fali, umilone świeżemi wysepki, jak gdyby bukietami zieloności; oceany trawy, roztaczające, jak oko zasięgnie, powiewne swoje kobierce, osute gdzieniegdzie koralowemi kępami burżanu; ciche doliny, opasane wieńcem wzgó-

rzów, z których płaczące brzozy chyłą giętkie, szelestne warkocze.

Z upodobaniem słuchała Hedwiga o tych dziwach samorodnej natury; zdawało się jej, że tęschna dusza tamby przyjemniej oddychała, zdala od tego świata, którego obłudę poznała zawczasie. Niekiedy nawet uśmiech, rzadki gość na jej licu, rozjaśniał smutek ciągle po niem rozlany. Wówczas promień szczęścia błyskał w oczach Leona, i z pychą na ten uśmiech poglądał jak na własne dzieło, na ten uśmiech, co mu słodkie dozwalał wróżyć nadzieje.

Hedwiga jednak nic prócz zimnej przyjaźni nie czuła dla młodego stepów wychowanka: mile słuchała jego dum i powieści; miliej jednak ze swoją Wandą siadała pod cieniem ulubionego klonu, lub na balkonie wychodzącym na samotne przedmieście.

Nieraz długo obie siedziały w milczeniu, oparte o żelazną ganku kratę: ta przywodząc na myśl lube i gorzkie chwile, których już tak wiele wporanku życia przeżyła; tamta, pojąc się szczęściem, że widzi wracającą do

życia, najdroższą dla siebie na tym świecie istotę.

Często, o wieczornej porze, rzewliwe tony fletu łączyły uroczną swoją melodyą do ich zadumania. Granie to oddawna co wieczór słyszeć się dawało z naprzeciwległych okien; nigdy jednak nieznanego fletnisty nie dostrzegły.

Raz, w piękny wieczór wiosniany, obie siedziały na ganku; słońce zanurzyło się w purpurnych obłokach zachodu; ostatnie jego promienie różowym odcieniem powlekały białe chmurki, rozpierzchnięte po czystym lazurze, nakształt trzody rozsypanej po łące; a dwurożny księżyc pojawiał się na ciemniejszym tle zachodu. Głos nieznanego fletni połączył swoje melodyjne brzmienia z tą chwilą uroczystą.

Hedwiga, pierwszy raz po swojej słabości, przyglądała się z upojeniem wdziękowi wiosną ożywionej przyrody; łza czułości potoczyła się z jej oka; ścisnęła Wandę za rękę, i rzekła rozrzewnionym głosem:

„Ach! ty nie wiesz Wando, jak wielką potęgę dźwięki tej fletni wywierają na moje

duszę! Nieraz, wtedy gdy mniemałam że je-
 stem jeszcze kochaną od Janusza, gdy z roz-
 koszą wpatrywałam się we wschodzący księ-
 życ — bo myślałam że oczy jego także są w tej
 chwili na niego zwrócone — nieraz brzmienie
 tej tajemniczej fletni, do głębi przeszywało
 moją duszę: zdawało mi się słyszeć głosy
 chorów anielskich, opiewające miłość czystą,
 prawdziwą; tę miłość o której moje serce
 w pomysłowych snach swoich marzyło, któ-
 rą, niestety! nie znalazłam na ziemi, która
 tylko niebian musi być pewnie udziałem.
 Nieraz głos tej fletni zdawał mi się być wie-
 szczą przestrogą, i upominać, abym na ślepo
 nie zawierzała obłudnym przysięgom.... nie
 raz w ciągu mojej choroby, głos ten, w go-
 rączkowym obłądnie, brzmiał jeszcze w mych
 uszach, i rajskie zapowiadał mi rozkosze....
 teraz, kiedym mniemała, że serce moje na
 wszystko stało się nieczułem, prócz na słod-
 kie uczucie przyjaźni i wdzięczności — doda-
 ła, mocniej ściskając rękę Wandy — teraz
 on jeden zdolny jest w uśpionem sercu obu-
 dzić zadrżenie.... Czy nie wiesz, Wando,

kto jest tym nieznanym fletnistą, co mi tak lubą sprawia pociechę?

— „Przyznam ci się że i mną oddawna ta sama ciekawość powoduje. Rozpytywałam się zniechceni, i tyle tylko dowiedziałam się, że to jakiś młodzieniec, który żyje jak naj-samotniej, wszystkie chwile poświęca ma-larstwu i książkom, a wieczory umiła graniem na flecie. Nie śmiałam pytać o więcej.

— „Ach Wando! jeśli mnie znowu zbyt ni zapał wyobraźni nie uwodzi, ten co takowy głos zdoła obudzić z martwego narzędzia, musi koniecznie posiadać szlachetną duszę i serce najczulsze!

— „No, no, tylko się znowu nie zakochaj w tém niewidzialném bożyszczu!

— „Jakież z ciebie dziecko, moja Wando! czy przypuszczasz, że rozprzęgnięone niegdyś ogniwa moich myśli, jeszcze dotąd niespo-jone w łańcuch rozumu?

Hedwiga głośno się rozśmiała, a urado-wana Wanda tym niespodzianym wybuchem wesołości, skoczyła jęj na szyję, i najczul-szemi okryła ją pieścizoty.

Leon tymczasem, coraz czuł głębiej, że

choć powróci na ukochane ziemi rodzinnej obszary, nie uniesie ze sobą dawniej spokojności; że bez Hedwigi dzikie piękności, tak lubiej niegdyś dla niego, przyrody, wszystkie swe wdzięki utracą. Nigdy jednak słówko, spojrzenie, nie ośmieliły go wyznać Hedwidze, że ona wszystkiem stała się dla niego. Nieraz, w poufalej rozmowie, gdy mu się udało obudzić w ubóstwionej kobiecie iskrę zapału i życia, zdawało mu się że jest dla niego przychylniejszą, że stał się prawie potrzebnym do jej szczęścia. Już długo tłumiona serca tajemnica, miała w ognistych wybuchnąć wyrazach..... wtém uroczysty głos fletni obudził wieczorną ciszę, a Hedwiga znowu wpadała w dawną smętność i dumanie. Wówczas rysy jej przybierały tak coś nadziemskiego, tak się zdawała być istotą nienależącą już do tego świata; że Leon, przenikniony postrachem i poszanowaniem, nie śmiał przerwać niebiańskiego jej dumania, i skazić go wynurzaniem ziemskiej miłości.

Nie mógł wreszcie dłużej przewyciężyć udręczającej go niepewności: posiadać He-

dwigę, lub umrzeć — stało się hasłem burzliwej jego duszy. Postanowił ją pozyskać wbrew jej serca, pochlębiając sobie że później, gdy zupełnie odzyska zdrowie i wesołość, tkliwsze uczucia ku sobie w niej obudzi: poprosił więc rodziców o jej rękę, i z uniesieniem najżywszej radości, usłyszał z własnych ust Hedwigi, iż zezwala los swój z jego losem połączyć.

Dobra Wanda również jak on się uradowała, spodziewając się że już przecię więcej nie usłyszy z ust przyjaciółki nieszczęsnego: *teraz dopiero kocham prawdziwie*: wiedziała że Hedwiga nie kocha Leona; lecz znała szlachetną, cnotliwą jej duszę, niezdolną na krok zboczyć z drogi świętej powinności. Prócz tego Leon miał uprowadzić żonę w samotnie ukraińskie, gdzie niepodobna aby spotkała przedmiot, godny zająć jej serce. Z uśmiechem jednak rzekła do Hedwigi:

— „Cóżto, moje życie, jesteś kochaną namiętnie od Leona, masz niezadługo zostać jego żoną; a zawsze jesteś równie smutna, a jeszcześ mi nie powiedziała: teraz

dopiero kocham prawdziwie — bo nie przypuszczam, abys nie kochając Leona, chciała mu rękę swoją oddać... — „Nie, Wando, nie kocham Leona; przekwitłe to serce niezdolne już jest kiedykolwiek uczuć miłość... chcę tylko zadosyć uczynić woli i naleganiom rodziców, których tyle razy nedorzecznoscia moją obraziłam; chcę, zdala od tego świata, który mnie tyle razy zawiódł, zagrzebać życie moje w pustyniach, które ci Leon tak rozkosznie odmalował. Jeśli mnie będzie wiernie kochał; bydz kochaną, wystarczy dla twojej Hedwigi... jeśli mnie kochać przestanie; czyż mi nie pozostaje przywiązanie rodziców, i wierna twoja przyjaźń, droga moja Wando?“

Wanda niezupełnie może wierzyła, mniemanemu letargowi serca: lecz nie chcąc zasmucać przyjaciółki, udała że wierzy; i obie zaczęły układać plany na przyszłość. Ułożono że Wanda uprosi matki, aby pierwszy rok po jej zamężciu przepędzić mogła, przy Hedwidze, a potem choć co dwa lata odwiedzać, jeśli jakowa inna zmiana w losie ich nie zajdzie.

Leon, chociaż zupełnie niezależny, zbyt jednak szanował matkę, aby śmiał bez jej wiedzy rozporządzać całą przyszłością swojego życia; chciał przytém urządzić swój zamek, od śmierci ojca zupełnie zaniedbany, na godne przyjęcie uwielbionej Hedwigi; postanowił więc, choć z niewymównym bólem serca, sam udać się na Ukrainę.

Z rozpaczą w duszy i tłą na oku, stanął przed Hedwigą; ze smutkiem największym widział, że gorąca jego miłość, obudza tylko w kochance zimną litość i również zimną przyjaźń, kiedy jego serce pragnęło odpłaty również ognistej miłości; pochlebiał sobie wprawdzie, że gdy ją w samotnie swoje uwiezie, otoczy czcią i poszanowaniem; gdy każdy dzień jego życia będzie wyłącznie jej poświęcony; że wtedy może zdoła żywsze rozniecić zapały w tém uspijoném sercu: drżał na samą myśl zostawienia jej przez kilka miesięcy wśród grona świetnych wielbicieli; lecz poszanowanie ku matce przemogło szalony zapęd zazdrości: on był jej jedynem dziecięciem; ona mu wszystko poświęciła: piękna i młoda jeszcze, wyrzekła się po-

wtórnych ślubów, i wszystkie skarby kochającego serca zlała na swojego Leona; a on, wynagradzając tyle poświęceń i cnoty, nie miałże jej uczynić ofiary z dwóch lub trzech miesięcy opóźnionej szczęśliwości?

Miotany tak sprzecznemi uczuciami, przyszedł, na ten krótki czasu przeciąg, pożegnać swoją Hedwigę; łza przyćmiła dumę jego oka, a drżący głos zaledwie wyjąkał:

„Święta powinność, wdzięczność wrywa mnie od ciebie, ukochany mój aniele..... jeśli mi nie wolno unieść upajającej myśli że jestem od ciebie kochanym... dozwól mi przynajmniej unieść pamięć twój słodkiej przyjaźni; nadzieję, że kiedyś więcej pozyskam; że za powrotem powitasz męża uśmiechem szczęścia i radości... o! pozwól, ubóstwiona Hedwigo, zebrać po raz pierwszy nieśmiało usty tę łzę, co się zaskłniła na twój powiece!.... niestety! zawsze tylko łzy litości będziesz dla mnie miała!“

Hedwiga zwiesiła omdlałą głowę na ramię kochanka, jak kwiat, zbyt nie rosą poranku obciążony, chyli swój kielich przed zabłyśkiem gwiazdy dzienniej; a drżące usta

Leona z chciwością napoiły się tą niebiańską kroplą.

Zdjął potem pierścień z palca — „Noś go, niech imię na nim wyryte, przypomina ci słowo dane wiernemu Leonowi...

— „Nie, Leonie; nie przyjmę twego pierścienia... aż nadto nauczyło mnie doświadczenie, jak czczemi są przysięgi i zakłady miłości... Jeśli przestajesz na tém, co ci ofiarować może to zwiędłone serce... to bądź pewnym niezmiennej wiary, twojej na zawsze Hedwigi.“

Ach! jak rzadko zastanawia się kobieta, czyniąc podobną obietnicę! jak rzadko która pomyśli, że wydała na siebie wieczny wyrok nieszczęścia! jak rzadko która zna całą rozciągłość obowiązków i całą odpowiedzialność, którą na siebie wkłada! Serce młodociane ulega prawie zawsze pierwszemu popędowi władającego niem czucia; musi koniecznie srogim doświadczeniem okupić dar nierozwagi: inaczej nie byłby jego prawnie nabytą własnością.

Odjechał Leon, a Hedwiga z niechętnym uśmiechem rzekła do Wandy:

— „Takie mam szczęście do narzeczonych, że może i ten przecie nie powróci! — a na lekki uśmiech Wandy:

— „Szacuję Leona, znam jego dobre przymioty, znam także i wady... serce jego jest czułe; może nawet zapłonąć ogniem szlachetniejszych uczuć, gdy go pycha bodźcem swoim ukole: lecz umysł jego nie odebrał przyzwoitego wykształcenia; nie umie powściągać burzliwych zapędów swój pustyniowej duszy.... Czuję, jak czczém będzie z nim domowe, ciągle pożycie... drzę na sam pomysł gwałtowności, do których posunąć może się ośmielić... przeczuwam mnogie cierpienia... lecz jestem pewna że nie wiele dni zostaje mi przepędzić na tej dolinie płaczu... uzbroję się więc w odwagę i cierpliwość... I czegoż płaczesz, moja Wando? wszakże się w szczęśliwszej połączymy krainie, połączymy na zawsze!”

I wśród łez uściskały się serdecznie. —

Po odjeździe Leona, Hedwiga jeszcze bardziej od wszelkiego stroniła towarzystwa: zdawało się, iż, pragnąc dochować przyrzeczonej wiary, lęka się przebudzić swe serce

Samotna przejażdżka z Wandą po okolicach Warszawy, była jej najmiłą rozrywką.

Po obiedzie, w ciepły dzień wiosniany, wybrały się zwiedzić samotny i powabny Natolin. Para ognistych stepowych rumaków, dar Leona, unosiła je rączo Nowym-Światem. Szybka ta jazda miała wiele przyjemności dla Hedwigi; mniemała niejako opuszczać ziemię, i spieszyć w nieznane krainy, szukać nieznanego na niej szczęścia. Nagle przenikliwy krzyk dziecięcia wyrwał ją z tego zachwycenia. Woźnica szarpnął lejcem, i w tył cofnął konie: Hedwiga wychyliła się z powozu, i postrzegła ładną siedmioletnią dziewczynkę, którą raczej strach, niż jakowe uszkodzenie, powalił na ziemię. Szybka jak myśl wyskoczyła z powozu, podniosła dziecię, i pieścotami starała się płacz jego utulić.

Dziewczynka jednak ciągle płakała, i rzekłszy: — ach! puść mnie, dobra pani! — poskoczyła zbierać w kurzawie, prawie pod kopytami koni, rozsypane dziesiąteczki.

— „Daj temu pokój, moje dziecię, — za-

wołała Hedwiga—nie zbliżaj się tak bardzo do koni; mógłby cię który uderzyć.

— „To dla biednej mojej mamy! muszę wszystko pozbiierać... to od tego dobrego Pana... ach! moja mama tak jest uboga!....

— „Dam ci dziesięć razy tyle, tylko przestań daremnie szukać, i powiedz mi, gdzie twoja mama mieszka, to cię do niej odwiozę.

— „Och! mama mieszka ztąd bardzo daleko!... aż na Czerniakowskiej ulicy!... Pani jesteś zbyt dobra!...”

Hedwiga wsadziła dziewczynkę do powozu, i kazała jechać na ulicę Czerniakowską. Po drodze pytała dziewczynki, a ta jej powiedziała: że mama długo bardzo płakała po stracie taty; że nielitościwy gospodarz zabrał im wszystko co posiadały; że mama haftowała potem po całych dniach i nocach, nająwszy sobie małą izbedkę na tej ustronnej ulicy; ale teraz od pół roku już leży chora, i obiedwie byłyby z nędzy umarły, gdyby nie jakiś młody i ładny jegomość spostrzegł ją raz płaczącą przed domem, i

odtąd sam przynosi lekarstwo, każe jój co kilka dni do siebie przychodzić, i zawsze daje dla mamy pieniądze. I dziś byłam u niego — dodała — ale go nie zastałam w domu, a jednak już leżały dla mnie na stoliku dziesiątaczki w papierku. Spóźniłam się trochę, bo u tego Pana takie są ładne lalki pomalowane, że cały dzień bym na nie patrzała... A żeby pani wiedziała jak ten pan ślicznie gra na piszczałce!... zawsze ją nosi ze sobą... kiedy go pięknie poproszę, to mi czasem zagra; ale on tak gra jakos smutnie, że mi zaraz łzy się zakręcają w oczach....

Tu Wanda i Hedwiga pojrzały po sobie, domyślając się w tajemniczym dobroczyńcy, tajemniczego swojego fletnisty.

— Otóż nasz domek! — zawoła dziewczynka — i powóz zatrzymał się przed nędzną lepianką, nawpół zapadłą w ziemię. Okna w równi z ulicą, były po części zamiast szyb, pozaklejane zapisanym papierem. Gontowy dach, mchem obrosły, wklęsnięty we środku, groził blizkim upadkiem. Kilkoro ułachmanionych i brudnych dzieciaków,

tarzało się w piasku przed progiem, i nasze przyjaciółki, prowadzone przez małą dziewczynkę, ledwie się przez hałasny ich tłum przedrzeć zdołały.

Przez wąską i nierówną sionkę, wprowadziła ich do małej izbedki od tyłu. Prosty stół drewniany, parę słomianych stolców, przed jednem okienkiem przykryte krosienka, na pułce kilka garnuszków i talerzy, a w kącie liche, z desek zbite łóżko: oto wszystkie sprzęty tego przybytku nędzy. Miło jednak było spojrzeć na tę ubogą chatę: największa czystość wszędzie panowała; podłoga była usypana drobnym żółtym piaskiem; na stole ani jednej nie widać było plamki, cynowe łyżki świeciły jak srebro; a na niskich okienkach nastorecyą zasadzoną w wyszczerbionych garnuszkach, w kształcie stoły, roztaczała z zielonych swoich listków zasłony.

Na łożu leżała trzydziesto-letnia, wychudła i blada kobieta, wyciągając zwiędloną rękę po kubek napoju, który jęj podawał przystojnie ubrany młodzieniec.

— „Mamo! mamó! — krzyknęła dziewczyn-

ka — przyprowadzam ci śliczną panią, która mi obiecała dać dziesięć razy tyle dziesiątaczków, ile ich rozsypałam na drodze.... a miałam ich dużo! o! więcej daleko jak dwanaście!...“

Na odgłos wchodzących obrócił się młodzieniec. Przy niepewnym świetle, przedzierającym się przez szyby przepalane i liściane firanki, postrzegły przyjaciółki twarz noszącą piętno najszlachetniejszych duszy przymiotów. Wyniosłe, czyste czoło, zwieńczone skromnie pukle ciemnych włosów; jakowaś zmarszczka przedwczesna, którą pewnie długie wyrzyło cierpienie, tym bardziej tęsznego dodawała mu wdzięku. W błękitnym, wilgotnym oku, malowała się cała jego dusza: obok litości, która w nim tłała w tej chwili, widać było męską odwagę, i stałe, rozmyślnie poddanie się żelaznej prawicy losu, która nad nim ciężać się zdawała. Błede usta ożywiały uśmiech pociechy, której pragnął udzielić, chociaż sam jęj dla siebie znaleźć nie może. Kształtne, wydatne rysy, tchnęły słodyczą

obok smętku i powagi, i przypominały nieśmiertelne utwory pędzla Rafaelskiego.

Zadrzał mimowolnie na niespodziewane zjawienie się naszych przyjaciółek; lecz przelotny promień niebiańskiego szczęścia błysnął w jego oku.

Hedwiga, skłoniwszy się lekko nieznanemu, zbliżyła się do łoża cierpiącej, i opowiedziała jej, płonąc jak majowa zorza, jakim sposobem spotkała lubą dziewczynkę.

Matka, stokrotnie dzięki jej złożywszy, przycisnęła do piersi płową główkę ocalonej dzieciny, i rzekła jej z wyrzutem macierzyńskiej czułości: „Niedobra! tyle razy cię przestrzegałam, abys nigdy nie chodziła środkiem ulicy.

— „Ale moja mammo! kiedy się tak spieszyłam do ciebie! Dobry ten pan powiedział że dzisiaj nie przyjdzie, a któżby ci tutaj podał lekarstwo?

— „W istocie, nie miałem przyjść — odezwał się słodkim głosem nieznanomy — miałem dziś wiele zatrudnienia, wpadłem na chwilę, i muszę już pospieszać.“

To rzekłszy, skłonił się z poszanowaniem

przyjaciółkom i wyszedł; lecz wychodząc, tak nadzwyczajne spojrzenie rzucił na Hedwigę, iż przeniknęło aż do głębi jej duszy: była w tém spojrzeniu proźba, aby nie starała się wykryć kto on jest, a razem niby dziękczynienie za jakąś wyświadczoną łaskę.

Hedwiga jednak z ciekawością i zajęciem wypytywała chorą o nieznanego młodzieńca.

— „Nie potrafię pani powiedzieć, kto on jest... to chyba anioł pocieszyciel, którego Bóg w swoim miłosierdziu zesłał dla mnie z nieba. Postrzegł przed kilkoma miesiącami moją Marysię płaczącą na progu... właśnie wtedy siły moje zwątlone długą pracą ustały; leżałam, pożerana gorączką i nieprzytomna sobie, na tém nędzném łożu... mróz był trzaskący... ja tego nie czułam... lecz biedne moje dziecię od dwóch dni nie jadło i umierało od zimna i głodu. On nas we wszystko zaopatrzył; sprowadził doktora; sam, jak duch opiekuńczy, czuwał nade mną po całych nocach... ach! pani, nie zdołam ci opisać jak wspaniałomyślne,

jak czułe serce ma ten młodzieniec!.... kiedy sam być u nas nie może, każe Maryni przychodzić do siebie, i zawsze mi po kilka złotych przysyła, chociaż, jak się zdaje, sam nie jest bogaty; bo, jak moja Marynia powiada, zawsze go przy małowaniu zastaje.... pewnie to jedyny jego sposób utrzymania, a jeszcze się z nieszczęśliwemi dzieli!... nie, pani, to nie musi być człowiek, chyba aniół z nieba!"

Podczas tego opowiadania, strumień łez toczył się po rozplonionych licach Hedwigi; wzięła dziecię na kolana, i, pieszcząc, spytała gdzie ten dobry pan mieszka?

— „Na tej samej ulicy gdzie mnie panie spotkały, jak się idzie w miasto za trzema złotemi krzyżami, na drugiem pięttrze, w tym domu gdzie są zielono ładne okienniczki; naprzeciwko jest jeszcze większy dom z gankiem, a na tym ganku pełno zawsze prześlicznych kwiatów....”

Hedwiga już teraz była pewna że to jej nieznamy fletnista, i, mocno ściskając rękę Wandy, szepnęła jej zcicha:

„A co! czym się omyliła mówiąc, że

ten co tak gra, musi mieć najczulsze serce i najpiękniejszą duszę?"

Wanda również rozczulona, nie miała serca uśmiechem albo morałem zgromić przyjaciółki.

Hedwiga oddała biednej wdowie wszystko co przy sobie miała. Nie mogąc niczem w téj chwili udarzyć lubą Marynię, odpięła piękną girlandę róż od kapelusza, i przyozdobiła nią płowe włoski dziewczynki, obiecując że na drugi raz przyniesie jej sukienkę i kapelusik.

Uradowana dziewczynka skakała po izbie, całowała Hedwigę, Wandę, matkę; płakała z radości. Potém zatrzymała się nagle — cień myśli zasępił jej pogodną twarzyczkę; potém klasnęła w ręce, podskoczyła radośnie i zawołała: Och! już teraz wiem co zrobię.... jak ten dobry pan tu przyjdzie, co nam tyle rzeczy daje, oddam mu całe moje bogactwo, i tym wieńcem opaszę mu skronie!.... zobaczy że i biedna Marynia wdzięczną być umie: bo choć mnie niezmiernie cieszą te kwiatki, z radością jednak mu je oddam."

Hedwiga schyliła się ucałować Marynię, aby ukryć przed Wandą ukontentowanie jakie jej sprawił ten naiwny pomysł dziecięcia — gdyż przecucie jakiegoś mówiło jej, jak wielką cenę nieznajomy do tego skromnego daru przywiąże — i porzuciła to schronienie ubóstwa, z sercem gwałtownie bijącym, i nawpół z letargu nieczułości przebudzonym. —

Wieczorem, usłyszała jeszcze rzewniejsze tony fletni; ale teraz i odcień szczęścia zdawał się w nich przebijać. We śnie ścigało ją nieodgadnione spojrzenie tajemniczego młodzieńca; we dnie obraz jego jak cień nieodstępny jej towarzyszył.

Odkąd, po swojej słabości, pożegnała się z ziemskim szczęściem, i nie spodziewała się w przekwitłym, jak mówiła, sercu, żywszych kiedykolwiek doznać uczuć; codziennie chodziła, u stopni ołtarza składać swoje cierpienia, i ulgi szukać w pobożności. Wybięrała zawsze poranną porę i uroczystą ciszę posepnej katedry Świętego Jana. Tam, wśród głuchego milczenia i głębokiej samotności, sama, w obliczu Odwiecznego,

mniemała się być bliższą podnóżka jego tronu.

W kilka dni po owym wypadku, weszła jeszcze raniiej jak zwykle pod ciche sklepienie, pustej prawie o tój godzinie, katedry. W kapliczce, przed ołtarzem Matki Boga, gorejąca lampa, nawpół przedziérajac ciemność, fantastyczne cienie rozściełała wokoło. Na stopniach klęczał jakiś mężczyzna, i tak głęboko w modlitwie był pogrążony, iż nie posłyszał lekkich jej kroków, gdy się cicho do kaplicy wsunęła. Światłość lampy padała z góry na twarz jego, i oświecała dziwnie ruchome rysy, na których malowała się walka uczuć najsprzeczniejszych. Raz zdawał się promienić szczęściem, i składać gorące modły dziękczynienia; za chwilę przelotna myśl stawiała mu pewnie jakąś nieprzełamaną zaporę: czoło zasepiał smutek, łza zakręcała się w męzkiem oku, i zdawał się wzywać całej potęgi nieba, na zwalczenie jakiegoś wszechwładnego uczucia. Niekiedy rozpaczne załamywał dłonie, i obłąkany wzrok podnosił ku obrazowi niepokalanej dziewicy; potem zwolna uko-

jony, z pokorą chylił czoło, i zdawał się z anielskim poddaniem przyjmować niezbędny kielich goryczy.

Hedwiga, chociaż tylko zukosa twarz jego widziała, poznała w nim nieznanego dobroczyńcę biędnej wdowy. Niepowściągniony jakowys pociąg współczucia, przykuł jej spojrzenia do ukorzonego młodzieńca. Zgadywała, dzieliła jego cierpienia. Mężkie to i dumne oblicze, tak było szczytne wyrazem anielskiej cierpliwości i poddania się, który po długiej walce ze zwyciężką namiętnością oblał jego rysy! Mniemała widzieć promień z wieńca Serafów okalający blade jego czoło, i w niemém utonęła zachwyceniu.

Powstał młodzieniec, i teraz dopiero postrzegł klęczącą niedaleko siebie Hedwigę. Promień nadziejskiego szczęścia mignął na jego obliczu — jak gdyby niebo wynagradzało mu w tej chwili wszystkie doznane męczarnie — gdy ujrzał łzę perlącą się na spuszczonech rzęsach nieśmiałej dziewczicy. Wzrok ich się napotkał, i dusza przemówiła do duszy. Byłato chwila przelotna

jak błyskawica — wnet twarz jego zwykłą przybrała powagę; smutek przygasił żar spojrzenia; skłonił się z poszanowaniem Hedwidze, i z wolna, jak gdyby niechętnie, wyszedł z kaplicy.

Teraz dopiero Hedwiga mogła się modlić: pierwój podziwienie i ciekawość o władnęły wszystkie jej zmysły. I ona teraz, drżąca i rozrzewniona, błagała nieba o siłę do zwalczania uczucia, które tak nagle, tak gwałtownie ogarnęło jej duszę. Nigdy jej serce tak lubo, tak głęboko nie było wzruszonym. Nieszczęście, wspaniałomyślność, dobroć, pobożność nieznajomego młodzieńca, obudziły w niem struny dotąd nietykalne, które czystą, anielską zabrzmiały miłością, miłością o której marzyła słuchając niegdyś rzewliwych fletni wdzięków; a porównawszy to uczucie do dawniej doznanych, poznała że teraz dopiero kocha prawdziwie, teraz, kiedy inne śluby blizkie zawarcia, i nierozważnie w odrętwieniu serca dane słowo, wzbraniają jej tego! Ukorzyła czoło na kamienną posadzcę przybytku — i ona także wzywała pomocy nieba.

Uspokojona długą modlitwą, lecz smutna, wróciła do domu, a dobra Wanda znowu z boleścią postrzegła, iż gaśnie rumieniec który zaczynał rozkwitać na jej licu; tęschna źrenica znowu łzą zachodzi: lecz szanując cierpienie przyjaciółki, i lękając się rozjątrzyć ranę, nie śmiała wyznania wyzywać.

Hedwiga często odwiedzała chorą wdowę, lecz nigdy nie napotykała u niej nieznanego. Słuchała jego pochwał i błogostawieństw nieszczęśliwej, lecz sama nie śmiała pytać o niego. Nie znachodziła go odtąd nigdy w kaplicy, nie postrzegła nigdy w oknach, których zazdrostki zawsze były szczelnie zamknięte; głos tylko fletu, wieczorem, uwiadomił ją że się tak blisko niej znajduje!

Każdy list Leona, (a często po sobie następowały) stawał się dla niej źródłem nowych udręczeń, malując uczucie którego nie podzielała, którego podzielać nigdy nie mogła: bo dusz ich nie łączyło ogniwo współczułości. Leon z rozkoszą rozwodził się nad upiększeniami, które rozkazał poczynić na jej przyjęcie; a wdzięczność i litość tym

srożej dręczyły serce Hedwigi. Spodziewała się że i on o niej zapomni. W jednym tylko pragnęła żyć sercu— a to serce podobno już innej było oddane!

Wanda, lękając się teraz szczerze o Hedwigę; czując że dla niej wybiła wyroczna chwila: starała się ile możliwości rozrywać jej roztargnienia, wiedząc, że wielkie namiętności są samotne, i, karmiąc się milczeniem i cichemi łzami, tym dzielniej wzrastają, tym głębiej zapuszczają korzenie, i oplatają serce w nierozzerwalne swe węzły. Przemyślna przyjaciółka najrozmaitsze widoki nastroczała jej oczom, i, unikając dwóch miejsc dla niej niebezpiecznych: chaty biednej wdowy i kaplicy katedralnej; tam ją zwykle prowadziła, gdzie się tłum największy zbierał.

Poszły raz obejrzyć na Wystawie sztuk pięknych, pierwsze próby poczynających naszych artystów. Wanda, ożywiona chęcią rozerwania dumań przyjaciółki, puściła wodze bujnej swojej wyobraźni, najdowcipniejsze, najweselsze czyniąc postrzeżenia nad utworami pędzla nasuwającemi się jej pod oczy; i już sowite wynagrodzenie swoich

starań postrzegła w lubym uśmiechu Hedwigi. Nagle zwrócił jej uwagę na siebie niewielki obraz, oświetlony w téj chwili czerwonym promieniem słońca blizkiego zachodu. Krzyknęła mimowolnie z przejęcia i podziwienia: byłato nędzna izbedka, przyćmiona stosami liści nasturcyowych; w głębi liche łóże, a na niem schorzała niewiasta; przy łóžu dwie dziewicze postaci, i luba płowo-włosa dziewczynka, którą jedna z dziewic, także płowo-włosa, różanym uplotem zwieńczała. Cała ta scena była z największą prawdą i naiwnością oddana. Na twarzy matki, radość i dziękczynienie; na twarzy płowej dziewicy, zapłonienie i łzy czułości; w oczkach dziewczynki, pieszczotliwa radość.

Wanda, żałując nierozważnego wykrzyknienia, obróciła się szybko chcąc uprowadzić Hedwigę, w nadziei iż w natłoku nie postrzegła obrazu. Ale jej oczy były także nań zwrócone, i cicha łza perliła na ciemnej rzęsie. Długo, ujawszy się za ręce, stały w milczeniu przed tajemniczym arcydziełem: obiedwie się zrozumiały, lecz uczuć

swoich nie śmiały głośno wyrazić. Napływ nadchodzących zmusił je miejsca ustąpić; i w milczeniu wróciły do domu.

Jakże drżało serce Hedwigi radością, obawą, zgryzotą, gdy wieczorem tajemnicza fletnia zabrzmiała hymnem szczęścia i niedoli!

Nazajutrz, po obiedzie, smutna oblubienica Leona, siedziała z Wandą w samotnym w tej chwili salonie. Gubiły się właśnie w odgadywaniach, ktoby był ów nieznamy, i jakim sposobem potrafił tak dokładnie oddać scenę, która dopiero po wyjściu jego nastąpiła. Nagle drzwi się otworzyły, i ojciec Hedwigi wszedł, trzymając za rękę tajemniczego młodzieńca. Miłośnik sztuk pięknych, ujrzał obraz; poznał w nim córkę, Wandę i małą Marynię, która nieraz przynosiła Hedwidze do domu polne kwiaty w daninie wdzięczności. Domyślił się jej dobrego uczynku, nie odgadując reszty; zachwycony doskonałością pędzla i zadziwiającem podobieństwem, szukał, znalazł nieznanego malarza, i przyprowadził go w tryumfie swojej Hedwidze.

Hedwiga na ten widok niespodziany onie-

miała, zbladła, zapłonęła naprzemian. Nie zważał tego ojciec: z uniesieniem amatora opowiadał córce, jak lubo zdziwiony, poznawszy ją w tym obrazie, pragnął koniecznie go nabyć; jak nieznajomy artysta za żadne pieniądze nie chciał go odstąpić, a potem dowiedziawszy się że jest ojcem wzoru głównej postaci, ofiarował mu go bez żadnego wynagrodzenia. Dodał, iż uprosił pana Adama***, aby raczył zaszczyścić dom jego swoją obecnością, i zająć w ściślejsze stosunki przyjaźni z rodziną, z którą łączyły go już węzły wspaniałomyślnego uczynku; gdyż wczoraj z ust Wandy dowiedział się o wydarzeniu które dało początek temu obrazowi, o tyle, ile ostróżna jej przyjaźń udzielić dozwoliła.

Hedwiga, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, z powagą przyjęła przedstawionego, dziękując za uprzejmość okazaną ojcu, a razem czyniąc delikatny wyrzut, iż wykrył najaw tajemnicę ich wspólnej dobroczynności. Teraz twarz Adama zapłonęła, a oko przesłało ukradkiem milczącą prośbę o przebaczenie.

Wszczęła się ogólna rozmowa. W niej Adam ukazał tyle rozsądku, gruntownej nauki, bogatej wyobraźni, wdzięku i skromności, iż ojciec, zupełnie zniewolony, uściślał go jak dawnego przyjaciela, prosząc aby jak najczęściej dom jego obecnością swoją raczył uszczęśliwiać. Przyjaciółki dowiedziały się, że Adam nie jest artystą i tylko pracuje jako amator; że przed kilkoma miesiącami powrócił z Włoch, i skoro ukończy obrazy przyobiecane przyjaciołom, pospieszy na wieś do matki z upragnieniem na niego oczekującej. Z takowem uszanowaniem, z takowem uwielbieniem mówił o matce, iż dodał jedno ogniwo więcej, do kajdan krępujących już serce nieszczęśliwej narzeczonej stepowego wychowanka.

Wieczorem, flet zadzwonił głośnień hymn wesela; a dziewica ukorzona przed krzyżem, passując się ze śmiertelną walką sprzecznych uczuć, goręcej błagała Odkupiciela o siłę i wytrwanie w danem słowie.

Adam, korzystając z zaproszenia ojca Hedwigi, codziennie po kilka godzin bawił w ich domu. Hedwiga niewymowny powab znaj-

dowała w jego towarzystwie. Rozmowa jego tak była nauczającą, tak się toczyła przyjemnie i poważnie, lubo niewystłowną jakąś nacechowana melancholią; uczucia ich i zdania tak były we wszystkim zgodne; a Hedwiga słuchając go z upojeniem, doznawała jednak przy jego boku tak anielskiej spokojności: iż nieraz sama uwiedziona, brała za cichą przyjaźń, tę miłość czystą, głęboką, ugruntowaną na czci i szacunku, tę miłość, która na tym ciemnym padole jest zakosztowaniem szczęścia błogosławionych. A gdy Wanda, widząc teraz całą głębokość przepaści, w którą się nierozważna pogrąża przyjaciółka, ośmieliła się jej czynić jakowe przedstawienia; Hedwiga zamykała jej usta słodkim pocałunkiem i temi słodko smętnemi wyrazy: „Ach! pozwól spragnionym ustom napoić się tym wytryskiem szczęścia! wszak reszta czary życia pełną będzie dla mnie goryczy, a jednak wychylę ją z wolna aż do dna samego bez szemrania, aby wypokutować za tę błyskawicę niebieskiej rozkoszy, która tak niespodzianie gasnące moje istnienie umiliła.”

Leon donosił nakoniec, że, mimo najgorętszych życzeń pospieszenia do swojej ubóstwionej małżonki, jeszcze przez czas niejaki pozostać musi przy słabej nieco matce, wywdzięczając jej granic nieznające ku sobie przywiązanie. Hedwiga przyjęła tę zwłokę z takim uniesieniem, jak więzień zawieszenie na czas niejaki kary niechybnej śmierci.

Smutne oblicze Adama ożywiło się także promieniem nadziei. Pragnąc jeszcze częstszy wynaleźć pozór widywania Hedwigi, ofiarował się uczyć ją włoskiego języka, który doskonale posiadał. Pieszczone tony tej namiętnej południowej mowy, jeszcze uroczej w ustach jego brzmiały pysznemi pomysły Alfierego, uroczej jeszcze w miłośnych skargach Petrarcki. Wtedy głos jego tak potężnie, tak głęboko przemawiał do duszy! lecz to były jedyne chwile w których mówił o miłości: płomieniała w jego oczach, drżała w głosie; lecz nigdy wyznanie jej, ust jego pełnych poszanowania nie skaziło.

Raz tylko, gdy czytał na proźbę Hedwigi

świeżo wyszłe z druku nowe poezye: głos jego zadrżał gwałtowniej; palająca łza potoczyła się po rozognionym policzku, i książka mu z rąk wypadła, gdy doszedł do tej zwrotki nieszczęśliwego Gustawa:

Zacoś ty dla mnie tyle uwielbiona?

Zacom się z twoim napotkał wejrzeniem?

*Ach! jednam wybrał z tylu dziewcząt grona,
I ta już cudzym przykuta pierścieniem!*

Zwolna podniósł spojrzenie na Hedwigę bladą i drżącą; spotkały się ich oczy, i dusza duszy najskrytsze tajniki wylała. Potem zwolna, spokojnie, smętnie, jak gdyby żałując iż przestąpił granice nieubłaganej powinności, i obraził przedmiot uwielbienia, przemówił w te słowa: „Pani, i ja również jestem nieszczęśliwy jak Gustaw: mam matkę którą czczę, szanuję, chociaż jej surowość mnie zabija: od dzieciństwa przeznaczyła mi małżonkę, niestosowną dla mnie ani wiekiem, ani przymioty. Chciałem być jednak posłusznym rozkazom macierzyńskim; poświęciłem się w samotności sztukom nadobnym; jak wygnaniec błądziłem po dalekich krainach, strzegąc serca jako świętości

nie do mnie już należącój... a jednak... niebianka, wzór doskonałości, o której w burzliwych snach młodzieńczych marzyłem, zniweczyła najmocniejsze moje postanowienia.... Kocham!.... Kocham z taką czcią i poszanowaniem, jak może żaden śmiertelnik jeszcze nie kochał!... Kocham już od roku bez żadnej nadziei... ona nigdy moją być nie może... i ją także obcy pierścień przykuwa!... podwójna, nieprzełamana rozłącza nas zaporą... przysiągłem matce że albo Marya, albo żadna inna żoną moją nie będzie... pozostaje mi tylko milczeć, i umrzeć!.... umrzeć, bo nigdy nie dokażę zwalczyć mojej miłości, a nie przeżyję gniewu matki..."

Byłoto ostatnie ich widzenie się. Leon powrócił bardziej jeszcze jak pierwój zakochany. Nieszczęśliwy Adam nie ukazał się więcej; umilkła fletnia; Hedwiga częściej, żarliwiej przed krzyżem się modliła.

Szumiący Listopad z ostatnich liści огоłacał drzewa, i kirem umierającą powłóczył naturę. Ponure sklepienia katedry Świętego

Jana, jaśniały tysiącem światła, jak mroźna noc zimowa. Błada dziewica w śnieżnej szacie, z mirtowym wiankiem w złotych war-koczach, przyklękła milcząca u podnóżka ołtarza; obok niej czarno-oki młodzieniec, promieniejący naprzemian szczęściem, i blednący jej bladością. Okołał ich świetny orszak rodziny druchów i przyjaciół.

Kaplan połączył dłonie, poświęcone wymówił wyrazy; wieczna przysięga wyszła z ust młodzieńca, ognista, z zapalem i mocą; z ust dziewicy, drżąca, przewlekła, nieśmiała. Podniosła łzami zalane oczy ku obrazowi Zbawiciela, jak gdyby w tej uroczystej chwili wsparcia jego błagając.... Cień mężczyzny uwinionego płaszczem mignął i przepadł w ciemnych głębiach kaplicy... Panna młoda krzyknęła, i padła bez życia na ręce również jak ona bladój druchny.

O północy, wesola muzyka i tańce brzmiały po gmachach; radość napełniała wszystkich serca; nie dzieliła jej tylko ta, dla której brzmiała ta muzyka, rozlegały się te weselne okrzyki... Zimna, blada, nieczuła,

siedziała pomimo chłodu listopadowej nocy, oparłszy palające czoło o lodowate kraty ganku.... Flet tajemniczy, oddawna milczący, rozjawił poraz ostatni uroczyste swoje tony w pogrzebném *requiem*, i umilkł na zawsze.... Wszystko się dla nich skończyło — kamień grobowy zwałił się na dwa serca razem.

Nadomiar cierpień Hedwigi, nie mogła jęj towarzyszyć Wanda: święty obowiązek zatrzymywał ją przy chorej matce. Rozstanie przyjaciółek było rozdziierającym: czuły głęboko obiedwie że się już nie ujrzą na tym świecie, i w ostatnim pocałunku szepnęły zeicha: *do widzenia w lepszym życiu*.

Leon uwiózł w swoje pustynie uwielbioną kochankę; a jednak nie był zupełnie szczęśliwy. Nie domyślał się, że przez czas jego niebytności, serce obudzone w letargu, innemu się oddało; bolał tylko, że miłość tak wielka, co wrzała w jego łonie, nie była zdolną rozplomienić serca Hedwigi; pochlé-

biał sobie jednak, że czas i wytrwałość może cudu tego dokażą.

Hedwiga ujrzała miejsce rozkoszne, w których spodziewała się wlec z większą łatwością ciężar nienawistnego życia; a jednak ciężar ten coraz głębiej przytłaczał jej serce. Uległa, jak starożytna ofiara prowadzona przed ołtarz krwi-łaknących bożyszcz naszych naddziadów, w milczeniu i pokorze wypełniała obowiązki żony i gospodyni, stawiając burzliwym zapędem gniewu i szalonym uniesieniom małżonka, niczem niezachwianą łagodność.

Przechadzać się samotnie wśród gajów szumiących i traw falistych, było jej rozkoszą jedyną, którą tylko przewyższało szczęście pisywania do ukochanej Wandy. Ale te listy upragione dla wiernej przyjaciółki, samę jej boleść tylko przynosiły. W jednym z nich pisała jej Hedwiga: „Jestem jak pasożytna jemiola, żywiąca się sokami opiekuńczego dębu: ażeby żyła, ażeby istniała, musi być połączoną z życiem swego przyjaciela; nie może być przeniesioną, przesażoną; żyć przyzwyczajona w napowietrz-

ných jego konarach, być kołysaną podmuchem rannych wietrzyków, pojona rosą najczystsza niebios; nie przyjmie się w żadnej ziemi; uschnie, umrze. Również i ja czuję że zdala od was żyć nie mogę; dzień za dniem tak mi pada, jak listki zwarzone zadęciem groźnej jesieni.... Czuję że ostatni już się słabo swojej łodyżki trzyma, i niezadługo pospieszy złączyć się z towarzyszami..... Nie płacz mnie, droga Wando! Czyż nie byłam szczęśliwą na tej ziemi? czyż przyjaźń i miłość nie rzuciły na moje życie złoty odblask niebieskich promieni?... Nie płacz! po kilku jeszcze chwilach, które ludzie zowią latami, połączymy się w krainie nieznającej bolesnej rozłąki!"

W skwarny lipcowy poranek, biała postać niewieścia snuła się wśród wąwozów i po urwiskach skał naddnieprowych. Żadna drożyna nie zdawała się dla niej być dosyć stromą, i szła bez przerwy, na los, nie zważając na ciernie raniące jej nogi, odrywające szmaty szalu i zasłony; szła tak spieszenie jak gdyby uciekała przed groźącym nieszczę-

ściem... Byłato Hedwiga uciekająca przed własnym sercem, Hedwiga, która znudzeniem i trudem, mniemała występne bicie jego zatłumić, nie wiedząc że im w głębsze zapuszcza się samotnie, tym głębiej grot zabójczy w ranę swoją zagraża. Szła, tak utopiona w myślach, iż nie postrzegła jak groźne chmury, brzemienne piorunem, cały widok zasunęły; spiekłe tylko usta i pierś ściśniona duszącym nawałnicy oddechem, czuły potrzebę odwilżenia; pięła się na niedostępniejszą jeszcze opokę, gdzie jej się zdawało słyszeć szemranie źródła w dalekiej burzy szumieniu. Szła za jej odgłosem, nie patrząc gdzie ją obłądne kroki niosą... Wytrzymała dniem pierwiej okropną burzę wrzącej miłości Leona; nieczułą teraz była na burzę natury... Już stanęła nad przepaścią; krok jeszcze jeden, a zdruzgotane jej członki stoczyłyby się po najężonych skałach, w głębi których kipiały mętne Dnieprowe wiry.... szeroka błyskawica rozdarła ponurą chmur oponę—piorun wyleciał z trzaskiem, i odłamy opoki runęły w głębokie rzeki ło-

żysko... Hedwiga upadła w tył, zmysłów i
 czucia pozbawiona.

Kilka kropel zimnej wody i łzy ogniste
 zlewające jej lica, powróciły jej czucie i
 przytomność... Ujrzała się pod cieniem zwi-
 słej brzozy; głowa jej spoczywała na pier-
 siach mężczyzny, a pałające jego ręce,
 zimne jej dłonie ścisnęły... Domyślając się
 męża, podniosła na niego spojrzenie wdzię-
 czności... lecz to spojrzenie spotkało się
 z błękitnym, łzami zalanym okiem Adama!...
 Przelotna błyskawica anielskiej szczęśliwo-
 ści, szybka jak myśl, niewysłowiona w ziem-
 skiej mowie, przeszła ich serce, nagradza-
 jąc wszystkie ziemskie cierpienia... Burza
 wrzała w całej wściekłości; huk piorunów i
 ciemność nawałnicy, zdawały się ich od
 świata całego oddzielać... przez chwilę, je-
 dnę tylko chwilę, wolno im było żyć dla
 siebie.... mimowolnie, wspólnym natchnie-
 niem, pierwszy i ostatni raz w życiu, połączy-
 ły się ich usta.... i burza i świat cały zni-
 knęły im z oczu.... Krzyki i tentent nadbie-
 gających kroków, przebudziły ich z rajskiego
 upojenia... Wiatr donosił im imię Hedwigi

rozpacznie powtarzane.... Adam rozpoznał głos Leona... przycisnął po raz ostateczny kochankę do piersi; złożył omdlałą jej głowę na kupie mchu nagromadzonego pod brzozą— i zniknął w zaroślach.

Po chwili nadbiegł Leon: spostrzegł białą postać żony i złote jej warkocze odstrzeliwające od mchu brunatnego... przyskoczył... lecz tylko nieczułe zwłoki przycisnął do łona... dusza Hedwigi uleciała w krainę wieczności....

Pyszny grobowiec wznosi się na bujnej Ukrainie, a u stóp jego nizka mogiła przyjęła zwłoki nieznanego młodzieńca, którego niepokieszony małżonek Hedwigi, domyślając się teraz prawdy, pewnego poranku obok grobowca żony martwym znalazł. — Rozdzielone serca za życia, śpią teraz przynajmniej razem, jedną ziemią wiekuistego spoczynku przysute.

Leon burzliwe swoje namiętności i nieutulone żale pod obce przeniósł nieba, gdzie napróżno spokojności szuka; a wierna Wan-

da niepoczyszona po stracie przyjaciółki, udzieliła mi téj smutnej powieści, którą nieśmiałem skreśliłam piórem, znajdując w niej zbawienną naukę dla nie jednego młodego serca, które płocho dając się powodować pierwszym wrażeniom, nieraz nieszczęściem całego życia niebaczną płochość przypłaca.

Wanda Malecka.



NADZIEIA MATKI.



Painted by C.R.L. von R.A.

Engraved by C. Rollé

THE MOTHER'S HOPE.

DIE HOFFNUNG DER
MUTTER.

L'ESPOIR DE LA
MÈRE.



Madzieja Batki.

(Z RYCINA.)



PRZED wysokiem zwierciadłem stoi młoda, nadobna Celina: zręcznie uktada włosy, przygląda się sobie samej, uśmiecha się do siebie; widać na twarzy wyraz uciechy i niejakię próżności. Już włożyła lekką jak mgła muślinową sukienkę, przepasała się niebieską szarfą, wpięła turkusową szpilkę w kształcie krzyża. Około niej na stoliku, stoją wonie w kryształowych naczyniach; leży naszyjnik z pereł, który ma zawiesić na swęj alabastrowęj szyi. Zapomniała, że, chociaż jeszcze młoda i świeża jak pączek róży, jest

już żoną i matką; myśli jedynie o tym wieczorze, na który się wybiera, o wieczorze gdzie sądzi iż przyćmi swoją pięknnością i powabami inne kobiety; wspomniała o tańcach, o wesołym mazurku, a na samą tę myśl, już jej drobne nóżki pomimo woli podskakują. Wtém gdy tak zajęta strojem i nadzieją zabawy: słyszy z poblizkiego pokoju głośny płacz swego dziecięcia — na ten odgłos wszystko zapomniane; czuje tylko w sobie serce matki: bo serce Celiny jeszcze niezepsute, chwilowo tylko obłąkane. Nie dokończywszy ubioru, wbiega do pokoju dziecięcia, bierze małą Józję na rękę, całuje, pieści: a wkrótce dziecko zapomina o tém co go przywiodło do płaczu; jeszcze ze łzą w oczku uśmiecha się do matki. Długiego czasu trzebaby było piastunce do uspokojenia: jeden uścisk matki dostateczny do tego.

Dziecię szczęśliwe że na rękę matki — skacze, bawi się z jej pięknymi splotami, loki wyciąga małemi paluszkami; w krótce cały strój w nieładzie. Zupełnie Celina zapomniała o wieczorze, o muzyce, tańcach; sadza Józję na dużém krześle, sama przed

nią stoi, i z nią igra wesoło. Dziecię zanosi się od śmiechu; Celina także się śmieje, i śmieje się z serca. Och! śmiechy dziecka jakże miłe! w nich nie niema udanego, przymuszonego; one koniecznie muszą natchnąć wesołością; a któraż je matka nie przeniesie nad najwdzięczniejszą muzykę?

Gdy Celina zajęta tą niewinną zabawą, tak właściwą dla matek: weszła młoda Julia jej przyjaciółka, a spostrzegłszy niedokończony ubiór Celiny, rzekła: „Cóżto, ty jeszcze nieubraną? zapomniałażes żeśmy się umówiły razem jechać na wieczór muzykalny. — „Prawda — odpowie Celina — zapomniałam zupełnie; lecz powiedz sama, któżby nie zapomniał o całym świecie przy tém lubém stworzeniu? Ale co tam do ciebie o tém mówić; ty nie masz dzieci, ty nie wiesz coza rozkosz z niemi się bawić, ich doznawać pieszczot! — „Dobrze to wszystko, ale już czas, spiesz się Celino; twoje włosy jeszcze w nieładzie.“ Celina uściskała dziecko, oddała je w ręce piastunki, i z lekkim westchnieniem chciała się oddalić — wtém dziecina woła: mamó! mamó! — i wyciąga

rączyny. Niezdolna Celina oprzeć się temu słodkiemu wezwaniu, wraca i mówi do Julii: jedź sama, ja zostanę.— „Zkądże ta zmiana? —rzecze Julia—wszakże nie dziś pierwszy raz widzisz Józię; jej tu tak dobrze, będzie się bawić z Basią. — „Prawda, ale widzisz, że jednak lepiej przy mnie: nie pierwszy raz widzę Józię, to prawda, ale pierwszy może raz tak długo z nią się bawiłam, i pierwszy raz uczułam, że te zabawy wystarczyć mogą do mego szczęścia. — „Czyż nie wiesz Celino, że tam wszyscy ciebie się spodziewają; żeś ty duszą wszystkich świetnych towarzystw, ozdobą salonów; bez ciebie wszyscy się nudzą. — „Nudzą! i ja tak myślałam; ale powiedz mi Julio, gdyby się tam dzisiaj niewidziana jeszcze zjawiła osoba, młoda, hoża, wesoła, czyżby i wtenczas o Celinie myślano? o nie— a tutaj dla Józi, któż miłszy, kto powabniejszy? Nikt, nikt mego miejsca tu zastąpić nie może. — „Nie poznaję cię Celino, pomnij że dzisiejszy wieczór, tak ma być świetny: przejeżdżając tamtędy pełno już karet widziałam; salony rżępisto oświetcone; wszakżeto karnawał, grzędchem w domu sie-


dzieć. — „Już postanowiłam: nagle myśl oświeciła mój umysł: już więcej mnie nie ujrzycie na wieczorach, balach, koncertach; nie ujrzycie, chyba obok mojej Józi. Och! jakże wtenczas pyszną będę, gdy Józia, pełna wdzięków młodości, ze mną zawita w te salony; gdy ona płasć będzie wesoło; gdy pochlębny szmer około siebie usłyszę! Natenczas odrodzę się na nowo; druga młodość dla mnie zakwitnie!“

Julia nie mogąc skłonić Celiney do swego żądania, odeszła. Celina znowu powróciła do zabaw z dziecięciem. Nie żałowała tego: ten wieczór tak jej zszedł mile, taką pociechę zostawił w sercu, iż go śmiało liczyć mogła do chwil najmilej spędzonych. Po nim tak błogo! a przyznajmy, że po najhuczniejszej zabawie, zawsze czczość pozostaje w sercu. Wesoło nabawiwszy się, dziecina usnęła na rękę matki: włożyła ją Celina do kolebki; przy niej usiadła, i dumiała słodko.

Jeżeli można zgłębić serce matki; jeżeli można dokładnie wyrazić, co się w niem dzieje, gdy matka wpatruje się w swoje dziecko; pewniebyśmy to wyczytali w sercu Celiney.

Luba dziecińco, będzieszże szczęśliwą w świecie? nie doznaszże tysiąca trosk? Och! ja od ciebie je oddałam, uścielę ci drogę kwiatami, ciernie własną ręką powyrywam; a choć się czasem ukolę, ty mego bólu nie dostrzeżesz: zawsze do ciebie matka mile się uśmiechnie. Teraz jeszcześ mała, lubisz pieśczoły, ale matka ciągle z tobą pieścić się nie może; ma ona wyższe dla ciebie obowiązki. Po wyrzeczeniu się zabaw, dużo czasu mi pozostanie; tego użyję na ukształcenie własne, abym potem dobrze kształcić mogła twój młodociany umysł i serce, abyś znalazła szczęście w sobie samej, jeżeliby cię ominęło na tym zwodniczym świecie, gdzie nieciągle matka za rękę prowadzić cię będzie... przejdiesz z jej rąk w inne!.... Mam nadzieję, że Bóg pobłogosławi moim zamiarom, bo On nigdy nie odmawia swęj opieki, gdy kto jej wzywa w chwalebny zamiarze. Tak, moje dziecię, dla ciebie wyrzekam się wszystkiego, ty mi wszystko sowicie wynagrodzisz; odtąd cała moja *nadzieja* w tej tu kolébce, cała *nadzieja* w szczęściu dziecięcim.

Antonina F.



WYJĄTEK Z POEMATU

POD TYTUŁEM:

POEZJA.

Już ten zyskał gniew bogów na Lucyny rękę,
Czyje ucho nieskłonne do Apolla wdzięku;
Komu nie drży o serce głos czarownej strony,
W grobie żyje, milczeniem nocy otoczony.
Nie zna drogi do serca, obce są mu kraje,
W których skrzętna Bogini błogie sny podaje.
Tamto świat rzeczywisty tysiąc innych rodzi,
Cienie dni młodocianych z uśmiechem wywodzi.
Serce tkliwszém i umysł szlachetniejszym zrobi,
Stworzy wszystko co nie jest, to co jest, ozdobi.
Komu tkliwy świat marzeń czczém jest urojeniem,
Temu zimny świat cały, istota marzeniem.
Lecz i temu Feb próżno z gór nieba się śmieje,
Kogo kochania czysty ogień nie zagrzeje,

Onija go nieznaną każdą rozkosz świata :
 Tak około posągu wiatr z wonią przelata.
 Żyjący czeka życia , a innych swoboda
 Łzy mu z oczu dobywa jak rosę pogoda ;
 Dary serca i duszy , które czuje w sobie ,
 Znikomym są mu darem , jak kwiaty na grobie.
 Temu co żywoczy ogień tchnie w świata przestrzenie ,
 Przysądzili Bogowie i lutnią i pienie ;
 Siedmiobarwym promieniem Feb ziemi dotyka ,
 I siedmiostronnym głosem serca śmiertelnika.
 Wszystko co żyje , kocha , a co kocha , nuci
 Miłości pieniem , a pienie miłością się cuci ;
 Feb miłości zapalem usmiecha się ziemi ,
 Do niej dąży na wozie bramami złotemi ,
 Ona miłosnym tchnieniem szerzy woń w około ,
 Odślania wdzięki swoje , wieńcem mai czoło ;
 Zdobna , wiosennym jego zachwycona okiem ,
 Skrzepłe wody , rozgrzana , żywym puszcza tokiem ,
 Miłością przez tysiączne odzywa się głosy ,
 Rozpuszcza w wonne kręgi rozplecione włosy ,
 Za nim wieczorną dobą łączy po kwiatach roni ,
 Jego rano ze łzami upatruje koni. —
 My śmiertelni ! na łonie kochającej ziemi ,
 Budzim rozkosz i cnotę sercy bijącemi ,
 Przez tę miłość co w czystym czuciu i tęsknocie ,
 Świat cały kochać umie w kochanej istocie ,
 Co w miłości natury kocha Twórcę świata .

Co daleka od nieba , daleka od ziemi ,
 Dumny lot toczy między krainy zimne mi ;
 Nie zna bogów języka , unika prostoty ,
 Nie zna ludzi w słabościach, nie zna ich wśród cnoty .
 Nieuwierzę występkom , cnota mię nie wzruszy ;
 Gdy nie widzę w nich prawdy , nie znam ludzkiej
 duszy.

Zapytaj się Homera , przez jakie on drogi
 Dostał się w serce ludu, i w Olimpu progi ?
 Czemu mię więcej wzrusza Achilles zawzięty ,
 Niż Eneasz pobożny , niżli Godfried święty ?
 Czemu, płacząc na mordy i Troi pożogę,
 Żalę się na Parysa, złorzeczyć nie mogę?
 Czemu iednakim żalem mówi mi do serca
 Pryam żebrząc o zwłoki , i Achill morderca ?
 Jak z cnotami cieniuje słabość bohatera ,
 Tak głos boski z prostotą dzieli wieszczą lira ;
 Ci co chcieli nad ludzkość wznieść rycerzów cnotę,
 Chcieli wraz nad Homera wynieść się prostotę :
Drzymał i boski Homer! znawcy powiedzieli,
 Czuwali , — i snów nigdy Homera nie mieli.
 Zajmiejcie raczěj duszę czarownemi snami,
 Spijcie jak on , by wieki czuwały nad wami.
 Jako Achill spoczywa , nim z Patrokła zgonem,
 Bramy piekła otworzy , wstrząśnie Ilionem,
 Jako Marsem strudzeni śpią w polu rycerze ,
 Nim tysiąc trąb zaryczy , zatrzeszczą puklerze ;

Jak śpi Jowisz na Idzie, zaczęm brew wzruszona
 Wstrząśnię nieba i ziemię , i sam kraj Plutona;
 Śmierć długim skrzydłem duchy nad kocyt pozenie:
 Takim iest sen Homera, takie przebudzenie.
 Po tém poznasz nieprawe Appolina plemię,
 Że zawsze chce się wzbijać i porzucać ziemię;
 Im mierniejszy, tym mniej się miary trzymać umie,
 I ubóstwo umysłu zaraz zdradzi w dumie;
 Dymem Feba zduszony , już się wieszczem głosi ,
 W dymie dysząc , już woła: *gdzie mię Feb unosi?*
 Feb na słońcu od niego! — on przecie, *Mag* nowy,
 Szał udaje, i wróżbę czczemi zbywa słowy ;
 Nie wzniesie myśli mojej, serca nie roztkliwi,
 Sam siebie tylko łudzi , sam się sobie dziwi.
 W nim poznasz co natura , co jest sama sztuka ,
 Że ta czasem obląka , ta zawsze oszuka,
 Gdy jedni , brak zapalucha zastąpić dymem,
 Inni, ubogie słowa drogim kraszają rymem.
 Nie chcę starannych wierszy nikczemnej ramoty,
 Którym jasność ulega, albo wdzięk prostoty,
 W których rymy przez puste chrapowate skały
 Pną się , aby nad sobą wzajem się dumiały.
 Baczne na rzadkość spadku , za nic cenią kroki ,
 Przesuną gracji koło niesfornemi skoki.
 Tylko po drodze myśli, tą matką jedyną,
 Po miłym toku zgłosek niechaj rymy płyną;
 Rymy tęschnych są w polu kochanków obrazem ,

Węzeł miłości z całym ludzkim rodem splata ;
 Taka miłość jest świętą i trwa nieskończenie,
 Taka ci razem natchnie i nadgrodzi pienie,
 Ale bóstwo natchnienia jak bóstwo kochania,
 Do niewinnej prostoty najchętniej się skłania,
 Bogom na ziemi tylko niewinność rozkoszą,
 Dla niej do nas zstępują, i boski dar znoszą.
 W puszczech karyjskich skromność młodego pa-
 sterza


Same surowe bóstwo czystości uderza,
 Na rydwanie księżycą spuszcza się z obłoku,
 Wdzięki wniebie nieznane zważa w śpiącym oku,
 Niewinność ją zachwyca, cudowna jej władza,
 Sny czarowne i lube śpiącemu sprowadza,
 Widzi we śnie boginią, zważa jej urodę,
 Podniosły się westchnieniem jego piersi młode,
 To ją ściga po łąkach, między liczną trzodą,
 To go, w trwodze, jej dłonie do Olimpu wiodą,
 To z obłokiem ucieka w nieścigłym powiewie,
 Jakże miły, gdy o tym że jest miły, nie wie!
 Jak się mile uśmiecha, różą zdoła lica,
 Gdy bóstwem zachwycony, boginię zachwyca !
 Jakże ona zdołniejsza, kiedy zachwycana,
 Widzi wdzięk który wznieca, sama niewidziana.
 Boską dłoń przychylając do rąk śmiertelnika,
 Niecierpliwa całunkiem, budzi go i znika,
 Wraca, i ogień wstydu z swego wozu nieci,

I promieniem miłości dla kochanków świeć.
 Pracą cię do Minerwy przywiedzie świątyni,
 Pluto proźbą wzruszony nachyli ci skrzyni,
 Sam Eol cię przeniesie przez morze wzburzone,
 Jowisz nawet szal boską na twą zważy stronę ;
 Ale Feb i Cytera ślepo zsyła dary ,
 Nie dostąpi ich praca , nie wzruszą ofiary.
 Próżno z łąki Klythya szle ku Niebu oczy,
 Odwraca się co ranek gdzie Febus wóz toczy ;
 Próżne Feba samego za Dafną zapały ,
 Zimne mu tylko laury głowę opasały.
 Niewidzących te bóstwa tajną ręką wznoszą ,
 W serce tylko wstępują , i sercem się głoszą.
 Prostą więc muza w pieniu, skromną bywa w cnocie,
 Po skromności znać cnotę , talent po prostocie ,
 Strój wyszukany darów natury nie nada ,
 Nie szuka cudzych ozdób , kto wdzięki posiada,
 Nie plami szumném pieniem cnoty skromnej
 wszędzie,
 Kto ją zna , kto ją kocha , ten wstyd jej czuć
 będzie.
 Już nie jeden powinność z cnotą kładzie w cenie ,
 I cnotą zowie każde z pyłu otrząśnienie
 Pochwały samej cnoty już jej wartość zmniejszą :
 Jestże zasługą kochać Dafnę najpiękniejszą ?
 Daleką niechaj będzie w dumie zimna sztuka ,
 Co wzoru swych powabów w naturze nie szuka ,

Biegną, i niespodzianie ściskają się razem;
 Każdy widzi że wzaajemszukać się musieli,
 Że ich przymus nie łączy, przemoc nie rozdzieli.
 Uważ, jak luba Dafne, w tańca wdzięcznym toku,
 Czasu nie da pochwale, ani miejsca oku:
 Tu skok wyższy zachwycą, tam ujmują lejszy,
 Wnet mię inny omami, wnet zdziwi piękniejszy.
 Czasem, piękne jest w smutnej muzyce zaniedbanie:
 Któż w smutku zważać zechce jak stąpi, jak stanie?
 Miłą jest gdy pod wierzbą płaczącą usiada,
 Gdy rym, jako łza z oczu zniechęcenia jej spada.

K. Brodz....





ANAKREONTYKI (*)

KUPIDYN W ZIMIE.

Kupidyn w swój podróży
Zwiedził raz nasze kraje ,
Nie było wtedy róży ,
Bez liści stały gaje ;
Snieg tylko w białe szaty
Rolników stroił chaty.
Uziąbł chłopczyna mściwy,
I ręce mu zdrętwiały,
Ani on mógł cięciwy
Natężyć , ani strzały,

(*) W roku 1826 wydałem tłumaczenie pieśni Anakreonta , w którym zachowałem prozodyą temu poecie właściwą , dodając rym bez którego wiersz polski mniej się podoba. Przy tej pracy z greckiego textu podjętej, przejąłem się duchem autora którego pieśni przepolszczyłem, i polubiłem rodzaj jego , do tego stopnia, iż później nuciłem niekiedy anakreontyki polskie, w których usiłowałem zachować prostotę i prozodyą poety: i to są próbki tego usiłowania.

F. Hr. S.....

Z kończana dobydź sobie ;
Lecz gdy mnie z dala zoczył :
„Oj czekaj dam ja tobie “
Zawołał i przyskoczył,
„Twój uśmiech ze mnie szydzi ,
Kupidyn wszystko widzi.
Porывa bryłkę śniegu
I gałkę z niego toczy,
Dościga mnie wnet w biegu
I rzuca mi ją w oczy,
A ja w sercu stroskany,
Miłością poznaj rany.

DO JASKÓŁKI.

Wesoła jaskółeczko,
Jużes i ty przybyła !
Oto masz twe gniazdeczko,
Coś dawniej tu uwiła ;
Jest całe, nieruszone ,
Od fali zasłonię;
Przy tym słomianym dachu
Przemieszkuj bez postrachu.
Gdy ja ten dom przystroję ,
Gdy Chłoc w nim osiedzie ,
Wtenczas nam gniazdko twoje
Stałości wzorem będzie.

KUPIDYN STERNIK.

Płynąłem raz na łodzi ,
 Jeszcze mnie strach przenika:
 I, wśród bystrzej powodzi ,
 Dzieciem miał za sternika.
 Potężne dzierząc wiosło,
 Na wały się srożyło,
 I sił mu coraz rośło
 Im bardziej się spieszyło ,
 Lecz ledwie do wpół drogi
 Przybyło tak zuchwale ,
 Aż tu wiatr z boku srog i
 Przypędził straszną falę :
 Bałwanów widząc boje,
 Żeglować wnet przestaje ,
 Rozpina skrzydła swoje ,
 I w gęste leci gaje.

DO MOTYLA.

Dopieroś był tak hoży ,
 Muskałeś listki , kwiaty ,
 Na każdej byłeś róży,
 W ogródku mojej chaty:
 Cóż ci się zrazu stało ,
 Ześ inną przybrał postać ?
 W pudełkuś zamknął ciało:
 Czyżbyś chciał stałym zostać ?



NIEDŹWIEDNIK,

Gawęda Stara



SNIÉG zasypał drogi, pozawiewał ścieżki na podwórzu przed dworem starego Tadeusza. Choć wiatr zimny poświstywał, i przejmował do kości: łuna z okien domu wskazywała, że w izbach tego domostwa, nie boją się mrozu. Było dzień drugi lutego, dzień uroczysty N. Panny gromnicznej: chociaż dopiero siódma rano uderzyła na zegarze: pozamiatano komnaty, i wykadzono jałowcem. Wizbie, jak zwano „gościnną“,

gdzie na dużym kominie palił się ogień nieustanny, siedział w wielkiem krześle z poręczami, stary Tadeusz; odmawiał paciérze, i w drżących ręku, przesuwiał różaniec. Miał na sobie bekiesz z baranami siwemi podszytą, a buty wielkie futrzane, świadczyły o słabości w nogach. Jakoż bez pomocy już ten starzec poruszyć się nie mógł: najczęściej wnuczka i domownicy, z krzesłem które kółka miało, przesuwali go na miejsce gdzie żądał. Wlecie po ogrodzie obwodzili siedzącego w tém samém krześle, które stanowiło dlań dom i powóz.

Nagle usłyszano głośny dzwonek: stary Tadeusz obrócił ku oknu siwą głowę, gdy wbiegła młoda i dorodna Anna, i z radością zawołała: „Mój dziadku, pan Czesław jedzie.

—„A gdzie moja Jadwisia?—zapytał starzec.

—„Już idę, idę, mój Tadeuszu“—odezwał się głos piskliwy; i weszła wspierając się na lasce małżonka starego Tadeusza. Okryta jupką lisią, w wielkim kornecie; z pod jupki wyglądała spódnica jedwabna, w duże kwiaty; pod nią była druga biała. I ła-

two ją dojrzyć, bo ile razy zapotrzebowano klucza lub szpilki, Jadwiga podnosiła jedwabną spódnicę; pod nią albowiem była kieszeń, i na wstążce nie miała wisiała poduszka, pełna utkanych szpilek. W kieszeni miała okulary, igielnik, klucze potrzebne codziennie, i kilka kawałków cukru, przeznaczone dla kanarków, co w wiszącej u okna siedziały klatce.

— „Moja dziewczeczko, kaź dać śniadanie, bo Czesław przeziął — rzekł stary Tadeusz, obracając się z uśmiechem do żony.

I pokazał się gość oczekiwany: w sieni rzucił wilczurę, a wszedł w lisiurce; wysoki, kształtnej postaci, bladego lica, oczy niebieskie, wypukłe; pełne ognia i życia, malowały młodzieńczą duszę, chociaż twarz starsze wskazywała lata.

Z uszanowaniem powitał starego Tadeusza i Jadwigę; skłonił się Annie: stary wyciągnął rękę na powitanie Czesława, a młoda Anna oddała ukłon z upieczonym rakiem.

— „Jak się waszeć miéwa? — ściskając rękę Czesława zapytał stary.

— „Zdrowo — odrzekł — tylko za zimno.

— „Co waszeć gadasz? w twoich latach w parciankach latałem, i boso, po śniegu, a niekurczyłem się wcale.

— „Może dawniej nie tak zimno bywało?

— „A do diaska! — zawołał z poruszeniem starzec — nieraz marzło pod nosem, aż trzeba było wasy z zamrozu oskrobywać, ale była w nas krew, a u was nibyto młodych, to woda chyba, że za byle mrozek, to zaraz w palec chuchacie!

Uśmiechnął się Czesław na zapał starego, który go unosił zawsze, gdy o młodych latach wspominał. — „Bydź to może — odrzekł — albo strach dodał więcęć zimna.

— „Jaki strach? — zapytał z podziwem.

— „A boto widzi chorąży (tak bowiem Tadeusza zwali sąsiedzi) widziałem niemało wilków, i ledwim się im wymknał.

— „Co waszeć gada? a to co innego! z temi bestyami niema żartu. Ja sam mało nie zginałem: ale posił się waszeć, a po śniadaniu powiem o Niedźwiedniku dykteryjkę.“

Czesław ciekawy usiadł naprzeciw starca, a Chorąży pomuskawszy czupryny, zaczął gawędę.

„Żył przed 50 laty szlachcic zwany Niedźwiednik: był to jego przydomek do nadzwyczajnej siły, gdy każdego przełomał niedźwiedzia, z którym się spotkał: właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nieukazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe; ręka niewielka ale żyłasta; twarz wesola i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kaptę, i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, niewiele różniącym się od chałupy wieśniaka; mały ogród, i jeden zagon 12 łokci szeroki a do 100 sążni długi, były całym dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje, na *grubego* zwierza, co nie były tak puste jako dzisiaj, kiedy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia, i łosia. A przecie kaftan mam łosi, i skór zkilka na posłanie z łosiów, co ich sam powaliłem przed 40 laty. Gdzież dziś to zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom:

nie strzelił on do zająca, ani lisa; każdego ptaka omijał: lecz zato w obszerniej puszczy nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom, i wilkom. Ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał, *kija*. Kij ten byłato pałka jak dwie ręce gruba; u góry zaokrąglona naksztalt buławy: nagłówek ten był nasadzony trojkątnemi goździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do *Dąbrowy*, pchnął go najprzód dzirytem a potem za jednem uderzeniem pałką, rozciągnął go u nóg swoich. Wtedy z radością, uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho; dobywał myśliwskiego noża, i nie tylko że odcinał, po zdjęciu skóry; łapy niedźwiedziowi, (ulubiony przysmak na wiel-

kich stołach,) ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi *delicyami* nazywał.

Sąsiedni kmiecie często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnej sile, zawsze mówili:

Niedziwota, musi być mocny jak „niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami „z niedźwiedzi.“

Mimo to wszakże, nie mogli pojąć jak człowiek taki może być zdrow i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa. Napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda.

Nie pogardzał i futrem z lisa; ale na nie umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowej porze kiedy najlepsze skóry, nietylko że corocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra, zbierał niemal grosiwa.

Mówiono potajemnie że ma dużo pieniędzy zakopanych; i musiał ich mieć wiele, bo o nie nikogo nie prosił.

Samotny, bezżenny: łowy były dlań rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny, i sad pełen smacznego owocu,

dostarczały mu dosyć żywności przy obfitej zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszeki, jabłka: wdzierałem się nieraz na drzewa, i strząsałem owoc, a Niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka. W obszernej izbie łoże było zasłane wilczymi i niedźwiedzimi skórami; inne rozesłane na ziemi; tu spały cztery ogromne kundły, wyżeł, a na wysokim berle siedział uczony jastrząb, którego używał na ptaki i zające.

Na cały nasz powiat Niedźwiednik był osobliwością; a trzeba waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach, i dobrych myśliwych: wszakże wszyscy przy nim gaśli. Niedosyć że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie — ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić; a zawsze to czynił, na kolendę, i przed wielkanocą — przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przytém pobożny i uczciwy człowiek. Chłoptwo oskarżało go o czary, że ma związki z djabłem; lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Mój ojciec świętej pamięci mieszkał o szesć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym *kuliku*, z dziatwą zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka, i dwie dorosłe panny siostry; ojciec przy woznicy sam powoził. W ostatni wtorek, podochocony wracał z nami wieczorem — a jechał żwawo, żeby doma na *popielec* stanąć. Za dużym lasem — pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świeciłci i księżyc w pełni: tak widno było, że szeląg znaleźć można. Nagle konie poczęły parskać, a nieboszczyk mój ojciec, wiedząc co się święci, świsnął — i jak wiatr posunęły na ślizgin śniegu sanie.

Wilków stado zabiegało nam z boku: skręcił końmi w inną stronę, i na nieszczęście w rowie wyrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony, zawołał podniósłszy sanie: *prędzej do sani! bo jeżeli nie ucieknem, zginiemy na zawsze.* Matka i panny siostry, usiadły prędko: ruszył co koń wyskoczy — a ja zagrzebany

w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę; widziałem jak za ojcem pędzą wilcy, z przestachu przysiadłem — sen mnie zmorzył, i zmarłem.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika: nacięrał mi twarz śniegiem: cztery ogromne kundle stały obok niego, a dalej, jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył że żyję, zaniósł do sanek, i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mię w cieplej izbie; rozebrał do naga, i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął w skórę wilczą, i położył na swoim łożu. W kilka dni już zdrowy byłem: a Niedźwiednik dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi, i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty.

Pan ojciec, dopiero za powrotem do domu, zobaczył że syna stracił. Matka w saniach, i panny siostry bez pamięci, ze strachu, nawet wysieść nie mogły: w całym

dworze powstał lament i płacz wielki—porozsyłano czeladź, ale szukano napróżno.

Sklonił się ojcu, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnej izby: tam mu powiedział, jak mię uratował, i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział jak dziękować; płakał z radości, i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i siostry zapłakane siedziały. Ojciec kazał jednej pobiedz do piwnicy po węgryzna, a sam rzekł do matki mojej: no! dziewczeczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszu.

— „Żyje! — zawołała :

— „Nietylko żyje, ale przyjechał:— i zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a niedźwiednik płakał—i wszyscy.

Kiedy chciał węgryznem ojciec częstować, podziękował za wino, i żadnego daru nieprzyjął—wyjawszy strzelbę jako pamiątkę.

Jeżeli wielmożny chorąży — powiedział ojcu— chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika, (bo i samsię tak z chlubą nazywał), często pan Tadeusz nawiedza.

Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselą starego myśliwca.

Niedługo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągać lisy z samołówki.

Od tego czasu, zawsze co miesiąc, na cały do niego tydzień wyjeżdżałem: on mię wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby — mówił stary — że po nim w naszej ziemi jak myśliwy rej wodziłem, a nie miałem jak szesnasty roczek.

Często spraszał mój ojciec przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie dwie knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź, i szkody nie mało nam robił. Trzeba było go sprzątnąć: wiele sąsiadów myśliwych zebrało się razem; był i Niedźwiednik: stałem blisko niego i mojego ojca. Prędko go psy poruszyły, pokaléczył kilku, i wypadł na drogę kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę. Ku tej więc stronie rzucił się wściekły: przypuścił go może na cztery kroki, i wtedy podniósł jeszcze *dekel*, spojrzął czy dobra nasypka; zmierzył, a z połyskiem powalił się nie-

dźwiedź, ale tak blisko, że musiał uskoczyć, boby go przygniótł ogromem swoim.

Wesołe okrzyki rozległy się po lesie — a zwycięzca oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń, i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mego ojca; pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem, i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie. „No: mój „Tadeuszu, trzeba coś grubszego panu „ojcu zawieźć: pojutrze imieniny; jutro ze „świtem, złapiemy dzika żywego, i tak zdro- „wego zawieziem, jak te kuropatwy co je „wybraliśmy po jastrzębiu z pod rozjazdu.“

Serce biło mi z radości; jeszcze bowiem nie widziałem, jakto można wziąć żywego dzika w kniei. Małoco spałem; przed świtem już byłem na nogach, ubrany. Niedźwiednik wziął cztery kundły, zarzucił strzelbę, i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilkę, usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potem słychać jeno było ciche

warczenie. Poekoczyłem — patrzę, i widzę jak na małej łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się Niedźwiednik: leciał prędko; widać że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika, i sznurem surowcowym co go miał za pasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niemię przednie pod kolanami racice, poza żyły także sam sznur przeciągnął i silnie związał. A ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł — Wtedy stanąwszy nad nim, rzekł do mnie:

— Tadeuszk, przy trzech brzozech stoi fura, sprowadźcie ją tutaj; ruszemy do dworu pana ojca, z podarunkiem myśliwskim. —

Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędziliśmy konie; stanęliśmy przed wieczorem: ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zający, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dzika, u lipy co stała na środku

obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował, i prosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowcy.

Już wiele było gości; wszyscy zdjęci ciekawością wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika co obchodził wkoło lipę! Ojciec mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego pubara, dzielnego myśliwca, i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście; a gdy dzika powalili na ziemię — trąbki myśliwych ogłosiły koniec tej uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce, i nosili po całym podwórzu, śpiewając owę sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą,

A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości — przy wieczerzy posadzono go na starszém miejscu; a co niepił nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn.

We dwa miesiące, już płakałem nad jego grobem! — Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz.

Jak żył, tak i skończył — nie umarł zwyczajną śmiercią.

Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się i Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem: kij ten czternastu już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska, wypadła rozżarta — wtedy wysunął się z za drzewa, i ugodził ostrym dziirytem — ale ten się osunął po kości: już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. — Blisko stojąc, usłyszałem jęk cichy, i chrzęst łamanych kości. — Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa od razu; ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany. — Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcej oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko: a ś. p. mój pan ojciec, wystawił piękny dlań nagrobek z kamienia w tém miejscu gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć: jak upada pod zajadłym niedźwiedziem!

K. Wl. W.



SZCZEGÓŁY

O ZABIEGACH CZYNIONYCH

W ROKU 1687 W BERLINIE,

CCELEM UZYSKANIA RĘKI KSIĘŻNICZKI RADZIWIŁÓWNEJ,
DLA KSIĘCIA JAKÓBA SOBIESKIEGO; I O JĘJ
ZAMEŹCIU Z KSIĘCIEM PALATYNEM NEJBURSKIM.

Rzecz wyjęta z współczesnego rękopisma.

Z BIBLIOTEKI WILLANOWSKIEJ.

GDY r. 1687 dnia 7 kwietnia, Ludwik margrabia brandeburski, w skutku zadanej trucizny, bezpotomnie umarł: radzono pozostałej po nim wdowie, z domu książąt Radziwiłłów, (*) aby, tak dla młodego wieku

(*) Bogusław książę Radziwiłł znakomity wojownik za Jana Kazimierza, był ostatnim

jako i dla innych względów, powtórny związek małżeński zawarła. W tym właśnie czasie zaczął się starać o jej rękę, potajemnie, przez przyjaciół swoich księżę palatyn Karól Filip. Margrabina, mile przyjąwszy oświadczenia sobie w tym względzie uczynione, zezwoliła wkrótce na wymianę portretów.

z linii Radziwiłłowskiej piszącej się na Bierzach i Dubinkach. Żona jego Anna była córką brata stryjecznego księcia Janusza Radziwiłła. Bogusław zostawił z niej córkę Ludwikę Karolinę, która pierwszym ślubem została żoną Ludwika margrabi brandeburskiego, a po śmierci przez zadaną truciznę, poszła za Karola księcia Nejburskiego. Na tę to Radziwiłłównę spadł ogromny majątek, była ona dziedziczką Słucka, Kopyłu, Bierzy i Dubinek. Księżę Jakób Sobieski stosownie do życzeń matki swojej Maryi Kazimiry, starał się o jej rękę [wtedy właśnie gdy potajemnie z księciem Nejburskim już była zaręczoną. Następujące pisma wyjaśniają, jakim sposobem się stało, że ten zamiar do skutku nie przyszedł.

Przypisek Tłómacza.

Sprawa ta dziewosłabowa dopełnioną została przez niejakiego Piccionarda, który z rozkazu elektora brandeburskiego więziony był czas pewny w Królewcu, a potem z kraju wypędzony; co się aż nadto rozgłosiło w skutku badań sądowych, tudzież przez śmierć hrabiego Lehenda, wielkiego burgrabiego Pruss i barona Truchses, gubernatora Piławy. Ztąd nawet zaszło nieporozumienie między błogosławionej pamięci Elektorem a księciem Anhalt, który, lubo niesłusznie, posadzony został o doręczenie zwyż wspomnionego portretu Margrabinie. Jakimkolwiek sposobem ten portret rąk Margrabinie doszedł, to pewna, że pismo do niego dołączone, w tak korzystnym świetle zalety pomienionego księcia i jego cnoty przedstawiało, iż Margrabina okazała chęć poznania się z nim osobiście, i że zezwoliła na przyjazd jego do Berlina; nadto dała to szczególne zapewnienie, że się jej podobał, i że chce połączyć się z nim ślubami małżeńskimi. Według tych i tym podobnych często powtarzanych oświadczeń, uważano tę rzecz prawie za skończoną;

zwłaszcza że ksiązę Nejburski, pod względem urody, zasług i wysokiego urodzenia, nie wielu miał sobie równych; dla tego o tém już myślano jedynie, jakimby sposobem rzecz całą najlepiej do pożądanego końca doprowadzić. Główną bowiem trudnością w téj mierze, była różność wiary księcia, jako téż wyobrażenia i zdania zupełnie z duchem czasu niezgodne.

Podczas ksiązę Jakób Sobieski, za pośrednictwem jednego hugenota francuzskiego, pułkownika Fariol, który się był niegdyś połączył z rokoszonami Tekielego, i potém, z rozkazu księcia Lotaryngskiego, był schwytny i więziony; jakoteż za pośrednictwem królewskiego sekretarza Tousin, obudwóch wygnańców, do Berlina niespodzianie pod obcém nazwiskiem przybył, i udał się za osobę znakomitą z Francyi pochodzącą. Stał on u posła francuzkiego Gravelle, i, tak przez niego jako i przez Bielińskiego, starostę malborskiego, nakłoniony został do tego, iż bez poprzedniego zawiadomienia lub powitania ani Margrabiny, ani Elektora, o północy do pa-

łacu tegoż księcia wszedł, i za pomocą przekupionej pokojówki Margrabiny, nazwiskiem Domicelli, a rodem Polki, do sypialnego pokoju tej pani doprowadzony został; gdy ona jeszcze według zwyczaju swego na spoczynek się jeszcze nie była udała. Choć w czasie tych jako i innych odwiedzin Margrabiny, dwory: francuzki i polski wszelkich środków używały, aby zamierzone już małżeństwo księcia Nejburskiego zniweczyć, i tracącego niekiedy odwagę księcia Jakóba, w wytrwałości utrzymać; Margrabina wszelakoż jemu, jako i całemu dworowi brandeburskiemu, najstalej przeciwną była, i nawet trzem radzcom w tej sprawie do siebie wyprawionym, wręcz odpowiedziała: że ani dworskich zwyczajnych przedślubnych obrzędów, ani żadnych oświadczeń zalotnych od nikogo przyjmować nie chce.

Wśród tych starań księcia Jakóba, przybył książę palatyn Karól Filip do Berlina, i, jako powinowaty, uprzejmie od Elektora przyjęty, w jego pałacu stanął, i sprawę swoją już tak daleko posunioną, dalej popierał, i w obec całego dworu i dwóch przeciwnych

sobie posłów, nie ukradkiem, nie przez podstęp, jak niektórzy złośliwi ludzie rozgłaszać chcieli; lecz jawnie i otwarcie Margrabinie się zalecał, i tak dalece jej się podobał, że wkrótce pożądaną a przychylną sobie, ostateczną jej odpowiedź otrzymał.

Wtém rozeszła się wieść, później istotnie sprawdzona, że pojazd bardzo podejrzany, od dwudziestu czterech godzin, dniem i nocą założone konie mający, razem z księdzem z klasztoru Paradyńskiego, o dwie mile od Berlina, w pogotowiu znajduje się. Inne także, które tu przemilczamy, rozporządzenia widocznie okazywały, że miano zamiary porwania Margrabin; dlatego przyspieszony został jej ślub z księciem Nejburskim, który niebawem dany im był za obrębem pałacu elektorskiego, przez katolickiego księdza.

(Dalej, są w piśmie, z którego tłómaczone wyjątki przytaczamy, spostrzeżenia nad przyczynami niepowiedzenia się zamiarów księcia Jakóba; przy czém czyniony mu jest zarzut, iż niedosyć jawnie w całej tej okoliczności postępował; że pod obcym nazwiskiem, nie

jak na syna króleskiego wypadalo, w Berlinie bawil, i że się nie zniósł otwarcié z posłem cesarsko - austryackim, który powodowany względami na ściśle związki księcia z Dworem któremu służył, mógł być użyć środków wielu, aby przyjazdowi do Berlina księcia Nejburskiego przeszkodzić. Nakoniec jest następująca wzmianka o piśmienném zaręczeniu, jakie Margrabina na stronę księcia Jakóba dać miała).

„Że zaś Margrabina, tak przez nadzieję korony króleskiej, jako przez bojaźń konfiskaty dóbr swoich w Polsce, i przyszłego ubóstwa, na stronę księcia Jakóba, i do położenia podpisu nakłonioną była: to tak z zasad prawa powszechnego, jako i polskiego, zostać się nie mogło, bo wszystko obcą ręką, bez świadków, stylem nieurzędowym, i tak nakoniec zostało spisane, że samo to pismo podejście wykrywa. Gdyby nawet takie pismo prawo-mocném było, miał książę palatyn w aktach zaręczyn swoich ważniejsze dowody, przez zawarte małżeńskie śluby dostatecznie ustalone. Powoływała się jeszcze Margrabina na samego Bielińskiego, którego

ciągle od początku aż do końca zapewniała, iż Królewicza nie kocha; że bez zapewnienia króleskiej korony, w żadne układy wchodzić nie chce, choćby nawet jakimkolwiek sposobem ją podejść usiłowano; i że w tym razie, wołałaby, raczój oddać się rozpaczy i zginąć; za prawdę zaś tego powoływania się swojego, nietylko przysięgę złożyć, ale nawet umrzeć była gotowa.

Fr. Hr. S.....





WYJĄTEK

Z LISTÓW PISANYCH Z PODRÓŻY

ODBYTÉJ W LATACH. 1830,

1831, 1832 i 1833.



ZWARTEGO dnia pobytu w Salzburgu, o świecie, budzi nas ucieszny ów towarzysz, Francuz. Dalej w Alpy! do żup solnych! do wodospadu Schwarzbach! Wyruszamy. Długą śród pasm gór doliną ciągnie się droga ponad Salzachem. Cóżtoza ziemia błogosławiona! Coza łąk bujność! coza wonność roślin, takim tylko podgórzom właściwych! Jakże błogie wieść musi życie kmiotek, w tak schludnych i, w swoim rodzaju wymyślnych nawet, domkach mieszkający! Owdzie, jakże dalece trwałości tych wiszą-

cych opok zaufali ci, coto, godne otworzyszego miejsca miasteczko, niby wznadrzu skał ukryli! Patrząc na dziwy, jakie tu ziemia przedstawia, nie okiem naturalisty, wzdrygnąć się trzeba na widok wyraźnego gwałtu, jakiego jej ciało doświadczyło. Przepaściste parowy, sąto niby rany z rozszarpania pozostałe; miejscami już się one zbliżniły, i barwą zagojenia, cienistemi gajami pokryły; miejscami atoli świeże pozostało kaléctwo, a krwawa czerwoność łóżysk marmurowych, odbijająca żywo od zieleniny drzew i muraw dolnych, oraz najczystszej białości śniegów wierzebołkowych, zdaje się być ściekającą posoką. Ale widzę, że zamiast powabnego obrazu tych przemawiających do duszy okolic, uczynił je wstrętnemi. Odwołuję tę potwarz, której się nie chcący piórem dopuściłem, wyznając z innemi, niezdolność opisania uroku takich krain.— Wstępujemy w miasteczku *Hallein* do gospody, pełnej bankietujących Tyrolczyków; dają nam do szyb solnych przewodnika. Przybywają dwaj jeszcze ciekawi, w których poznajemy młodego magnata

z Moskwy M... i jego mentora Ob..... z Petersburga. Pośpieszamy ochoczo krętymi ścieżki, nie bez wzdychania jednak do górnych śniegów, dla dojmującego nam skwaru. Stanąwszy w domu strażnika kopalni, zmieniamy suknie nasze na odzież górniczą, t. j. z grubego płótna kurtkę i spodnie, okrągły fartuch skórzany, nie z przodu, lecz ku siedzeniu na nim przypięty, i grubą na rękę prawą rękawicę. Kilku górników z kagańcami wprowadza nas wąską szyją do łona góry. Po półgodzinném dążeniu ciasnymi korytarzami, przez pokłady marmuru, gipsu, kamienia solnego i t. d. staje się u studni, do której dziwnym sposobem spuścić się potrzeba, by się dostać do galeryi niższego piętra. Studnia ta, wykuta ukośnie, zawiera drabinę, po której wszakże nie stąpa się, lecz usiadłszy, a raczej ległszy wznak na krągłych, bardzo wygładzonych jej ramionach, i ująwszy linę ręką prawą, sposobem dzieci zjeżdżających na snopkach, spada się w głąb' na sążni kilkadziesiąt. W niższém piętrze znowu chodniki, galerye i podobna czołgawica. Ten sposób

spuszczania się, zrazu nas niedoświadczonych zastraszył; ale, po kilkunastu sążniach drogi, wpadliśmy w pustotę dziecinną, do której najwięcej dawał nam pochop Francuz o kark swój lękliwy. W końcu jednej galerii drugiego piętra dolnego, znajdujemy się jakby u wejścia na rozległy rynek okrągły jakiegoś miasta, w porze nocnej latarniami oświetlony. Byłato ogromna jaskinia, w opoce solnej wykuta, zamykająca podziemne jezioro wody słonej, dosyć głębokie. Przeprowadzić się przez nie trzeba promikiem. Czarodziejskie było widowisko owego kręgu światła umieszczonych na przestronnym obwodzie grotu, a jeszcze bardziej owego sklepienia, gęsto kryształkami soli kameryzowanego. Po ćwierćgodzinnej przeprowie, i obejrzeniu składu różnych zabytków natury i sztuki: muszli, roślin, szczątków zwierzęcych, tudzież kawałków sprzętów i narzędzi, metalowych, drewnianych, i t. d. z niepamiętnych czasów, w soli znalezionych: znowuśmy się podobną dwóm pierwszym studnią do głębszego piętra zemknęli. Trzy te przejażdżki wynoszą

180 sążni. Nikt się nie spodziewał, aby jeszcze innego rodzaju poczta na nas czekała. U wejścia do korytarza wąskiego — bo ledwo na 1 i pół łokcia, a niewyższego nad wzrost człowieka mierny — znajdujemy długą ławkę na kołach. Gdyśmy się na niej, jak na koniu, jeden przed drugim umieścili, popychani przez dwóch górników po pochyłej drodze, chyżo lecieliśmy w głąb tej ciemnicy. Wkrótce zabłysła przed nami gwiazda, która w miarę zbliżania się do niej coraz rosnąc, przybrała postać księżycyca w nowiu; ten zaś, zwiększając się coraz, z wielkiem naszym zadziwieniem przemienił się w żywy blask dzienny, wpadający przez drzwi wyprowadzające z kopalni. Tak więc ujechawszy przeszło 3000 łokci przez masę marmuru, wyszliśmy z tamtego świata o pół mili od miejsca doń wstąpienia. Miła drogi, i godzina już piąta z południa, nagliły nas do pośpiechu, dla oglądania sławnej kaskady naturalnej. W *Kuchel* miasteczku o pół godziny drogi od kaskady odległym, bierzemy przewodnika. Przez kręt ścieżki, po skałach lasem świrkowym

okrytych, zapuszczamy się w głęboki parów, między wyniosłemi o czołach śnieżystych górami. Przy najczystszej za nami pogodzie, widzimy nad sobą rozwijający się kłębek czarnej chmury. Radzi wrócić się: przewodnik, blizką przewidując ulowę; przekłada, iż przy spóźnionej dobie nie będziemy widzieli najpiękniejszej ozdoby wodospadu: dwóch tęcz, wieńczących go tylko do południa. Nie zgadzamy się odwlekać do następnego rana zaczętej raz drogi; drapiemy się zygzagowatemi ścieżkami coraz wyżej. Nikną nam z oczu lodowate gór szczyty; gruba chmura już zajęła tę strefę. Cokrok bardziej huk się wzmacnia: jestto niedaleka już kaskada. Na kilkadziesiąt łokci niżej widzimy pędzącą od tego upustu wodę. Błyska już, ale grzmotu chmury nie słyszymy, zagłuszani ciągłym grzmotem katarakty. Owóż jesteśmy już na pierwszym cyplu, z kądem, że tak powiem, ostatni akt widowiska uderza: sęto rozbijające się po nastęrczonych skałach i wywróconych jodłach nurty wodospadu. Spieszmy wyżej, do aktu drugiego. Cóżtoza olbrzymia


opona muślinowa, szerokości do 15 łokci, długości przeszło 50?— Kaskada!— Cała przestrzeń w której stoimy, jest pyłkiem wodnym wypełniona, i onto właśnie stanowi materiał owych tęcz, rozwiniętych tu przy słońcu zrana. Ale teraz, dla mnie i naszego Francuza, równie zatrwożonych burzą, uroczytsze niż przy pogodzie i jasnym dniu widowisko. Przy jarzącém świetle błyskawic, drżymy, i z uniesienia, patrząc na wspaniały przed nami obraz, i z trwogi o siebie. Cóż czynić? trzeba się już na wszystko odważyć. Przejdźmy nad kaskadę, czyli do pierwszego aktu tego spektaklu! Boki dwóch gór, ściskających wodospad, połączyła natura mostem z jednój skały, pod który wpada woda, z pieczar środkowój góry wypływająca, a następnie łamiąc się w przepaść, rozwija owę przepyszną oponę.— Trzeba się jednak rozstać z tym przybytkiem czarów, stojącym się teraz istną jamą Frajszyca, przy coraz częstszych wybuchach elektrycznych. Trzeba szukać od wszczynającój się uléwy przytułku. Wpobliżu mieszka strzelec. Spiesz-

my, ile nam pozwalały niebezpieczne ścieżki, gęstwina lasu, i lęklivość od uderzających naokoło piorunów. Stajemy u drzwi góralskiego domku. Wchodzimy do izby ciemnej. *Gomonią* w niej ludzie, i brzęczy cytra. Prosimy o gościnność, nim przeminie burza. Rozświecają kaganiec. Co za miły widok! Ojciec rodziny, matka, dwóch jak jelonki synów, i trzy córki, z których jedna jeszcze na ręku. Jakże serdeczne znaleźliśmy tu przyjęcie! Radość tych ludzi że mogą nam usłużyć, żywo nas rozczuliła. W drugiej izbie, mającej ściany ozdobione głowami jeleni i kóz skalnych (giemz), jako trofeami strzeleckimi, z napisami pod każdą: kiedy, gdzie, i przez kogo zdobyta: zastawują stół przednią wieczerzą, z pstrągów i séra; biesiadujemy z pocziwami naszymi gospodarzami, nie pomnąc na pioruny i nawałnicę na dworze. Po zabawnych dysputach o świecie za górami, po naigraniu się z dziećmi, którym wszystko, co w nas widziały, było zadziwiającem; nacieszywszy się lubą poufalością i szczérością, alpejskich krain mieszkańcom, wrodzoną: wypoczęliśmy

na aromatyczném sianie do godziny drugiej po północy; i gdy trzej inni strzelcy nadeszli z ubitemi dwiema giemzami, puściliśmy się do Kuchel, aby ztamtąd powrócić do Salzburga. Tkliwe było nasze pożegnanie z temi ludźmi; dwaj chłopcy nie chcieli nas odstąpić, i aż do miasteczka przeprowadzali; a gdyśmy im dali monetę srebrną na rozstaniu, musieli wszystkie jelenie i giemzy wypłoszyć z swojej okolicy: z takimi wracali do domu okrzykami radości.

N. A. K.





BEKFARK.

Do ozdoby dworu Zygmunta Starego należał Bekfark, (inaczej piszą Bekwark) sławny muzyk na lutni. Byłto osobliwszy talent w swoim zawodzie: dostąpił też zaszczytu niemałego, bo imię jego w przysłowiacz krajowych, dwa zgorą wieki przetrwało.

Nie każdy weźmie po Bekfarku lutni.

Takie powstało po jego zgonie przysłowie, które S. Rysiński w swoim zbiorze zachował (a).

Krzysztof Falibogowski, następną nam wiadomość o nim podaje (b).

(a) Przypowieść 1619 roku

(b) Discurs marnotrawstwa i zbytku Korony

„Przydam o onym sławnym lutniście Bekfarku, o którym jest ona przymówka: „*Nie bierz po Bekfarku lutniej*. Ten miał „tęż swój taki obyczaj: nigdy, kiedy „go proszono aby swęj muzyki wdzięcz- „nością, ludzi rozweselił, nie był chętny. „Mieli nań jednak ten fortel: wziął kto lu- „tnią w rękę, i grał co umiał, aby Bekfarka „drażnił: czego on słuchając, i zżymając „się, jako dobry muzyk, iż niedosyć czynił „owemu, lutnią wziął z ręki, abo swoję po- „dać kazał; dosyć ludzkiej wtedy dopiero „chęci uczynił.“

On lutnią rozweselał smętne godziny Zygmunta Starego; a Bona zwała go swoim Amfionem. Z lutnią też w ręku umarł.

Wśród dnia gorącego, w południowój dobie, w swojój komnacie przygrywał na lutni, i śpiewał. Nagle głos jego ustał; nieskończył zaczętej pieśni, bo zamarły słowa w osiniałych ustach, a lutnia jego pićrw-

skiej przez Krzysztofa Fra: zka Falibogowskiego.
Drukowano bm: 1625 v: 4to.

szy raz niesforne wydawszy tony, z martwych wypadła ręku (c). Tak skończył ten wielki muzyk, podziw współczesnych, śmiercią zaiste łabędzią, bo w konaniu, uczucia serca wierniej powierzywszy lutni, zamarł śpiwając.

Jan Kochanowski pamiętkę jego we Fraszkach zachował.

*„By lutnia mówić umiała,
„Takby nam w głos powiedziała:
„Wszyscy insi w dudy grajcie,
„Mnie Bekfarkowi niechajcie.*

K. Wl. W.



(c) Szczegóły z rękopisma Falibogowskiego
z r: 1627 fol.

F. L. S.



Designed by W. Collins R.A.

Engraved by E. Fisher.

THE MARINER'S FIRST LESSON,
DES SEEMANNES ERSTE PREMIER LEÇON
LEÇON. MARINIER.

London: Tomblinson & Co

<http://rcin.org.pl>



FLIS.

(Z RYCINĄ.)

ZALEDWIE wiosna promieniem pogody
Ku martwej ziemi zabłysła ;
Wraz nikną śniegi i pękają lody,
Toczy się wspaniała Wisła.

Wtenczas flisowi bije serce młode ,
Myśl go porywa zdaleka ,
Nie czuje ziemi, czuje tylko wodę ,
Która do morza ucieka.

O dalej, dalej ! puście szkuty, łodzie,
Puście choć statek maleńki ;
Podnoście żagiel na płynącej wodzie,
Dajcie mu wiosło do ręki !

Sukmankę czarną zarzucił niedbale,
U szyi wstążkę rozwija,
Jasny kapelusz — wsrébrnych wód kryształe
Postać się jego odbija.

Płynie — wiatr żagle pieszczone rozdyma,
Wiosła pluskają szumiące,
Zielone brzegi płyną przed oczyma,
Z niemi widoków tysiące.

Góry piaszczyste i czarne pustynie
Snują się czarownym lotem,
Gdzieniegdzie wioska w zielonéj dolinie,
I niwy pokryte złotem.

To znów się toczą, wspaniałym obrazem,
Na brzegu w piętro wzniesionym,
Wieże, kościoły, pałace — a razem
Miasto pod dachem czerwonym.

Lecz on za cichém ustroniem nie goni,
Ani gór szuka wysoko,
Ni wiosek, pustyn i majowych błoni,
Które mu czarują oko.

Korytem krętém, przy brzegu wyniosłem,
Na wodnej trzyma się fali;
Posuwa łódkę i żaglem i wiosłem,
I płynie dalej a dalej.

Na kruchėj desce szybko się przemyka,
Z dumą podnosi swe czoło;
Nad głową niebo, u stóp przepaść dzika,
Nad którą buja wesoło.

Buja dzień cały. A gdy zmrok już wszędzie,
Z łodzią ku ziemi dobiega;
Spójrz w noc ciemną! — w jednym długim rzę-
Ognie migocą u brzegu. (dzie

Przy nich i wrzawa i płąsy najskromniej,
Słysząc śpiew, słysząc multanki;
Tam flis na wodzie o wszystkiem zapomni,
O wszystkiem — oprócz kochanki.

Dla niej on śpiewa i wzdycha tajemnie,
Ku gwiazdom rzuca spojrzenie,
I o niej marzy, i tak go przyjemnie
Słodkie usypia marzenie.

Lecz wraz ze świtem już się żagiel bieli,
Łódź wodę wiślaną porze —
Tak codzien płynie na wodnej topieli,
Dalej na morze, na morze.

Za nim wraz szkuty, tratwy i komiegi
Żaglem, wiosłami się gonia;
Długie do morza ciągnione szeregi,
Flisa przemysłem i dłonią.

I pótąd pędzi przez wodne przestworza,
Wraz z Wisły krętym obiegiem,
Pókąd siwego nie zobaczy morza,
Gdzie miasto wisi nad brzegiem. —

Tam i Murzyna i Persa w atłasie,
Tam Turka z zawojem złotym,
Tam obcych ujrzy których zbożem pasie —
I wraca do domu potém.

Tak mu na Wiśle, na lubéj, powodzi
Młodość uleci gorąca,
I tylko starość odrywa od łodzi,
Wiosło z rąk słabych wytrąca.

Wtenczas do rzeki wyciąga ramiona
Ze swéj nadbrzeżnej ustroni,
A myśl starcowi młodością wzbudzona
Skacze po srebrnej wód toni.

Często nad brzegiem, gdzie wód głębina,
Zasiada wśród małych dzietek,
Zrobi im wiosło, żagiel wycina,
Malutki ustruga statek.

Sztabę im kładzie, rufę (1) wskazuje,
I stér porusza do jazdy,
Burty (2) obraca, statek kieruje
Jednorzędnymi pojazdy (3).

Uczy jak gonić wody wędrowne,
Raffy i prądy (4) ominąć,
Jak z haków (5) zepchnąć szkuty ładowne,
By wartem rzeki popłynąć.

Czyli się lękać błyskawic grzmotu,
Jaka z pogody pociecha:
Nauczy poznać zciotuchny lotu,
Albo ze skrzydeł Wojciecha (6).

I aż do zgonu, flis, czy w przygodach,
Czy wpośród swojego rodu,
Płynie, lub starzec, marzy o wodach,
Które pokochał za młodu.

Antoni J. Szabrański.

(1) Sztaba: część przednia; rufa: część tylna statku.

(2) Burty: boki statku.

(3) Pojazdy: wiosła do statku przytwierdzone.

(4) Raffy i prądy. Raffy: zawady z kamieni pod wodą sterzących. Prądy: równe zawady z drzewa na dnie rzeki będącego.

(5) Haki: mielizny piaszczyste.

(6) W języku flisów, białuchna znaczy wronę; Wojciech, bociana; jak znowu wiatr, jest przez nich stryjem nazywany; mgła, mamką.



BABIE LATO

C Z Y L I

MIŁOŚĆ JESIENNA.



„ZEMUŻ nie kwitniesz córeczko jabłoni?
Jeszcze li twoja nie doszła uroda ?

Lub czekasz, rychło przyjdzie wiosna młoda,
I śmiałą ręką twe wdzięki odsłoni? . .

— Mówiła jesień do pączka jabłoni. —

„ Dużo się jeszcze dni, godzin przeleje,
Dni, godzin gorzkich, nim ta jedna chwila
Mozaikowém skrzydełkiem motyla
Przyleci, . . . może zawieść twe nadzieje . . .

A kto ci szczęście tak obłudnie wróżył,

Wart, by sam w życiu lepszego nie użył.

Masz tu sąsiadkę, akacyą młoda:

Ta, rozwinięta słodkiém wiosny przyjściem,

Wszystko podbiła kryżowanym liściem,
 Balsamem kwiatu i cudną urodą,
 Ale dziś jestże szczęśliwą na świecie ?
 O jakżeby się chętnie dziś wyrzekła
 I wdzięków wiosny, i miłości lata,
 Byle jesienne odziało ją kwiecie !
 Bo patrz... wiosenna krasa z niej ociekła,
 Wiatr jej wdziękami brudne śmieci zmiata.
 Owoc jej tylko, to jesieni dziecię,
 Niezmienny, wytrwał do drugiej jesieni,
 I dziś się czerstwą młodością rumieni.

Cożtoza miłość, która drżec nam każe,
 Lub ta, co tylko świeże kocha twarze, ...
 A gdy z nich wysie niebieskie kropelki,
 Zciółkłe, gradem od siebie odtrąca ?
 Ach... jak niewdzięcznie !.. bez litości wszelkiej !
 Otoż to miłość wiosenna ... gorąca ...
 A skwar, pioruny, błyskawice, grzmoty,
 Otóż znów lata zwyczajne pieścoty ! ..
 Lecz jesień, pączku !.. inném czuciem darzy :
 Ani ci skwarem ślicznej zmarszczy twarzy,
 Ani cię także oziębłe zamrozi,
 Nietylko że cię piorunem nie sparzy,
 Ale ci nawet grzmotem nie pogrozi,
 Ani błyskawic w nocy nie rozdmuchnie,
 By sen niewinny podejrzec nieufnie.

„Wszystkie marzenia wiosenne niepewne.
 U mnie masz jabłka złote i czerwone ,
 Za jedno takie , pasterz dostał żonę ,
 Najurodziwszą na świecie królownę.
 A ciebie . . . gdy ci załśni skroń rozwita ,
 Zaraz radośnie ta powietrzna świta ,
 Za swą królową i panią powita.
 Spójrz pod słońce na łąkę zieloną :
 Tam z kwiatów , które wymuskała wiosna,
 Na cienki bisior nicią wychudzoną ,
 Nasnute tobie na oprawę krosna.

„Jeśli zaś pieśni niewybór cię smuci ,
 Prawda, żeć uszu słowik nie rozpieści,
 Ale cóż słowik ? . . . komuż onto nuci?
 Kochance — nie — on śpiewem szuka cześci ;
 Dumie więc śpiewa ten tyran niewieści.
 A pieśń , li-tobie , cichą i łagodną
 Odegra pszczołka piersią miodorodną ;
 Albo też tkliwy poeta tej strony .
 Twoją anielską czystością natchniony ,
 Hymnem cię uczi w pamięci kościele ,
 I nasze złote uwieczni wesele.

„Lecz próżno chciałbym przed tobą narzekać,
 Bo tobie przesąd każe wiosny czekać.
 W krajach Hesperyi słynących tak głośnie ,
 Rosną granatów i pomarańcz bory ,

Kwiat przecież wiary nie przysiągł tam wiośnie,
 Ale dla każdej równo kwitną pory,
 I na gałązce, na jednej, na małej,
 Pączek, i kwiatek, i owoc dojrzały
 W zgodzie zobaczysz... w swych godłach rok cały;
 Świat cały nawet wyobrazisz sobie :
 Jak wszystko w życiu spycha się zazdrośnie,
 Gdzie liść upadnie tam drugi wyrośnie,
 Kołębka kwiatu na owocu grobie.
 Tam tak ! .. ale tu wszystko odwrotnie,
 Tu młodą nowość stary przesąd gnębi,
 Tu jednotonność, tu pór lata kłótnie :
 Tu nawet miłość, acz gorąca, ziębi.

Takiejto starzec gdy użył wymowy,
 Płynącej w pochlebstw i dostatków strudze,
 I chytrze spomniał obyczaj cudze,
 Wyrachowany podstęp łysiej głowy ;
 Pączek powoli miękczył się przyjaźnie,
 I rósł... zwyczajnie, jak młode osóbkę,
 Gdzie lada iskra zatli wyobraźnię...
 Rozśmiał się wreszcie śmiechem Etyopki,
 Gdy wśród jej twarzy błysnie hebanowej
 Księżyc wśród nocy... rząd ząbków perłowy.
 Wnet odmrużonem oczkiem do połowy
 Pojrzy... i widzi grę słońca promieni,
 Świat wesół, niebo stroi się błękitnie,
 Powietrze niemi jewabnemi kwitnie,

I takim węzłem dwie gałązki zeni .
O . . . już był pączek poślubion jesieni ;
Lecz pierwszój nocy , miłośny małżonek
Oblubienicy niezrównane wdzięki
I wianek czystszy nad światło jutrzeńki ,
Oczępił rąbkiem sronowych koronek ,
Jój śnieżną szyję otoczył węzełek :
Byłto poślubny męża podarunek ,
Łzy zamrożone w miejsce tych perełek ,
Któremi wiosna płaci pocałunek ,
A lato ziółka przeprasza sparzone .

Pierwszego rana, łą oczy zamglone
Już nie widziały słonecznych promieni:
Niebo się w chmury poruszyło czarne,
Powietrze, słotą jesienną ciężarne,
Przyszło uragać małżonce jesieni;
On niedołężny sił ostatkiem gonił —
Ona znosiła stękanie i swary,
I wszystkie kwaśnej starości przywary,
I mgły któremi świat przed nią zasłonił.

Jesień tymczasem gdy bezwładnie drzymie,
Świat napastniczej ulegał już zimie,
Niebawem starzec w wiecznym był żywocie.
O gdyby widział . . . zapłakałby czule ,
Jak zima, jego wdowie i sierocie ,
Przysłała z śniegu śmiertelną koszulę .

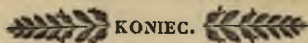
* * *

D O T.

W TAŃCU.

JAKIEŻ TO dzieło wdzięków natury,
Jakażto gracya ziemi,
Uczone kroki różnej figury
Stopkami skreśla lekkiemi?
To się ku ziemi powoli zniża,
To snadnie naprzód podskoczy,
To znów jak wietrzyk lekka i chyża,
Wstecz krok swobodny potoczy.
Lecz kto policzy każde ruszenie,
Kto setne wysłowi wdzięki?
Gracye! wasze chyba natchnienie
Ożywi lutni tej dźwięki.
Wyto nadobne, przepaską spięte,
Pełne uroku, lubości,
Toczący kręgi nam niepojęte,
Na cześć dla matki piękności.
Zstąpcie tu! zstąpcie, siostrzyce lube!
A widząc ziemiankę naszą,
Przyznajcie nową dla siebie chlubę,
Witając siostrę w niej waszę.

F. Zatorski.





SPIS RZECZY,

PODŁUG IMION AUTORÓW.



P O E Z Y A.

- ANONIM — Babie lato, czyli Miłość jesienna, *str.* 330.
- BRODZ.... K. — Do *str.* 181. — Wyjątek z poematu p. t. Poezya, *str.* 279.
- B. A. — Do *** *str.* 6. — Myśl, *str.* 105.
- C. M. — Aniołek Rózią, *str.* 40. — Strach, *str.* 76. — Pożegnanie, napisane do muzyki dla jednego z artystów, wyjeżdżającego wr. 1835 za granicę, *str.* 184.
- CH. J. K. — Do Bolesia, *str.* 73. — Kiedym szczęśliwy, *str.* 104. — Piosnka, *str.* 183.
- NOWOSIELSKI TEOFIL — Do Łzy, *str.* 75. — Wiązarek, *str.* 75. — Do mojego pióra, *str.* 79. — Wędrowiec, *str.* 98. — Mój przyjaciel, *str.* 126. — Do Z. *str.* 144. — Rybaczki, *str.* 178. — Płocha, *str.* 187.

—

THE LIBRARY

OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

FOR SALE

- 1. \$1.00
- 2. \$1.00
- 3. \$1.00
- 4. \$1.00
- 5. \$1.00
- 6. \$1.00
- 7. \$1.00
- 8. \$1.00
- 9. \$1.00
- 10. \$1.00
- 11. \$1.00
- 12. \$1.00
- 13. \$1.00
- 14. \$1.00
- 15. \$1.00
- 16. \$1.00
- 17. \$1.00
- 18. \$1.00
- 19. \$1.00
- 20. \$1.00

- PRZESZKODZIŃSKI A. — Poddanie się, pieśń Serbska, *str.* 188.
- STANISŁAW Z DZIKOWA — Rasław i Elmina, *str.* 72. — Kłos i bławatek, *str.* 97. — Malowanie kwiatów, *str.* 132. — Tkliwość serca, *str.* 186. — Dzieci szukające służby, *str.* 189. —
- SK..... FR. HR. — Anakreontyki. Do Motyla, *str.* 288. — Kupidyn w zimie, *str.* 28. — Do Jaskółki, *str.* 288. — Kupidyn sternik, *str.* 288.
- SZABRAŃSKI J. ANTONI — Ofiara z kwiatów, *str.* 1. — Marzenia, *str.* 45. — Flis, *str.* 325.
- T. WALENTYNA — Do serca, *str.* 142. — O kobiecie do J. G. *str.* 102. — Skarb Dziecięcia, *str.* 142.
- W. F. — Wyjątek z powieści pod tytułem: Dwaj śpiewacy, *str.* 171.
- ZATORSKI F. — Do J. w tańcu *str.* 346.
- ZIELIŃSKI WIKTORYN — Elegia, *str.* 42. — Do Leonka, Sonet. *str.* 125.

P R O Z A.

- F. ANTONINA — Dwie przyjaciółki, *str.* 107. — Nadzieja Matki, *str.* 273.
- KU..... N. A. — Wyjątki z listów pisanych z podróży odbytej wr. 1830. 1. 2. 3. etc.

MALECKA WANDA — Teraz dopiero kocham prawdziwie. Szkic z rzeczywistego życia, *str.* 193.

SK..... Fr. Hr. — Historia wielu małżeństw, *str.* 8. — Wyimki z Dziennika podróży, *str.* 146. — Szczegóły o zabiegach czynionych w roku 1787 w Berlinie, celem uzyskania ręki księżniczki Radziwiłłówny dla księcia Jakóba Sobieskiego i o jej zamęźciu z księciem palatynem Nejburskim, rzecz wyjęta z społecznego rękopismu Biblioteki Wilanowskiej, *str.* 305.

SZABRAŃSKI J. ANTONI — Dwie sceny w saskim Ogrodzie, *str.* 81. — Wdowa, *str.* 127.

W. K. WŁ... — Oczy uroczne, *str.* 53. — Niedźwiednik, *str.* 289. Bekfark

R Y C I N Y.

Ofiara z kwiatów, do *str.* 1.

Rastaw i Elmina, do *str.* 65.

Wdowa, do *str.* 127.

Dzieci szukające służby, do *str.* 189.

Nadzieja Matki, do *str.* 273.

Flis, do *str.* 325.

MUZYKA MIESZCZĄCA SIĘ PRZY KOŃCU.

Przyrzeczenie, muzyka Józefa Stefaniego.

Wiązki Świętojańskie, z muzyki Fr. Wilczka.



Allargo Moderato

Psyrzezenie

Muzyka Kościoła Srebrniowa

p Ko- chan- ce mo- jey mo- mi- terni- se- be- de- do- gro- tu- sta- ty, tam- za- miar- na- so- b- mi- a- ty- na-

list- ku- ró- ży- kre- śli- terni- A- le- ze- fir- so- d- nom- tel- ni- ni- em- u- mi- ost- i- s- tak- spry- ze- nie- ni- e- u- ni- ost-

W- tak- spry- ze- n- i- em

Świętojańskie Wianki

z Muzyką FR WILCZKA

Adagio majestoso M. 3/4 - 56

Wzrost - kie dziś spie - sza - ni

Wó - le dzie - wi - ce Ba - dai przy - o - sto - si ko - le - je Czy sieh po - wi - ta już o - blu - bie - ni

ce. Czy też za - wie dzie - na - dzie - ie Wzrost - kie we - so - le są me ro - wien - ni - ce

Tyl-ko ja sa - ma try te - ie

rallent.

ulla Polowa M. = 60

a tempo

Lech i ja wie - nek u - wi - ie

Aby go Wi - sta por - wa - ta Mo - ke gózie nad Morzem z y - ie Dru - sza w by nie Tco

cres- *cen* *do* *ff*

cha-ta

p Wia-nek by Wi-śta por-wa-ta Mo-że g dzie nad

p *cres.* *cres.*

Mozem ży-ć Du-sza co by mię ko-cha-ta

do

ritar.

Du-sza co by mię ko-cha-ta!

smo-żan-do

p



N.P.E. 709

1836